

**MARK  
DAWSON**

PRZEKŁAD  
MAREK FEDYSZAK

# SPRZĄTACZ



**MARK  
DAWSON**

# **SPRZĄTACZ**

**PRZEKŁAD  
MAREK FEDYSZAK**



Tytuł oryginału: The Cleaner

Copyright © Mark Dawson, 2023

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2023

Projekt graficzny okładki: Anna Slotorsz

Redakcja: Krzysztof Grzegorzewski

Korekta: Aneta Iwan

ISBN 978-87-0237-625-8

Konwersja i produkcja e-booka: [www.monikaimarcin.com](http://www.monikaimarcin.com)

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

[www.gyldendal.dk](http://www.gyldendal.dk)

[www.wordaudio.se](http://www.wordaudio.se)

Dla pań D., F.D. i S.D.

## PROLOG

Panujący na prowadzącej przez las drodze błogi spokój podkreślały ćwierkanie ptaków w koronach drzew i szmer górskiego strumienia. Route forestière de la Combe d'Ire była wąska i wyboista, miejscami nie minęłyby się dwa samochody. Z obu jej stron rosły gęste sosnowe lasy, zasnuwające przestrzeń nad jezdnią wilgotnym mrokiem, rozpraszającym przez ciepłe światło słońca wszędzie tam, gdzie wycięto drzewa. Nad linią lasu rozciągały się zamglone stoki masywu Montagne du Charbon, skalne żebra biegingy w dół wśród bujnej roślinności. Droga prowadziła ostrożnie z boczem góry, skręcając ostro w lewo i w prawo, czasem pod kątem stu osiemdziesięciu stopni najbezpieczniejszą trasą w górę. Raz po raz przecinała strumień: tutejsze mostki zostały zbudowane ze starych czerwonych cegieł związanych tyleż rozpadającą się zaprawą, co wilgotnymi porostami, które kurczowo się ich trzymały. Mostek znajdował się obok niewielkiego ogrodzonego miejsca oznaczonego jako parking, choć w tym wypadku trochę nagięto fakty, była to bowiem zatoczka wcięta w zbocze, ledwie mieszcząca cztery stojące ciasno auta.

Miejsce ciche i ustronne, jakby świat zewnętrzny został za zamkniętymi drzwiami.

Milton zaparkował tam swoje renault, pospolite auto z wypożyczalni; wybrał je, ponieważ niczym się nie wyróżniało. Wjechał na parking tyłem i wysiadając, pozostawił silnik na chodzie. Podszedł do kufra, otworzył go i spojrzał na tobolek wtulony w niewielką przestrzeń na bagaże. Odwinął brzegi koca, odsłaniając karabin szturmowy, który poprzedniej nocy pozostawiono w skrzynce kontaktowej – subkarabinek HK53 z tłumikiem płomienia, broń często używana przez SAS, gdy możliwość podejsia ukradkiem do celu była równie ważna jak rażenie obalające. Milton wyciągnął karabinek z bagażnika i wcisnął do zamka nowy dwudziestopięcionabojowy magazynek. Rozłożył składaną kolbę i wycelował, mierząc wzdłuż osi drogi. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że broń jest sprawna, ruszył w stronę mostka i ukrył ją w zaroślach.

Wcześniej zrobił rozpoznanie terenu i wiedział, że w kierunku na północ droga prowadziła do Saint-Jorioz, średniej wielkości ośrodka turystycznego nad brzegiem jeziora Annecy. Zjazd na południe prowadził do małej wioski Chevaline. Jej mieszkańcy utrzymywali się z rolnictwa, ale dorabiali, wynajmując malownicze domy turystom, którzy przyjeżdżali, by urządzić wycieczki piesze i rowerowe po okolicy. Milton zatrzymał się w takim wiejskim domu trzy dni temu i cały pobyt poświęcił na rekonesans, wyruszając na rowerze wcześniej rano i wracając późnym wieczorem. Starał się nie zwracać na siebie uwagi i poza tymi wycieczkami przebywał głównie w domu.

Dźwięk silnika bmw usłyszał na długo przedtem, zanim zobaczył samochód. Podniósł karabinek i ukrył się za pniem dębu. Był niewidoczny od strony drogi, a sam wciąż mógł ją obserwować. Kombi w kolorze wina jechało na drugim biegu, z lekkim wysiłkiem pokonując stromy odcinek jezdnii. Wyłoniło się zza ostrego zakrętu w prawo i światło reflektorów wydobyło z mroku leśną ścieżkę.

Samochód zwolnił i skręcił w stronę renault. Milton wstrzymał oddech, serce zabiło mu szybciej, wsunął palec wskazujący za osłonę spustu. Kierowca bmw zaparkował obok renault i zgasił silnik. Milton słyszał muzykę dolatującą z wnętrza auta. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i stłumiona dotąd muzyka zabrzmiała wyraźniej: francuski pop jednorazowego użytku, nieszkodliwy dla uszu. Pasażer pochylił się, powiedział coś ostro do kierowcy i muzyka umilkła. Przez chwilę Milton słyszał jedynie chrzęst żwiru pod stopami mężczyzny, szmer płynącej wody i szelest liści na wietrze. Zaciśnął dłoń na karabinku i skupił się na zachowaniu równego i regularnego oddechu.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z bmw wysiadła wysoka, śniada kobieta.

Milton rozpoznał oboje. Pasażerem był Jehija al Moussa, a kierowcą Samira Nadżib.

Wyszedł zza dębu i wycelował. Przełączył broń na ogień ciągły i oddał serię strzałów. Kule trafiły w brzuch kobiety, przeszywając wątrobę i płuca. Nadżib przytknęła dłoń do piersi, na jej twarzy odmalowała się konsternacja, po czym obróciła się i upadła na bok samochodu. Jehija krzyknął, chowając się szybko za autem. Milton zrobił dwa kroki w prawo, by znowu widzieć cel, i wypuścił kolejną serię. Naukowiec próbował wsiąść

z powrotem do samochodu; kule naznaczyły jego ciało krwawą linią biegnącą od szyi do krocza.

Kanonada niosła się przez chwilę wśród drzew. Wystraszone ptaki wystrzeliły w powietrze, a trzepot ich skrzydeł zabrzmiał jak oklaski. Echo trzasków ucichło i chwilę po brutalnym wybuchu przemocy znowu zapanował spokój: wiatr szumiał w koronach drzew, woda płynęła ze szmerem pod mostkiem, a gdzieś z wysoka doleciał śpiew słowika.

Milton się zawahał. Usłyszał kolejny dźwięk.

Odgłos zbliżającego się samochodu.

Ukrywanie się nie miałyby sensu; i tak zdradziłaby go krwawa scena. Samochód wyłonił się z lasu. Było to pomalowane na niebiesko renault mégane z białą-czerwoną jodełką na masce. Policjant w radiowozie musiał go od razu zobaczyć, zatrzymał się bowiem nagle w odległości piętnastu metrów.

Milton wyrzucił magazynek i wcisnął do zamka zapasowy.

Policjant otworzył drzwi, wysiadł z auta z ręką na kolbie pistoletu w kaburze i zawołał:

– Arrét!

Milton nie zastanawiał się ani przez chwilę. Jego reakcja była zaprogramowana, tak dobrze wyuczona przez lata walki, że teraz działał machinalnie, podświadomie, dzięki pamięci mięśniowej, błyskawicznie i zabójczo skutecznie. Obrócił karabinek i pociągnął za spust, puszczając dłuższą serię. Grad pocisków zasypał radiowóz, sześć wbiło się w chłodnicę i maskę, a kilka pozostałych uderzyło w szybę. Policjant został trafiony w twarz i klatkę piersiową. Zatoczył się do tyłu i padł na wznak na ziemię, gdzie jego ciało przez moment okropnie podrygiwało. Milton podszedł z opuszczoną teraz bronią i wpakował mężczyźnie kulę w głowę. W końcu policjant znieruchomiał.

Powrócił spokój okraszony chrzęstem odłamków szkła, które opadły z roztrzaskanej szyby samochodu.

Milton przeszedł do swojego renault po drugiej stronie drogi. Otworzył bagażnik i zawinął karabinek w koc, po czym ukrył go starannie w skrytce pod kołem zapasowym. Naciągnął lateksowe rękawiczki i pozbierał wyrzucone łuski naboju. Było ich czterdzieści i wciąż były gorące w dotyku. Wrzucił je do niewielkiej torebki dowodowej. Przykucnął przy ciele Nadżib, po czym szybko i sprawnie przeszukał jej ubranie. Znalazł smartfon oraz pendrive i dołożył je do torebki.

Obszedł samochód i pochylił się, żeby uważnie się przyjrzeć al Moussie. Drzwi bmw były otwarte i gdy podniósł wzrok, by zerknąć do środka, ujrzał wpatrzoną w niego drobną, bladą twarz. Nie śpieszył się. Nie było takiej potrzeby. Twarz należała do małego chłopca, pięcio- lub sześciolatek. Skórę i włosy miał ciemne, a rysami twarzy przypominał rodziców. Kulił się na podłodze za fotelem, czoło przecinała krwawa smuga, jakby został pomazany farbą. Nie była to jego krew, lecz krew z rany ojca.

Milton sięgnął po sig sauera, którego nosił w kaburze pod pachą, musnął palcami kolbę. Chłopczyk wytrzymał jego spojrzenie. Twarz miał bladą i drżącą ze strachu, ale wzroku nie odwrócił. Był dzielny. Przeniósłszy się pamięcią dwadzieścia lat wstecz i tysiąc mil dalej, Milton poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Przypomniawszy mu się inny chłopiec, w podobnym wieku, z twarzą spokojną mimo obsceniczności jego śmierci.

Zdjął rękę z pistoletu i się cofnął. Delikatnie przeciągnął zwłoki mężczyzny na błotniste pobocze i wrócił do kombi.

– Zostań tu – powiedział chłopcu. – Pomoc jest w drodze.

Zamknął drzwi kombi. Sprawdził, czy usunął ślady swojej obecności, i zadowolony wsiadł do renault, wrzucił bieg i odjechał.

Skręcił na północ, pod górę, i ruszył w kierunku jeziora.



# **CZĘŚĆ I SPRZĄTACZ**

Mężczyzna leżał na łóżku, dłońmi kurczowo trzymał się za serce i raz po raz zaciskał zęby. Drżały mu powieki, czasem jęczał, wypowiadając zdławionym głosem słowa, które nie miałyby sensu, gdyby w pobliżu był ktoś, kto by je usłyszał. Jego ciało zeszywniało od napięcia, pot zraszał skórę i pościel. Teraz ten sen przychodził częściej, czasami co noc, zawsze taki sam. Mężczyzna leżał na brzuchu na ciepłej poduszce wydm. Słońce bombardujące pustynię brutalnym skwarem, od którego powietrze drgało, a góry w oddali chwiały się jak oglądane przez wodę w akwarium, było w zenicie. Jałowy krajobraz tworzyły długie, ciągnące się aż po horyzont połacie piachu. Roślinność występowała wyłącznie przy brzegach płynącej z wolna rzeki, której wody w końcu trafiały do Tygrysu. Pojedyncza wstęga asfaltu stanowiła jedyną drogę w promieniu wielu mil, wiatr nawiewał na nią głębokie zwały piasku.

# 1

Nadzorca spod zmrużonych powiek patrzył przez szybę przednią jaguara xjs, gdy zjechał na pusty pas szybkiego ruchu i wyprzedził poruszającą się niemrawo ciężarówkę z naczepą. Ubiegłego wieczoru niebo miało barwę krwawej czerwieni, a kiedy rano wróciło słońce, weszło na bezchmurnym błękitnym niebie. W porannych promieniach kryło się ciepło i światło, więc opuścił osłonę, by chronić oczy. Radio było ustawione na audycję Today i prezenter zapowiadał tydzień upałów. O siódmej, po prognozie pogody, nadawano poranne wiadomości – głównym tematem było zastrzelenie dwojga turystów i policjanta we francuskich Alpach. Ofiary zidentyfikowano, ale jak dotąd nie wykryto motywu zabójstwa. Francuski policjant doszedł do wniosku, że było ono „bezsensowne”.

To akurat, pomyślał Nadzorca, nie było prawdą. Zabójstwo zdecydowanie miało sens. Operacja stanowiła wynik długiego i drobiazgowego planowania, sześciu miesięcy poświęconych przygotowywaniu obiektów ataku i zyskaniu ich zaufania, a następnie tygodni umawiania spotkania. Cel został osiągnięty z powodzeniem, lecz akcja nie była czysta. Popełnione zostały dwa błędy, które wymagały starannej analizy, błędy, które wzbudziły wątpliwości co do sprawności wykonawcy operacji.

Niepokojący był fakt, że chodziło o Numer Jeden.

Była to operacja Nadzorcy. Dobrze znał obiekty ataku. Jehija al Moussa prowadził kiedyś badania jądrowe. Samira Nadżib specjalizowała się w technice mikrofalowej. Byli małżeństwem i do niedawna oboje pracowali dla irackiej Agencji Energii Atomowej. Po upadku Saddama Husajna zostali zwerbowani przez Irańczyków i z ich pomocą reżim Ahmadineżada dokonał postępów na drodze do celu, którym było uzyskanie statusu mocarstwa nuklearnego. Gdzieś w MI6 uznano, że ta para jest zbyt niebezpieczna, by żyć. Decyzja została zatwierdzona automatycznie w innym anonimowym szarym gabinecie w siedzibie rządu, a ich akta zostały oznaczone czerwonym kolorem i przekazane do Grupy Piętnastej,

która miała się tym zająć. Sprawa była ważna i dlatego Nadzorca wybrał do tej misji Numer Jeden.

Gdy zjeżdżał z autostrady w kierunku centrum Londynu, przeanalizował swoje przygotowania. Naukowcy przybyli do Francji pod pretekstem zasłużonych wakacji. Prawdziwym powodem pobytu – oraz wizyty w Alpach – było spotkanie z pracownikiem Cezusa, filii Arevy, czołowego gracza na rynku handlu cyrkonem. Ten metal wykorzystywano między innymi do wyrobu powłok ochronnych prętów z paliwem jądrowym. Iran potrzebował cyrkonu do swoich reaktorów, a Nadżib i jej mężowi pozwolono sądzić, że ich kontakt może dostarczyć go w potrzebnej ilości. Nie było jednak żadnego pracownika. I żadnego cyrkonu. Nie miało też być spotkania, przynajmniej takiego, na jakie liczyli.

Wjeżdżając do miasta, Nadzorca wybijał palcami rytm na kierownicy. Nie, pomyślał, przygotowanie było nienaganne. Wszystkiemu winny był Milton.

Martwy gendarme dostarczy francuskiej policji silnej motywacji do znalezienia zabójcy; zamordowany został jeden z nich. Francuzi będą działać bardziej uporczywie i zmaleje szansa, że zbagatelizują śledztwo, gdy urwie się trop. Bo się urwie. Źle to wyglądało, ale jeszcze gorszy był ten chłopiec. Dziecko osierocone przez zabójcę, kulące się ze strachu w samochodzie, gdy przyglądało się mordowi na swoich rodzicach. To była beczka prochu, a dla prasy powód, by wałkować temat w nieskończoność.

Nadzorca zwolnił i zjechał na podziemny parking w niewielkim budynku stojącym na północnym brzegu Tamizy. Była to pozbawiona stylu i wdzięku konstrukcja z cegieł i betonu, wzniesiona w latach sześćdziesiątych. Pięciopiętrowa i nijaka. Samochód pracował na jałowym biegu, gdy drzwi garażu podnosiły się ze skrzypieniem zmęczonego metalu. Na drzwiach widniały namalowane dwa słowa: GLOBAL LOGISTICS.

Nadzorca wjechał do środka, zaparkował obok windy i wysiadł. Nadjechała winda, wsiadł do niej i wcisnął guzik trzeciego piętra. Gdy powoli się zatrzymała, drzwi rozsunęły się z sykiem i znalazł się w tętniącej życiem otwartej przestrzeni biurowej. Analitycy gapili się w monitory i stukali w klawisze, terkotały drukarki i bezustannie dzwoniły telefony. Nadzorca przeszedł wśród tego chaosu do korytarza wyłożonego grubym dywanem, podążył nim w prawo i wtedy gwar za nim osłabł do poziomu delikatnego szmeru ludzkiej aktywności. Wzdłuż korytarza znajdowało się

kilka obitych zielonym suknem drzwi. Wybrał te na końcu, pchnął skrzydło i przestąpił próg.

David Tanner, jego osobisty sekretarz, podniósł wzrok znad komputera i powiedział:

– Dzień dobry, szefie. – Tanner, podobnie jak Nadzorca oraz wszyscy tajni agenci, którzy dla niego pracowali, był kiedyś żołnierzem: w piechocie. Jego karierę zakończyła eksplozja miny pułapki na drodze pod Kabulem. Stracił prawą nogę poniżej kolana oraz szansę na przydział do SAS, o który zabiegał. Był łatwym w obejściu, porządnym gościem, z którym przyjemnie było się napić, i z żarliwym oddaniem strzegł dostępu do swojego dowódcy.

– Dzień dobry, kapitanie – odparł Nadzorca. – Co dzisiaj w kalendarzu?

– W południe rozmawia pan z dyrektorem. Chce otrzymać najświeższe informacje w sprawie francuskiego problemu.

– Nie wątpię. A Numer Jeden?

– Czeka na pana w środku, szefie.

– To świetnie.

Wszedł do gabinetu. Był to duży pokój, który zapewniał rozległy widok na rzekę. Pośrodku znajdował się stół z kwiatami w niskim wazonie, a z obu stron kominka stały dwa wygodne fotele klubowe. Nie było szaf na dokumenty ani niczego, co wyglądałoby biurowo.

Milton stał przy szerokim oknie na drugim końcu pokoju, paląc papierosa i spoglądając na szeroki łuk Tamizy. Nadzorca zatrzymał się przy drzwiach i przypatrzył mu się; Milton był w niewyszukanym popielatym garniturze, który sprawiał wrażenie dość taniego, białej koszuli i czarnym krawacie.

– Dzień dobry, Numerze Jeden – powiedział.

– Dzień dobry, szefie.

– Usiądź.

Obserwował siadającego w fotelu Milтона. Jego oczy wyrażały nieustępliwość. Wyglądał na trochę steranego, nieco wyczerpanego. Nadzorca pamiętał go z czasów, gdy wstępował do służby. Paradował wtedy w garniturach z Savile Row, koszulach Turnbull & Asser i zawsze był nieskazitelnie uczesany. Wydawało się, że przestał już o to dbać. Nadzorcy nie obchodziło, jak wyglądają jego agenci, o ile dobrze wykonywali swoją pracę, a Milton był jego najlepszym człowiekiem; i właśnie dlatego ta najnowsza wpadka tak bardzo niepokoiła.



Rozległo się pukanie do drzwi. Tanner wszedł do gabinetu, niosąc tacę z dzbankiem herbaty i dwiema porcelanowymi filiżankami. Postawił tacę na kredensie i upewniwszy się, że Nadzorca nie potrzebuje niczego innego, zostawił ich samych.

Nadzorca wstał i nalał herbaty do filiżanek, obserwując Milтона. Nikt nie ubiegał się o taką pracę, tylko był wybierany i zgodnie ze swoim zwyczajem w przypadku wszystkich pracujących dla niego agentów Nadzorca wybrał go sam, a potem monitorował rok drobiazgowego szkolenia, które złagodziło jego szorstkość i przygotowało do nowej roli. Chwilami Milton wątpił, czy się do niej nadaje, a Nadzorca nie tyle rozwiewał te wątpliwości, ile strofował go, że w ogóle dopuszcza myśl, że osąd jego zwierzchnika może być błędny. Szczycił się tym, że doskonale ocenia charakter ludzi, i wiedział, że Milton będzie idealnym agentem wywiadu. Okazało się, że miał rację. Milton, zgodnie z przyjętym zwyczajem, rozpoczął swoją karierę jako Numer Dwanaście, a teraz, osiem lat później, wszyscy jego poprzednicy odeszli i to on stał się Numerem Jeden.

Milton był spięty. Chwycił się poręczy fotela tak mocno, że aż pobiełały mu kłykcie. Nie ogolił się, mocno zarysowaną żuchwę pokrywał ciemny, kilkudniowy zarost.

– Chłopiec? – zapytał.

– Z tego, co możemy wywnioskować, zszokowany, ale poza tym OK. Jak można by się spodziewać. Jest pod opieką Francuzów. Chyba jeszcze z nim nie rozmawiali. Widział cię?

– Tak.

– To mogłoby być kłopotliwe.

Milton zignorował słowa Nadzorcy.

– Wiedział pan?

– O czym?

– Że tam będzie.

– Wiedzieliśmy, że jest we Francji. Nie sądziliśmy, że zabiorą go na spotkanie.

– I nie zamierzał pan mi powiedzieć, że mogą to zrobić?

– Nie zapominaj, z kim rozmawiasz – powiedział ze złością Nadzorca. – Czy to by coś zmieniło?

Milton zatopił w nim lodowate spojrzenie.

– Nie ma sensu udawać, że chłopiec nie stanowi problemu. Ten cholerny policjant również. Bez nich sprawa byłaby czysta, ale teraz... Cóż, obaj stanowią niewyjaśnione wątki i komplikują sytuację. Powinieneś mi wyjaśnić, co się stało.

– Nie ma za wiele do wyjaśniania. Trzymałem się planu. Broń była tam, gdzie miała być. Przyjechałem przed nimi. Zjawili się o czasie. Wyeliminowałem oboje. Gdy robiłem porządki, przyjechał ten żandarm, więc go zastrzeliłem.

– Zasady prowadzenia akcji były jasne.

– Rzeczywiście, szefie. Żadnych świadków. Sądzę, że nie miałem wyboru.

– Nie miałeś. Tego nie kwestionuję.

– Coś pan jednak kwestionuje – zauważył Milton.

Znowu uderzył w ostry ton. Nadzorca to zignorował.

– Sam to powiedziałaś. Żadnych świadków.

– Chodzi o chłopca? Dlaczego go nie zastrzeliłem?

– Może to budzić niesmak, ale przecież wiesz, jak wyraźnie określamy nasze zachowanie podczas operacji. – Nadzorca był spięty. Rozmowa toczyła się w nieprzewidziany dla niego sposób, a jego zwykle nie zaskakiwano. Miltonowi pobiegały kąciki ust. Jego niebieskie oczy nadal patrzyły obojętnie, niemal nieprzytomnie.

– Odkąd dla pana pracuję, szefie, widziałem wiele martwych ciał.

Nadzorca odpowiedział najcierpliwiej, jak potrafił.

– To oczywiste, Miltonie. Jesteś zabójcą. To nieodłączna część twojego fachu.

Chyba go nawet nie słyszał.

– Nie mogę już dłużej udawać przed sobą. Podejmujemy decyzję o tym, kto żyje, a kto umiera, ale w trakcie akcji nie wszystko jest czarno-białe. Jak pan twierdzi, zasady prowadzenia akcji były jasne. Powiniennem był go zastrzelić. Osiem lat temu, gdy zapisałem się na... to – słowo to zabrzmiało nieco pogardliwie – prawdopodobnie bym go zastrzelił. Jak dobry żołnierz.

– Ale nie zastrzeliłeś.

– Nie mogłem.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Osiem lat to szmat czasu jak na taką pracę, szefie. Niewielu w Grupie wytrzymuje tak długo. A ostatnio nie byłem szczęśliwy. Myślę, że nigdy nie byłem.

– Nie oczekuję tego od ciebie.

Milton wzburzył się i brnął dalej.

– Mam krew na rękach. Kiedyś mówiłem sobie to samo, żeby to usprawiedliwić, ale to już nie działa. Ten policjant nie zasłużył na śmierć. Chłopiec nie zasłużył na utratę rodziców. Z powodu jakiegoś kłamstwa uczyniliśmy go sierotą, a żonę policjanta wdową. Nie zamierzam tego więcej robić, szefie. Skończyłem.

Nadzorca wyrażał się ostrożnie.

– Próbujesz... zrezygnować?

– Może pan to nazywać, jak pan chce. Ja już zdecydowałem.

Nadzorca wstał. Dopiero po chwili opanował zdenerwowanie. Zachowanie Milтона było niebezpiecznie bliskie niesubordynacji i Nadzorca, zamiast zaatakować, podszedł do gzymsu kominka i poprawił zdjęcie swojej rodziny.

– Po co istnieje Grupa, Miltonie? – zapytał nieśpiesznie.

– Żeby eliminować.

– Wykonywać robotę, która jest zbyt brudna, by tknęły ją służby bezpieczeństwa Jej Królewskiej Mości.

– Otóż to, szefie.

– A twoja praca?

– Jestem sprzątaczem.

– To znaczy?

– „Od czasu do czasu rząd Jej Królewskiej Mości musi usuwać ludzi, których dalsze istnienie stwarza ryzyko dla skutecznego utrzymania porządku publicznego. Władze potrzebują szczególnie wykwalifikowanych profesjonalistów, którzy są gotowi pracować na podstawie niepisanego uzasadnienia, żeby uporać się z tymi problemami”. Sprzątaczy.

Nadzorca uśmiechnął się ponuro. Ten zakres obowiązków przedstawił Miltonowi, gdy go przed laty werbował. Wszystkie te neutralne eufemizmy, mające uczynić przydzielone obowiązki łatwiejszymi do przyjęcia.

– Do wykonywania takiej pracy potrzeba ludzi szczególnego rodzaju. Jest was tak niewielu... co, niestety, powoduje, że dość trudno was zastąpić. – Zrobił pauzę. – Wiesz, ile osób dla mnie wyeliminowałeś?

Milton odpowiedział bez namysłu:

– Sto trzydzieści sześć.

– Jesteś moim najlepszym sprzątaczem.

– Kiedyś może nim byłem. Już nie. Nie mogę tego dłużej ignorować. Nie mogę milczeć tylko po to, żeby uniknąć zarzutu braku profesjonalizmu.

Sam siebie okłamuję. Musimy zmierzyć się z faktami, szefie. Niech pan to przedstawia jak chce... neutralizacja, eliminacja... ale to tylko eufemizmy użyte dla określenia tego, co w rzeczywistości robię. Płacą mi za mordowanie ludzi.

Argumenty szefa nie docierały do Milтона.

– „Mordowanie”?! – wykrzyknął Nadzorca. – O czym ty, człowieku, mówisz? Nie bądź taki delikatny. Chcesz moralizować? Wiesz, co się wydarzy, jeśli Irańczycy skonstruują tę bombę. Wybuchnie wojna. Prawdziwa wojna, przy której Irak będzie wyglądał jak spacer po parku. Zginą tysiące ludzi. Setki tysięcy. Usunięcie tych dwojga uczyniło tę perspektywę trochę mniej prawdopodobną. Oni wiedzieli, czym ryzykują. Możesz nazywać to morderstwem, ale nie byli niewiniątkami, tylko bojownikami.

– A policjant? Ten chłopiec?

– Niefortunne, lecz konieczne.

– Szkody uboczne?

Nadzorca poczuł, że jest prowokowany. Westchnął i zdenerwowany odparł:

– Właśnie.

Milton skrzyżował ręce.

– Przykro mi, szefie. Skończyłem z panem. Odchodzę.

Nadzorca podszedł do Milтона, okrążył go z bliska, zauważył napięcie w ramionach i zaciśniętych dłoniach.

– W rzeczywistości nikt nigdy ze mną nie kończy. Nie możesz zrezygnować. Nie możesz się wycofać. Jesteś mordercą, jak twierdzisz. To wszystko, na czym się znasz. Ostatecznie cóż wy możecie robić po odejściu? Twoje zdolności są bardzo ograniczone. Czym jeszcze mógłbyś się zajmować? Pracować z dziećmi? W jakimś biurze? Nie. Człowieku, jesteś niewykwalifikowaną siłą roboczą. I niczym więcej.

– Więc znajdź sobie innego robotnika.

Nadzorca uderzył pięścią w gzyms kominka w geście frustracji.

– Będiesz dla mnie pracował tak długo, jak długo będę chciał, do cholery, albo każę cię zniszczyć!

Milton wstał, by stawić czoła Nadzorcy. Miał imponującą posturę i mrozące krew w żyłach spojrzenie, które odzyskało dawną jasność i lodowatą ostrość. Miał oczy zabójcy i patrzył na Nadzorcę bezlitosnym wzrokiem.

- Chyba skończyliśmy, szefie, prawda? Nie dogadamy się.
- To twoje ostatnie słowo?
- Tak.

Nadzorca usiadł za dzielącym ich teraz biurkiem.

– Popemiasz straszny błąd. Jesteś zawieszony. Bez prawa do wynagrodzenia. Przejrzę twoje akta, ale kary nie unikniesz. Wykorzystaj ten czas, by rozważyć swoje stanowisko. Nie jest jeszcze za późno, by naprawić szkody, jakie wyrządziłeś sobie tą idiotyczną postawą.

– Świetnie, szefie. – Milton poprawił krawat.

– Możesz odejść.

–Miłego dnia szefie.



## 2

Milton znalazł bar. Nijaki, pusty pokój hotelowy nie przypadł mu do gustu, a zbliżało się dopiero południe. Konfrontacja z Nadzorcą wytrąciła go z równowagi; ręce mu się trzęsły ze złości i strachu.

Było to miejsce z szerokim panoramicznym oknem wychodzącym na rzekę. Znalazł stolik, z którego roztaczał się widok na wodę, budynki na przeciwległym brzegu, statek wycieczkowy oraz barki przecinające fale przyboju, a nad nimi ogniste słońce na idealnie bezchmurnym niebie. Zapragnął wypić podwójną whisky, poczuć alkohol, w głowie zaczęło mu się trochę kręcić. Wiedział, że jedyny sposób, by przestać myśleć – o wszystkim – można znaleźć na dnie szklanki, ale oparł się temu pragnieniu. Przynosił on krótkotrwałą ulgę o długotrwałych następstwach. Milton skupił się na liczbie, którą zachował w pamięci – sześćset dziewięćdziesiąt jeden – i zamiast whisky zamówił sok pomarańczowy. Siedział zamyślony, obracając szklankę w dłoni i obserwując łodzie.

Nad barem znajdował się telewizor. Głos był ściszony, u dołu ekranu przesuwwały się napisy. Odbiornik został ustawiony na kanale z jednym z całodobowych programów informacyjnych. Wywiad z jakimś ministrem na trawniku przed parlamentem nagle zastąpiło ujęcie zalesionego górskiego krajobrazu z lecącego śmigłowca. Pojawił się podpis wskazujący, że to obszar niedaleko jeziora Annecy we Francji. Kamera drgnęła i robiła najazd dopóty, dopóki ekran nie wypełnił się ujęciem czerwonego bmw. Kamera odjechała od zaparkowanego na małej polance pojazdu i ukazał się drugi samochód, niebieski z białą-czerwoną jodełką. Na błotnistym gruncie wokół obu aut widać było plamy krwi. Napisy u dołu ekranu informowały o „masakrze” i „oburzeniu”.

Barman pokręcił głową.

– Widział pan to?

Milton chrząknął.

– Wie pan, że w samochodzie znaleźli chłopca?

Milton milczał.

– Nie wiem, jak ktoś mógł to zrobić... zamordować rodzinę na wakacjach. Ileż trzeba mieć zimnej krwi? Moim zdaniem ten chłopczyk miał szczęście. Gdyby ten, kto to zrobił, go znalazł, sądzę, że malec też zostałby zastrzelony.

Reportaż z dziennika ustąpił miejsca innej historii, ale to nie pomogło. Milton dopił sok i wstał. Musiał wyjść.

### 3

Był trochę otumaniony i zapomniał, że do biura Nadzorcy przyjechał samochodem. Wędrując bez celu, trafił do metra. Peron był zatłoczony. Grupa młodych cudzoziemców, turystów też błąkających się bez celu, zebrała się w pobliżu rampy prowadzącej na powierzchnię, blokując przejście walizkami i rozmawiając z podnieceniem po portugalsku. Ich bagaże były oklejone nalepkami, które wskazywały na wcześniejsze cele podróży. Domyślił się, że to Brazylijczycy. Studenci. Postanowił przejść między nimi, żeby poczekać na spokojniejszym, mniej zatłoczonym końcu stacji. Przy samej krawędzi peronu stała tam samotna kobieta. Była czarna, miała trzydzieści parę lat i nosiła uniform jednej z sieci barów szybkiej obsługi w pobliżu stacji. Wyglądała na zmęczoną. Spostrzegł, że płacze, jej dolna warga drżała, po policzkach spływały łzy. Milton nie miał daru empatii i gdyby miał ją pocieszyć, nie wiedziałby, od czego zacząć, ale nie był tym zainteresowany. Nie dzisiaj. Miał za dużo na głowie. Przeszedł dalej.

Znowu czuł się okropnie. Był w jeszcze gorszym nastroju niż przedtem. Zakręciło mu się w głowie i osunął się na pustą ławkę. Zaczął się pocić, najpierw na dłoniach, potem na plecach, słone krople spływały mu z czoła do oczu i ust.

Przypomniawszy sobie ujęcie lasu z telewizyjnego śmigłowca. W ziemi były trzy paliki wyznaczające miejsca, gdzie znaleziono zwłoki. Wiedział, że powinien przestać, pomyśleć o czymś innym, ale nie potrafił i wkrótce znowu wspominał koszmar, przebłyski z wcześniejszych lat: zrównana z ziemią wioska, bryzgi krwi na wysuszonej ziemi, ciało chłopca, pieprzna woń silnych materiałów wybuchowych i mdły odór śmierci. Odpłynął od tego wspomnienia, natrafiając na wszystkie inne rzeczy, które zrobił i widział w służbie królowej i kraju: obskurne pokoje i mroczne ulice, sto trzydzieści sześć ofiar ułożonych na dowód jego strasznych czynów. Strzał w głowę z karabinu snajperskiego, pchnięcie nożem w serce, garota zaciśnięta na gardle, aż suchy oddech ofiary stał się świszczący, a potem ustał, ciało rozpaczliwie podrygujące, a w końcu zastygłe w bezruchu. Sto

trzydzieścioro sześcioro mężczyzn i kobiet stawilo mu czoła, oskarżyło go, na rękach miał ich krew.

Głośny krzyk wyrwał go z zadumy.

Studenci spoglądali na peron w jego kierunku. Ogarnął to wszystko spojrzeniem, ze szczegółami. Czy to na niego wskazywali? Nie. Obok. Kobiety nie było na peronie. Kolejny krzyk i jeden ze studentów wskazał na tor. Milton wstał chwiejnie i ujrzał, że położyła się na szynach. Był to osobliwy widok. Początkowo sądził, że pewnie próbowała podnieść coś, co upuściła, potem jednak zdał sobie sprawę, że położyła się w ten sposób celowo. Obrócił się wokół osi; jarząca się tablica cyfrowa informowała, że następny pociąg nadjeżdża, i wtedy Milton usłyszał ciche dudnienie wagonów toczących się na ostatnim zakręcie przed wyjazdem z tunelu. Nie było czasu na dywagacje, co zrobić. Piętnaście metrów dalej na murze znajdował się przycisk alarmowy, Milton wiedział jednak, że nie zdoła dotrzeć do niego w porę, a nawet gdyby dotarł, nie było pewności, czy pociąg zdąży się zatrzymać.

Zeskoczył z peronu na tory.

Przestąpił szynę prądową.

Pociąg się zbliżał, z wylotu tunelu doleciał podmuch ciepłego powietrza.

Milton przyklękł koło kobiety.

– Nie – powiedziała. – Zostaw mnie w spokoju.

Wsunął jedną rękę pod jej plecy, a drugą pod kolana. Była drobna i podniósł ją bez trudu. Pociąg pokonał ostatni zakręt, błysnęły jasno reflektory lokomotywy. Rozległ się nagły i przenikliwy dźwięk syreny. Milton wiedział, że ma pięćdziesiąt procent szans. Znowu przestąpił trzecią szynę i wrzucił kobietę na peron. Hamulce pociągu wgryzły się w tarcze, zablokowane koła ślizgały się po metalowych szynach z okropnym piskiem, gdy Milton ułożył dłonie na krawędzi peronu i skoczywszy, przeturlał się w bok w chwili, gdy lokomotywa przejechała z jękiem obok, omal się o niego nie ocierając.

Obrócił się na plecy i spojrzał na łukowaty sufit. Oddychał w przyspieszonym rytmie.

Pociąg zatrzymał się w połowie peronu. Motorniczy otworzył drzwi i ruszył sprintem ku Miltonowi.

– Nic ci się nie stało, człowieku?

– Czuję się świetnie. Sprawdź, co z nią.

Zamknął oczy i zmusił się do oddychania w normalnym rytmie. Wdech, wydech, wdech, wydech.

– Myślałem, że już po tobie – mówił motorniczy. – Myślałem, że rozjadę was oboje. Co się stało?

Milton nie odpowiedział. Studenci ruszyli po peronie i maszynista skierował spojrzenie na nich. Zrelacjonowali to, co widzieli, śpiewną łamaną angielszczyzną: jak ta kobieta zsunęła się z peronu i położyła na szynach i jak Milton zeskoczył za nią i odciągnął ją w bezpieczne miejsce.

– Jesteś bohaterem, człowieku – zauważył maszynista.

Milton znowu zamknął oczy.

Bohaterem?

Roześmiałyby się, gdyby to nie było tak absurdalne. Zabrzmiało jak kiepski żart.



## 4

Niedługo potem przyjechała karetka. Gdy sanitariusze zajmowali się kobietą, Milton usiadł na ławce obok niej. Wcześniej przez pięć minut płakała histerycznie, ale szybko przestała i zanim przyjechało pogotowie, siedziała nieruchomo w milczeniu, wpatrując się w duże plakaty reklamujące wakacje w egzotycznych krajach i towary bezcłowe, przyklejone na łukowatej ścianie po drugiej stronie torów.

Jeden z sanitariuszy wyjął z torebki kobiety portmonetkę i zapytał:

– Masz na imię Sharon, kochana? – Nie odzywała się. – Daj spokój, kochana, musisz z nami porozmawiać.

Kobieta zachowała milczenie.

– Będziemy musieli ją zabrać – stwierdził sanitariusz. – Chyba jest w szoku.

– Też pojedę – rzucił Milton.

– Jest pan znajomym?

Zostawienie jej teraz byłoby równoznaczne z porzuceniem. Zaczął pomagać i chciał zakończyć zadanie. Zostawi ją, gdy tylko zjawi się jej rodzina.

– Tak – odparł.

– Chodź, skarbie. Zbadajmy cię należycie.

Milton przypomniał sobie o samochodzie i jechał za karetką, gdy zabrali kobietę do Royal Free Hospital. Zawieźli ją do ustronnego pokoju i zaparzyli filiżankę herbaty pełną cukru.

– Czekamy na lekarza – wyjaśnili jej. – Wypij, dzięki temu poczujesz się lepiej.

– Dziękuję – wymamrotała.

Sanitariusz zwrócił się do Milтона:

– Może pan z nią zostać? Lekarz jest w drodze, ale to może potrwać ze dwadzieścia minut.

– Tak, oczywiście.

Usiadł obok łóżka i obserwował kobietę. Zamknęła oczy i po kilku minutach zdał sobie sprawę, że zapadła w płytki sen. Jej pierś wznosiła się

i opadała z każdym łagodnym oddechem. Przyjrzał się jej. Włosy miała czarne; przycięte do karku i rozłożone teraz na białym płótnie tworzyły ramę dla owalnej twarzy. Szerokie oczy, nieznacznie uniesione w kącikach, subtelne brwi. Skóra miała idealnie czekoladowy kolor i oprócz szminki na szerokich, zmysłowych ustach nie nosiła żadnych śladów makijażu. Ręce były szczupłe, a splecione poniżej piersi dłonie małe i delikatne. Paznokcie miała obgryzione, czerwony lakier popękany i odłupany. Na palcu nie było pierścionka. Restauracyjny uniform miał praktyczny szary kolor, a spodnie spływały od wąskiej, ale nie chudej talii.

Milton pozwolił jej odpoczywać.

## 5

Obudziła się pod wieczór. Początkowo jej ładna twarz była równie spokojna jak podczas snu, ale to nie trwało zbyt długo; zasnuł ją wyraz zmieszania, a potem nagle pojawił się okropny wyraz paniki. Z trudem się wyprostowała i opuściła nogi na podłogę.

– Wszystko w porządku – powiedział Milton. – Spałaś.

– Która godzina?

– Szósta.

– Jezu Chryste! Jestem bardzo spóźniona. Mój syn... Muszę być w domu. – Rozejrzała się spanikowana. – Gdzie my jesteśmy?

– W szpitalu.

– Nie – powiedziała, stając. – Muszę być w domu. Mój syn nie będzie wiedział, gdzie jestem, nie zje podwieczorku. Nikt się nim nie opiekuje.

– Był tu lekarz. Chciał z tobą porozmawiać. Wróci, gdy się obudzisz.

– Nie mogę. A poza tym nic mi nie jest. Wiem, że postąpiłam głupio. Nie zamierzam zrobić tego znowu. Nie chcę umrzeć. Nie mogę. Jestem mu potrzebna. – Spojrzała mu w oczy. Miała szczery i uczciwy wyraz twarzy. – Nie mogą mnie tutaj trzymać, prawda?

– Nie sądzę.

Podniosła torebkę z krzesła i ruszyła do drzwi.

– Jak zamierzasz dostać się do domu?

– Nie wiem. Gdzie jesteśmy?

– W Royal Free.

– Hampstead? Pojadę pociągiem.

– Pozwól mi się odwieźć.

– Nie musisz tego robić. Mieszkam w Dalston. To pewnie zupełnie nie po drodze.

– Nie, nie ma problemu. Mieszkam tuż za rogiem... w Islington – skłamał. – To żaden kłopot.

Personel szpitala nie krył irytacji tym, że pacjentka wypisuje się ze szpitala, nie był jednak w stanie jej powstrzymać. Nie doznała urazu, wydawało się, że myśli racjonalnie, i nie była sama. Milton zareagował na

ich odruchowe obawy spokojnym, władczym tonem, któremu trudno było przeciwstawić argumenty. Kobieta podpisała oświadczenie, grzecznie podziękowała za opiekę i wyszła za Miltonem ze szpitala.

Parkował w pobliskim budynku NCP. Zgarnął śmieci z fotela pasażera, otworzył drzwi, poczekał, aż Sharon wygodnie usiądzie, po czym ruszył. Skrótem dotarł na Victoria Embankment. Spojrzał kątem oka na towarzyszkę; patrzyła nieruchomym wzrokiem przez okno, obserwując rzekę. Nie wyglądała na chętną do rozmowy. Zrozumiałe. Włączył odtwarzacz CD i przebierał w płytach, dopóki nie znalazł tej, której chciał posłuchać, składanki utworów Boba Dylana. Jego przenikliwy głos wypełnił wnętrze samochodu, gdy Milton przyśpieszał, ruszywszy spod świateł.

– Dziękuję za podwiezienie – powiedziała nagle Sharon. – Jestem bardzo wdzięczna.

– To żaden kłopot.

– Mój syn powinien być w domu. Będzie chciał zjeść podwieczorek.

– Jak ma na imię?

– Elijah.

– Ładne.

– Podobało się jego ojcu. Interesował się Biblią.

– Ile ma lat?

– Piętnaście. A ty? Masz dzieci?

– Nie – odparł Milton. – Jestem sam.

Zmienił pas i wyprzedził wolno jadącą ciężarówkę. Sharon milczała przez chwilę.

– To z jego powodu – wyznała nagle. – Dziś rano... To wszystko. Wiem, że to głupie, ale nie wiedziałam, co robić. I tak naprawdę nadal nie wiem. Jestem u kresu wytrzymałości.

– Co się stało?

Wydawało się, że nie usłyszała pytania.

– Nie mam nikogo innego. Jeśli go stracę, nie ma sensu tego dalej ciągnąć.

– Może mi o tym opowiesz?

Sharon spojrzała przez okno, zagryzając wargę.

– Jak go możesz stracić?

Zacisnęła zęby. Milton wzruszył ramionami i sięgnął do radia.

– Na naszym osiedlu działa gang, młodzi chłopcy. Miejscowi. Wszystkich zastraszają. Robią, co chcą... Wywołują zamieszanie, kradną, handlują narkotykami. Nikt nie śmie się im przeciwstawić.

– A policja?

Roześmiała się z goryczą.

– Do niczego się nie nadaje. Nie wejdą nawet na osiedle, jeśli nie ma ich przynajmniej sześciu. Dopóki są w pobliżu, sytuacja się trochę uspokaja, ale gdy tylko odjeżdżają, jest tak, jakby ich nigdy nie było.

– Co mają wspólnego z Elijahem?

– Zaczął się z nimi zadawać. Jest jeszcze chłopcem i powinnam się nim zajmować, ale nic nie mogę zrobić. Zabrali mi go. Wraca do domu bardzo późno, przestał mnie słuchać, nie robi tego, co mu każę. Zawsze starałam się dać mu trochę swobody, nie być jedną z tych mam, według których dzieci nigdy niczego nie potrafią zrobić jak należy, ale teraz myślę, że chyba powinnam była traktować go bardziej surowo. Wczoraj było to samo co zawsze. Wiem, że wymyka się z domu późnym wieczorem, żeby być z nimi. Normalnie wychodzi przez okno swojej sypialni, więc zamontowałam w nim blokadę. Wchodzi do pokoju od frontu, a ja mu mówię, że ma wracać do łóżka. Posyła mi tylko to swoje spojrzenie i odpowiada, że już nie mogę mu mówić, co ma robić. Przypominam mu wtedy, że jestem jego matką i dopóki mieszka pod moim dachem, musi mnie słuchać. To chyba rozsądne, prawda?

– Bardzo.

– Więc mówi, że chyba niedługo przestaniemy mieszkać pod jednym dachem, że zdobędzie własne pieniądze i znajdzie dla siebie jakieś lokum. Skąd piętnastolatek weźmie pieniądze na czynsz, jeśli nie z kradzieży lub sprzedaży narkotyków? Rusza do drzwi, ale najpierw musi przejść obok mnie, więc wstaję i go zatrzymuję. Każe mi zejść z drogi, a gdy nie schodzę, mówi, że mnie nienawidzi, że to moja wina, że jego ojciec odszedł, a gdy próbuję sprawić, żeby się uspokoił, po prostu mnie odpycha, otwiera drzwi i wychodzi. Jest duży jak na swój wiek, wyższy ode mnie i silny. Skoro nie chce słuchać moich poleceń, co mogę zrobić, żeby go powstrzymać? Wczoraj wrócił dopiero o trzeciej nad ranem, a gdy wstałam, żeby pójść do pracy, jeszcze spał.

– Myślałaś o wyprowadzce?

Znowu roześmiała się ponuro.



– Nie wiesz, jakie to trudne? Wcześniej mieszkaliśmy w schronisku. Dopóki mój mąż nie zaczął mnie maltretować, mieszkałam w Manchesterze. Otworzyli to miejsce dla bitych kobiet; trafiliśmy tam, gdy dotarliśmy do Londynu. Nie narzekam, ale było przepełnione. Nie nadawało się do wychowania mojego syna. Zanim przydzielili nam mieszkanie, przez wiele miesięcy byłam na zasiłku. Nie masz pojęcia, jak trudno byłoby ich skłonić do przeniesienia nas gdzieś indziej. Nie. Utknęliśmy tutaj.

Zrobiła pauzę, znowu gapiąc się na samochody.

– Odkąd mieszkamy na osiedlu, mamy kłopoty. Codziennie martwię się o Elijaha. Codziennie.

Milton zaczął się zastanawiać, czy może jakoś im pomóc.

– Przepraszam – powiedziała Sharon. – Opowiadałam ci o swoich problemach, a nawet nie wiem, jak masz na imię.

Milton niemal odruchowo chciał uciec się do swojego wyszkolenia i długiej listy fałszywych tożsamości, ale się powstrzymał. Jaki to miało sens? Nie miał już na to ochoty. Kłamstwa nie byłyby dobrym punktem wyjścia, jeśli pragnął pomóc tej kobiecie.

– Jestem John – odparł. – John Milton.

Dojechał do skrzyżowania z Whitechapel Road i skręcił.

– Przepraszam, że ciągle gadam. Na pewno masz własne problemy. Nie potrzebujesz wysłuchiwać o moich.

– Chciałbym pomóc.

– To miło z twojej strony, ale nie rozumiem, jak mógłbyś to zrobić.

– Może mógłbym z nim porozmawiać?

– Nie jesteś z policji, prawda?

– Nie.

– Ani z pomocy społecznej?

– Nie.

– Nie chcę być niegrzeczna, panie Milton, ale nie znasz Elijaha. Jest uparty. Czemu miałby się przejmować tym, co mu powiesz?

Milton zwolnił, gdy dojeżdżali do sznura wlokących się pojazdów.

– Potrafię być przekonujący.

## 6

Nadzorca zażądał akt Milтона z archiwum, a gdy już mu je dostarczono, zamknął się w gabinecie z dzbankiem herbaty oraz cygarem i rozłożył przed sobą papiery. Kiedy zaczynał, było późno, słońce już dawno zaszło i ciemne wody Tamizy iskrzyły się odbitymi światłami biurowców na drugim brzegu rzeki. Zapalił cygaro i zaczął szukać w tych dokumentach wskazówki, która mogłaby wyjaśnić nagłą i nietypową decyzję Milтона.

Ich rozmowa go zaniepokoiła. Milton zawsze był jego najlepszym sprzątaczem. Zawsze prezentował pełen profesjonalizm. Utrzymywał ostry reżim treningowy, dzięki któremu dorównywał sprawnością mężczyznom dwa razy młodszym od siebie. Ciało Milтона nie było problemem. W przeciwnym razie, myślał z żalem Nadzorca, łatwiej byłoby to naprawić. Problemem był jego umysł, czyli kwestia o wiele trudniejsza. Nadzorca szczylił się tym, że zna pracujących dla niego ludzi, i Milton zaskoczył go swoją postawą. To zaś wprowadziło do jego myślenia element niepewności, a niepewność dla człowieka tak uporządkowanego i logicznego jak Nadzorca była czymś nie do zniesienia.

Trzymał dym w ustach. Oddanie i profesjonalizm Milтона nigdy, nawet na chwilę nie osłabły. Wykonał wzorowo serię misji, które mogłyby stanowić trzon podręcznika dla skutecznych nowoczesnych agentów. Był najbardziej bezwzględny i sprawnym zabójcą w Grupie. Zawsze traktował swój fach jako formę sztuki, czerpiąc satysfakcję ze świadomości dobrze wykonanego zadania. Nadzorca wiedział z długiego i przykrego doświadczenia, że taka postawa stanowi w obecnych czasach rzadkość. Prawdziwych rzemieślników trudno było znaleźć, a gdy już się taki trafił, to się o niego dbało. Inni mężczyźni i kobiety, których miał do dyspozycji, mieli skłonność do bezceremonialnych zachowań. Byli automatami, którym wskazywał cele, po czym obserwował i czekał, gdy wykonywali swoją pracę. Ich metody były skuteczne, ale prostackie: strzały z jadącego samochodu, eksplozja miny przymocowanej pod samochodem, przypadkowe wybuchy niekontrolowanej przemocy. Działali szybko i paskudnie, nonszalancko i sztampowo, w sposób podsumowujący

wszystko to, czym Nadzorca gardził w działalności współczesnego wywiadu. Nie zostało nic z artyzmu, dumy czerpanej z tej pracy ani ostrożnego zastanowienia się. Nic z prawdziwego tupetu. Milton przypominał Nadzorcy ludzi, z którymi pracował, kiedy sam był agentem w terenie, oddelegowanym podczas zimnej wojny na Station M. Byli dokładni i staranni, ich misje obejmowały długie okresy planowania, które kończyło się aktem nagłej, kontrolowanej i powstrzymanej przemocy.

Nadzorca wertował akta i niczego nie znalazł. Być może odpowiedzi należało szukać w życiorysie Milтона. Wyjął kolejny raport ze skrzynki i rzucił go na swoje biurko. Był gruby jak książka telefoniczna.

Żeby nowy agent został przyjęty do Grupy, trzeba było dokonać całej masy ocen. Najdrobniejsza nieprawidłowość – w sprawach finansowych, osobistych, właściwie jakichkolwiek – prowadziła do przekreślenia szans i na tym by się skończyło; propozycja zostałaaby dyskretnie wycofana i niedoszły agent nigdy by się nie dowiedział, że brano go pod uwagę. W przypadku Milтона było tak samo. Grupom Siódmej i Dziesiątej powierzono zadanie sporządzenia raportów i wykonały one wyjątkowo gruntowną robotę. Zbadano jego dzieciństwo, wykształcenie, karierę w wojsku oraz życie osobiste.

John Milton urodził się w 1968 roku. Nie miał rodzeństwa. Jego ojciec, James Milton, pracował jako inżynier petrochemik i zafundował swojej żonie i dziecku życie tułaczę, przeprowadzając się co kilka lat, ponieważ podążał za pracą po całym świecie. Znaczną część wczesnego dzieciństwa Milton spędził nad Zatoką Perską: kilka lat w Arabii Saudyjskiej, sześć miesięcy w Iranie, gdy upadał szach, potem Egipt, Dubaj i Oman. Ojciec został też oddelegowany do Stanów Zjednoczonych, a potem w końcu otrzymał dyrektorską posadę w średniej wielkości firmie zajmującej się poszukiwaniem złóż gazu. Młody Milton posiadał powierzchowną znajomość języka arabskiego i umiejętność dostosowywania się do różnych kultur; obydwie te zdolności okazały się cennym atutem w jego dalszej karierze.

W roku 1980 życie Milтона zmieniło się nieodwracalnie. Jego rodzice zginęli w wypadku na autostradzie w Niemczech, a on został wysłany do ciotki i wujka mieszkających w hrabstwie Kent. W funduszu powierniczym pozostawiono dla niego pewną sumę pieniędzy i dobrze je spożytkowano. Otrzymał pierwszorzędne wykształcenie w prywatnej szkole i w 1981 roku, po zdaniu wymagającego egzaminu wstępnego, trafił na semestr jesienny do Eton. Jego pobyt tam nie był udany i z powodu incydentu, którego

Grupa Siódma nie zdołała potwierdzić (choć podejrzewali, że w grę wchodzi hazard), został wydalony z college'u. Przez pewien czas uczył się w domu, po czym został przyjęty do dawnej szkoły ojca. Uczył się tam do szesnastego roku życia, po czym dostał się na studia prawnicze w Cambridge.

Zaangażował się w transakcje na rynku pozagiełdowym i nikt nie był zaskoczony, gdy zlekceważył propozycję odbycia aplikacji adwokackiej, by zaciągnąć się do wojska. Spędziwszy tam osiem lat, postanowił wziąć udział w naborze do SAS. Procedura selekcji słynęła z brutalnej wręcz trudności, ale Milton przeszedł ją z łatwością. Służąc w oddziale desantowym Eskadry B 22 Regimentu SAS, uczestniczył zarówno w tajnych, jak i jawnych operacjach na całym świecie, z antyterrorystycznymi i antynarkotykowymi na Bliskim i Dalekim Wschodzie, w Ameryce Południowej i Centralnej oraz Irlandii Północnej łącznie.

Na kilka lat przed dołączeniem do Grupy został dostrzeżony, co skutkowało kilkoma tymczasowymi przeniesieniami, podczas których można go było ocenić w terenie. Za każdym razem dobrze się spisywał, a szczególne znaczenie miała udana misja w Nowym Orleanie. Nadzorca uznał, że Milton doskonale nadaje się na członka Grupy, i gdy pojawił się wakat, on był najpoważniejszym kandydatem do zajęcia wolnego miejsca. Nadzorca przedstawił ofertę osobiście. Była przekonująca i Milton natychmiast ją przyjął.

Odłożył historię na bok i wrócił do współczesnych dokumentów. Niedawna ocena roczna wskazywała na znaczące pogorszenie wyników Milтона i gdy Nadzorca sięgnął do poprzednich lat, zauważył, że to trend, który dotąd mu umykał. Oceny były dogłębne i łączyły w sobie drobiazgowo badanie kondycji fizycznej, sprawdzian umiejętności strzeleckich oraz ocenę psychologa. We wszystkich tych trzech elementach wyniki Milтона pogarszały się w ostatnich trzech latach. W tym roku spadek był najbardziej gwałtowny, ale nie stanowił odosobnionego przypadku. Nadzorca zbeształ się za to, że przeoczył ten fakt. Bezustanne sukcesy w terenie uczyniły go ślepym. Milton tak dobrze sobie radził w swoim fachu, że sugestia jego potencjalnej porażki była niedorzeczna. Teraz, uważnie analizując akta Numeru Jeden z perspektywy czasu, zrozumiał, że nie dostrzegł szeregu wskazówek.

Badanie kondycji fizycznej wypadło dobrze. Milton był sprawny, miał układ krążenia mężczyzny piętnaście lat młodszego. Co roku startował w maratonie, a uzyskiwane przezeń wyniki były odnotowywane i wprowadzane do akt; zawsze mieścił się w granicach trzech i pół godziny. Podczas akcji doznał serii obrażeń, które odcisnęły piętno na jego ciele. Odkąd dołączył do Grupy Piętnastej, został dwukrotnie postrzelony, dźgnięty nożem w nogę i ramię, doznał również kilkunastu złamań. Informował o rozmaitych zwykłych dolegliwościach, ale lekarz zasugerował, że z myślą o badaniu zachowywał stoicki spokój i prawdopodobnie przez większość czasu odczuwa łagodny lub umiarkowany ból. Badania krwi wykryły początki łagodnego zapalenia stawów o podłożu genetycznym. Zażywał mieszankę leków: gabapentynę na uszkodzenie nerwów oraz oksykodon na ogólne uśmierzanie bólu.

Nadzorca ponownie zapalił cygaro i sięgnął po ocenę psychologiczną. Wstał, by rozprostować kości, i przeczytał raport przy oknie. Gdy przerzucał kartki, zdał sobie sprawę, że niedostrzeżenie sygnałów ostrzegawczych było jego najbardziej rażącym błędem. Psychiatra zauważył, że Milton skarżył się na bezsenność i żeby ją zwalczyć, przepisano mu prometazynę. Odbyła się dyskusja na temat przyczyn tego problemu, ale Milton wzburzył się, a potem rozzłościł, nie chcąc pogodzić się z tym, że chodzi o coś innego niż niezdolność uspokojenia zapracowanego umysłu. Psychiatra zasugerował, że naturalnie melancholijny temperament Milтона wskazuje na łagodną depresję i wydaje się, że badany stał się człowiekiem skłonny do introspekcji i wątpliwym. Raport kończył się zaleceniem, by kontrolowano go bardziej regularnie. Nadzorca je zignorował.

Niech to szlag.

Milton był cennym atutem, a on z uporem lekceważył sygnały ostrzegawcze. Nie chciał przyznać, że może powstać problem, i swoją beczynnością umożliwił powiększenie tego problemu.

Odłożył akta do skrzynki i zapalił drugie cygaro. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał.

Do gabinetu wszedł Christopher Callan. Numer Dwanaście: najświeższy nabytek w Grupie. Został przeniesiony ze Special Boat Service po służbie w każdym calu tak błyskotliwej jak kiedyś służba Milтона. Był wysoki, szczupły i nienagannie ubrany. Nosił marynarkę z grubego sukna zapinaną

na dwa guziki. Kieszenie były proste, a podszewka zwyczajna i stonowana. Pod lewą pachą, gdzie nosił pas z kaburą, rysowała się charakterystyczna niewielka wypukłość. Nie nosił krawata. Spodnie miały klasyczny krój, nogawki sięgały do podeszwy buta. Był uderzająco przystojny mimo małej i owalnej głowy osadzonej na muskularnym karku. Czaszka Callana była pokryta gęstymi jasnymi lokami, cera nieskazitelnie biała, a wychowanie nienaganne. Usta o cienkich wargach układały się w wyraz okrucieństwa, a nieustępliwość, która zasnuwała te bladoniebieskie oczy, wydawała się zakazać całą twarz.

– Chciał się pan ze mną zobaczyć, szefie? – powiedział.

– Owszem, Callanie. Usiądź. – Nadzorca wykonał głęboki wdech, wprowadzając dym z powrotem do tchawicy, a potem wydmuchując go. – Mamy mały problem. Chodzi o jednego z pozostałych agentów... Znasz Numer Jeden?

– Tylko z opinii innych.

– Nigdy z nim nie pracowałeś, prawda?

– Nie, szefie. Dlaczego pan pyta?

– Obawiam się, że zaczął się zachowywać trochę nieodpowiedzialnie. Chcę, żebyś dowiedział się o nim wszystkiego, co się da... gdzie mieszka, co robi w czasie wolnym, z kim się widuje. Wszystkiego.

– Tak jest. Coś jeszcze?

– To wszystko. I zacznij od razu.

– Oczywiście. – Callan wstał i wygładził marynarkę. – Numer Jeden był we Francji, szefie? Irańscy uczeni?

– Zgadza się.

Callan skinął w zamyśleniu głową.

– To było niefortunne.

Nadzorca popatrzył na niego i wiedział, że Callan przestrzegałby zasad prowadzenia akcji co do joty. Nie pozostawiłby żadnych świadków. Odznaczał się taką samą determinacją i bezwzględnością jak Milton w czasach, gdy dołączył do Grupy. Zasłynął z nich w SBS; te cechy spodobały się Nadzorcy, gdy go zwerbował.

– Proszę o codzienne raporty, Numerze Dwanaście. Zacznij natychmiast. Możesz odejść.

Znowu odwrócił się twarzą do okna, a za nim cicho zamknęły się drzwi. Przez chmurę dymu z cygara i swoje zadumane odbicie w szybie patrzył w ciemność za oknem. Na drugim brzegu rzeki po Millbank płynął

strumień pojazdów, których tylne światła pozostawiały czerwoną smugę na asfalcie.

Myślał o Miltonie.

Nadzorca był również rzemieślnikiem. Jego agenci służyli mu za narzędzia. Czasem, kiedy się starzały i przestawały być niezawodne, gdy ich krawędzie pokrywały się rdzą i nie dało się ich już naostrzyć, trzeba było je zastąpić nowymi.

Być może nadszedł czas.

Zastanawiał się, czy to właśnie będzie musiał zrobić.

## 7

Kiedy Elijah Warriner czekał, aż pociąg wjedzie na stację, był przerażony. Znajdowali się w Homerton, siedzieli na jednej z metalowych ławek; spod łuszczącej się czerwonej farby wychodziła szorstka rdza, powietrze było ciężkie od woni zwiędniętego moczu i słodkiego zapachu skręta, który wędrował z ręki do ręki. Elijah patrzył na ścianę stojącego po drugiej stronie torów magazynu oznaczonego akronimem LFB wskazującym, że to ich teren; wysokie na trzy metry jaskrawożółto-zielone litery, z czarnym obrysem rozmazanym w miejscach, gdzie deszcz rozpuścił farbę, zanim wyschła.

LFB.

London Fields Boys.

W tej okolicy to oni wszystkim rządzą.

Na peronie było ich sześciu. Pops, najstarszy i najroślejszy, kierował tą niewielką ekipą. Wokół niego ustawili się pozostali chłopcy: Little Mark palił skręta oparty plecami o mur; Pinky miał na głowie słuchawki, dolatywały z nich brzęczące dźwięki nowej płyty Naughty Boya; Kidz i Chips mierzyli wzrokiem dziewczyny z Gascoyne Estate, które również czekały na pociąg. Wszyscy byli ubrani tak samo: czapka bejsbolowa, bluza z kapturem, dżinsy z obniżonym krokiem i nowiutkie najki lub reeboki. Niektórzy mieli nasunięte kaptury, opierające się o daszki czapek i rzucające cień na ich twarze. Wszyscy nosili na szyi bandany.

Było tuż przed wpół do szóstej i właśnie zaczynały się godziny szczytu.

Pops objął Elijaha w ramionach prawą ręką i mocno przycisnął, drugą ręką drapiąc go po głowie.

– Wyluzuj, JaJa – rzekł. – Nie ma powodu do zmartwień.

Elijah zdołał się uśmiechnąć. Pops nosił taki sam uniform jak wszyscy pozostali, ale miał kolczyki z brylantami, masywny sygnet na każdej dłoni i gruby złoty łańcuch na szyi. Świadczyły one o jego pozycji Nestora i oczywiście o tym, że miał więcej forsy niż reszta ekipy. Elijah przyglądał się, jak Pops wyciągnął torebkę z marihuaną i paczkę bibulek.



– Moja babcia nauczyła mnie robić skręty, kapujesz? – Pops rozpostarł na kolanach egzemplarz „Metra” i rozłożył swoje rzeczy: torebkę z trawką, bibułki, zapalniczkę. – To towar wysokogatunkowy – powiedział, wskazując na przezroczystą torebkę i jej brązowo-zieloną zawartość. Otworzył torebkę i odsypał z niej niewielką kupkę narkotyku. – Przed czymś takim trzeba się wprawić w odpowiedni stan. Nic nie nadaje się do tego lepiej niż porządna trawka, wiesz, o czym mówię?

Elijah skinął głową.

– Robiłeś to już?

– No jasne – odparł chłopak, siląc się na lekki ton. Palił już od sześciu miesięcy, odkąd tylko zaczął się zadawać z młodymi członkami LFB na galeriach i klatkach schodowych Blissett House. Początkowo też go to przerażało i pierwszych kilka sztachnięć przyprawiło go o wymioty i łzy w oczach. Był to jednak drobiazg, szybko przywykł. Jeden skręt zawsze wędrował z rąk do rąk, a Elijah zawsze pilnował, żeby się załapać.

Pops roześmiał się z jego odpowiedzi.

– Wierz mi, młody człowieku, czegoś takiego nie paliłeś. – Rozłożył bibułkę i wypełnił ją grubym paskiem marihuany. Przytknął pokryty klejem brzeg bibułki do ust, polizał go i zakleił. Zapalił koniec skręta i zaciągnął się mocno, cmokając z uznaniem. Sztachnął się jeszcze raz i podał skręta Elijahowi.

– No, młody, pociągnij sobie.

Elijah wziął skręta i zdając sobie sprawę, że Pops i pozostali mu się przyglądają, dopilnował, by nie okazać cienia zdenerwowania, gdy wsuwał go między wargi i głęboko się zaciągał. Ponieważ dym był gryzący i mocny, chłopiec zacharczał bezradnie. Pozostali ryknęli na widok jego zakłopotanej miny.

– Spójrzcie na tego małego jajcarza! – zawołał Pinky. – Zaraz kojfnie od tego kaszlu.

– Zamknij dziób – złajał go Pops. – Niech się delektuje. I co myślisz, młody?

– Ekstra – wykrztusił z siebie Elijah.

– Taak, stary... ekstra. A wiesz, dzięki czemu jest taki świetny?

Pokręcił głową, wciąż oszołomiony.

– Szczynty. Hodowcy szczają na ziemię. Dzięki temu zioło jest mocniejsze, daje kopa.

Elijah zacharczał z odrazą i znowu omal nie zwymiotował.

Pops uśmiechnął się do niego, gdy pociąg wtoczył się na peron.

– Weź się w garść, młody. Nadjeżdża. To jest to. Chcesz z nami być, musisz to zrobić. Jesteś gotowy?

– Tak.

Młody poczuł nagły przypływ beztroski. Wzmogło to jego przerażenie i nagle zrobiło mu się niedobrze. Odwrócił się od Popsa, zgiął się w pół i zwymiotował smażonym kurczakiem, którego zjadł dziesięć minut wcześniej; rozdrobniona papka rozbryzgiwała mu się między nogami, brudząc nowe najki, które ukradł ze sklepu przy Mare Street poprzedniego dnia.

Pozostali zaczęli wrzeszczeć.

– Zarzygał sobie całe buty! – zawołał Chips.

– Daj spokój – rzucił Pops. – Ogarnij się. Przyjechał pociąg.

Drzwi się rozsunęły i na peron wylali się wracający z pracy w nowym dużym centrum handlowym, wielu wciąż w służbowych uniformach. Pops podciągnął bandanę i nasunął kaptur na czapkę, aż cała jego twarz z wyjątkiem oczu była zasłonięta. Pozostali uczynili to samo. Pops stał za Elijahem, któremu trzęsły się ręce, i wepchnął go do zatłoczonego wagonu. Reszta weszła za nimi.

Młody był już świadkiem grupowego okradania pasażerów pociągu i wiedział, czego się spodziewać. Wpychając go w głąb wagonu, Pops i pozostali członkowi gangu zaczęli wycić i wrzeszczeć, posuwając się przejściem między fotelami. Powodowany przez nich hałas był dezorientujący i przerażający, wydawało się, że żaden pasażer nie był w stanie zareagować. Pops wparował między ustawione naprzeciw siebie ławki i wyrwał z dłoni telefon komórkowy jakiemuś mężczyźnie w garniturze. Inni robili to samo, zabierając telefony i tablety, sięgając po portmonetki do torebek i wyciągając portfele z wewnętrznych kieszeni marynarek i płaszczy, szarpiąc za naszyjniki, aż pękły i można je było zsunąć z szyi. Elijah podążał za Popsem i gdy wędrowali od pasażera do pasażera, brał wręczane mu przez szefa przedmioty i wrzucał je do plecaka. Jego przerażenie topniało, w miarę jak rósł poziom endorfin, które czuł podniecony tym, że oni rabują, a nikt nie próbuje ich w żaden sposób powstrzymać.

Młody człowiek w garniturze spoglądał na nich, gdy posuwali się naprzód przez wagon. W dłoni trzymał aparat Blackberry.

– Na co się gapisz? — zapytał Pops. – Chcesz dostać z liścia?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– A może wsadzić ci kosę? – Chips sięgnął do kieszeni i wyjął nóż z piętnastocentymetrowym ostrzem.

Tamten nadal milczał. Elijah spojrzał na niego i dostrzegł w oczach strach. Nie prowokował ich, po prostu był zbyt przerażony, by cokolwiek zrobić.

– Młody, zabierz mu go – rzekł Pops, popychając go naprzód.

Elijah podszedł do mężczyzny.

– Dawaj telefon.

Młodzieniec nie opierał się i podał go Elijahowi. Ten dołożył aparat do reszty fantów w plecaku. Popatrzył na mężczyznę, spojrzał mu w oczy i zrobił szybki, nagły ruch w jego stronę. Tamten się wzdrygnął, spodziewając się ciosu, który nie padł. Elijah nigdy wcześniej nie spowodował takiej reakcji. Zawsze najmniejszy lub najmłodszy, był obiektem żartów. Sama przynależność do LFB czyniła wielką różnicę. Ludzie traktowali go poważnie. Zaśmiał się nie ze złościwością, lecz z niedowierzaniem.

Little Mark stał w drzwiach, blokując je i uniemożliwiając odjazd pociągu.

– Policja! – krzyknął.

Przejsie po wagonie zajęło im zaledwie kilka sekund, choć wydawało się, że trwało to znacznie dłużej. Pops pchnął Elijaha przed sobą, gdy chłopcy ruszyli dalej; pasażerowie rozstępowali się przed wypadającymi z pociągu rabusiami. Na peronie młody usłyszał dobiegający z położonej poniżej ulicy dźwięk syren. Little Mark zeskoczył na tory i przeciął szyny, biegnąc na drugą stronę torowiska i prowadząc pozostałych. Elijah wdrapał się z powrotem na peron, przeskoczył przez drewniany płot i zbiegł po nieubitej ziemi nasypu, a potem puścił się sprintem Berger Road, skręcił w Wick Road i przeszedłszy na drugą stronę jezdni, znalazł się na osiedlu. Dorastali w tych uliczkach oraz przejściach i znali je wszystkie instynktownie. Gdyby policja próbowała ich śledzić, nie miałyby szans.

Biegł w środku grupy, jego ciężki od łupów plecak pobrzękiwał. Niepokój zniknął, zastąpiony pulsującym podnieceniem wywołanym zuchwałością tego, co zrobili. Wzięli ten pociąg szturmem, a jadący nim ludzie bali się ich. Siedzieli tam w swoich eleganckich garniturach z kosztownymi gadżetami i żaden nie kiwnął palcem. Elijah przywykł do wysłuchiwania, co ma robić – od rodziców, nauczycieli, policji – a tutaj

doszło do całkowitego odwrócenia ról. Pamiętał minę faceta z telefonem BlackBerry. To był dojrzały mężczyzna, człowiek na stanowisku, w drogim ubraniu i z kosztownymi dodatkami, taki, co przypuszczalnie posiada drogie mieszkanie w Dalston, Hackney bądź Bethnal Green, bo te miejsca były fajne. I on się bał Elijaha. Był wystraszony.

Elijah nigdy wcześniej nie doświadczył, jak to jest budzić postrach.

## 8

Milton zawiózł ją do Hackney. Po obu stronach drogi ciągnęły się sklepy będące własnością imigrantów, próbujących sprzedać tandetne towary ludziom, których nie było na nie stać. Minęli sklepy ze smażonymi kurczakami oraz stację metra i przejechali estakadą nad A12.

Sharon poleciła, by skręcił z głównej drogi w lewo, i wjechali na osiedle. Minęli powoli całodobowy sklep ogólnospożywczy z kratami w oknach i ekranem z pleksi chroniącym właściciela przed klientami. Nad okolicą górowały trzy wielkie wieżowce, każdy nazwany na cześć lokalnego polityka z innych, odznaczających się optymizmem czasów, gdy te budynki wydawały się jasne, nowe i budzące nadzieję. Te czasy minęły. Objechali Carson House, wieżowiec przeznaczony do wyburzenia, z oknami i drzwiami szczelnie zakrytymi metalowymi osłonami w jaskrawopomarańczowym kolorze. Przed budynkiem znajdował się plac zabaw, zakapturzone dzieciaki siedziały na huśtawkach i zjeżdżalniach, czerwone koniuszki papierosów migotały w przydymionym świetle lamp żarowych.

Sharon skierowała Milтона pod Blissett House i gdy wjeżdżał na parking zastawiony poobijanymi czy spalonymi wrakami aut, oznaki degradacji były zbyt oczywiste, by jej nie zauważyć. Milton się rozejrzał. Blissett House wyglądał tak, jakby wzniesiono go w latach pięćdziesiątych. Wówczas wydawał się zapewne futurystyczny, był symbolem zupełnie nowego stylu życia powstałym na miejscu paskudnych domów szeregowych, które zostały wyburzone; rada gminy dokończyła dzieła rozpoczętego przez Niemców. Wieżowiec miał dwadzieścia pięter, na każde z nich można było się dostać z zewnętrznej galerii. Budynek budził dojmujące poczucie zagrożenia, silny lęk, który osiadał na wszystkim jak smog. W drzwiach i oknach wszystkich mieszkań wstawiono kraty. Wszędzie na ścianach widniały namalowane sprayem napisy. Jeden z garaży na poziomie parteru został spalony, jego metalowe drzwi były na wpół wyrwane z zawiasów i wisiały krzywo. Pośrodku szerokiego parkingu stało audi z przyciemnianymi szybami; drzwi były otwarte, a w fotelu

kierowcy siedział rozwalony mężczyzna z nogami wystawionymi na zewnątrz. Złowrogi, rytmiczny łomot nowego dubstepowego utworu wydobywał się z drżących wielkich głośników basowych umieszczonych w tyle samochodu.

Milton skierował pilot w stronę swojego volvo i kciukiem przycisnął włącznik zamka centralnego. Wydawało się to niepotrzebnym, pretensjonalnym gestem i gdy odchodzili, samochód wyglądał na bezbronny. Milton chociaż raz cieszył się ze stanu swojego pojazdu. Z rurą wydechową przydrutowaną do podwozia i błotnikiem wgniecionym podczas ostatniej kraksy volvo nie przyciągało wzroku. Miał nadzieję, że nie warto go kraść, bo inaczej czeka go długi spacer do domu.

Ruszył za Sharon w stronę budynku. Właściciel audi patrzył na Milтона przez błękitną chmurę dymu z palonej trawki, leniwym, lecz groźnym spojrzeniem. Włosy miał sfilcowane w długie dredy, na szyi złote naszyjniki. Gdy go mijał i spojrzeli sobie w oczy, mężczyzna nonszalanckim ruchem wyrzucił dopalonego skręta i podciągnął koszulkę, by pokazać kolbę krótkiej broni palnej zatkniętej za pas dżinsów. Milton odwrócił wzrok. Nie przejmował się tym, że tamten uznał to za drobne zwycięstwo. Nic by nie zyskał, pakując się w kłopoty.

Sharon poprowadziła go do holu budynku.

– Windy nie działają – przeprosiła, wskazując na napisy przyklejone na zamkniętych drzwiach. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko małej wspinaczce. Mieszkamy na piątym piętrze.

Klatki schodowe były wilgotne, ciemne i śmierdziało w nich moczem. Śmieci składowano na posadzce, a sterta popiołu wyznaczała miejsce niedawnego pożaru. Jakiś młody chłopak z kapturem naciągniętym na głowę zbliżył się do nich, powłócząc nogami.

– Szukasz tu czegoś?

Sharon podeszła do chłopaka i powiedziała:

– Przestań, Dwayne.

– Gdzie jest JaJa? – zapytał.

– Już ty się o niego nie martw.

– Powiedz mu, że chcę się z nim zobaczyć.

– Po co?

– Po prostu mu powiedz, głupia suko.

Milton stanął pomiędzy nimi.

Chłopak był duży jak na swój wiek, tylko kilka centymetrów niższy od Milтона, a ramiona miał mocno umięśnione.

– Tak? – Odwrócił się do niego. – Czego chcesz, dryblasie?

– Chcę, żebyś okazał trochę szacunku.

– A kim ty jesteś? Jej nowym przyjacielem? To brudna zdzira, człowięku. Zdzira. W zeszłym tygodniu widziałem, jak do jej mieszkania wchodzi i wychodzi z niego z pół tuzina kolesi. To łatwa kobieta, bracie... Nie myśl, że jesteś kimś szczególnym.

Chłopak wyrażał swoją opinię; nie wiedział, jakie stosunki łączą Milтона z Sharon, i nie obchodziło go to. Prowokował go. Wydawało się, że rozmowa z nim nie ma sensu. Milton uderzył go z zaskoczenia na odlew, aż chłopak zatoczył się na ścianę. Szybko poszedł za ciosem, chwytając go za rękę i mocnym szarpnięciem wykręcając mu ją na plecach. Chłopak pisnął z bólu, gdy Milton odgiął mu palce i obrócił twarzą do Sharon.

– Przepróś – powiedział.

– Panie Milton... – odezwała się niepewnie Sharon.

– Przepróś! – rozkazał ponownie Milton.

Chłopak zazgrzytał zębami, a Milton jeszcze mocniej wygiął mu palce.

– Przepraszam – wystękał. – Przepraszam. Proszę... Połamie mi pan palce.

Milton obrócił go twarzą w stronę drzwi i wypchnął z budynku. Chłopak wylądował na brzuchu, szorując twarzą po szorstkim asfalcie. Mężczyzna w podrasowanym samochodzie spojrział na leżącego, a po jego twarzy przebiegł cień leniwego zainteresowania.

– Nie musiałeś tego robić – powiedziała Sharon. – Najlepiej nie zwracać na nich uwagi.

– Dobre maniery nic nie kosztują. No... wejdźmy do środka. Założę się, że napiłabyś się herbaty.

Weszli po schodach na piąte piętro i ruszyli galerią na koniec bloku. Dwóch młodych chłopców opierało się o balustradę, spoglądając na osiedle w dole, i dalej, na ulice i domy składające się na tę część Hackney. Milton zorientował się, że postawiono ich na straży, by zauważyli nadjeżdżające rzęchy członków konkurencyjnego gangu lub policyjne radiowozy i ostrzegli starszych kolegów sprzedających swój towar na galeriach poniżej. Jeśli to będzie policja, dilerzy znikną, a w razie wizyty konkurencyjnej ekipy wezwą posiłki. Milton się nie odzywał się. Gdy się zbliżali, chłopcy spiorunowali ich wzrokiem.

Mieszkanie numer 609 znajdowało się na skraju, gdzie galeria graniczyła z pokrytym graffiti murem. Drzwi były zabezpieczone metalową kratą, a okna podobnymi prętami. Sharon otworzyła kratę, a następnie grube drzwi i weszła do mieszkania. Milton wszedł za nią, instynktownie oceniając wnętrze. Drzwi prowadziły do maleńkiego, kwadratowego przedpokoju ze ścianą obwieszoną płaszczami na rzędzie haczyków i tuzinem par butów ułożonych pod nimi bez ładu i składu. Pod szparą na listy leżała poczta i Milton spostrzegł, że większość stanowiły rachunki; na kilku czerwona czcionka zdradzała ostateczne żądanie zapłaty. W przedpokoju było troje drzwi. Sharon otworzyła jedno z nich i Milton wszedł za nią do salonu.

Był to duży pokój ze starą kanapą, kwadratowym stołem, czterema krzesłami i dużym telewizorem z płaskim ekranem. Na podłodze leżały rozrzucone gry wideo.

– Ile masz dzieci? – zapytał Milton.

– Dwójkę. Mój najstarszy, Jules, zadał się z nieodpowiednimi ludźmi. Ma problem z narkotykami... Widujemy go tylko wtedy, gdy potrzebuje pieniędzy. Przeważnie jestem tu tylko z Elijahem.

– Może usiądziesz? – zaproponował Milton. – Domyślam się, że tam jest kuchnia?

Sharon skinęła głową.

– Więc usiądź i odpręż się. Zaparzę herbatę i poczekamy na twojego syna.



## 9

Gdy Elijah otworzył drzwi mieszkania, ujrzał siedzącego w pokoju od frontu mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widział. Gość był wysoki, miał silne ramiona oraz duże dłonie i w luźnym garniturze oraz zdartych skórzanych butach wyglądał mało atrakcyjnie. Blizna na jego twarzy była nieco przerażająca. Siedział w fotelu, z którego on korzystał podczas gry na konsoli, i pił herbatę z filiżanki. W pierwszym odruchu Elijah pomyślał, że to policjant – detektyw – i nagle poczuł się potwornie zagrożony. Pops kazał mu wziąć wszystko, co zabrali ludziom w pociągu, i przechować w bezpiecznym miejscu, dopóki nie znajdzie nabywcy na te rzeczy. Teraz pobrzękiwały w plecaku na jego ramieniu.

Naprzeciw mężczyzny siedziała jego matka. Wstała, gdy przestępował próg salonu.

– Gdzie byłeś? – zapytała. – Spóźniłeś się.

– Wyszedłem – odparł z ponurą miną. Mężczyzna odstawił filiżankę i wstał z fotela. – Coś ty za jeden?

– To jest pan Milton.

– Jego pytałem. – Spojrzał na obcego. W jasnoniebieskich oczach nieznanego widać było nieustępliwość. Elijah próbował zmusić go do odwrócenia wzroku, ale choć mężczyzna się uśmiechał, spojrzenie miał zimne, harde i denerwujące. Budził niepokój.

Wyciągnął rękę.

– Możesz mi mówić John – powiedział.

– Może być. – Ciężki plecak zsunął mu się z ramienia, grzechocząc hałaśliwie. Elijah podciągnął go z powrotem i wyminął mężczyznę, by pójść do swojego pokoju.

Sharon wstała z kanapy i zagroziła mu drogę.

– Co jest w tym plecaku?

– Nic. Tylko moje rzeczy.

– W takim razie pozwolisz, że zajrzę, dobrze?

Wzięła od niego plecak, rozpięła zamek i wyjęła jeden po drugim telefony komórkowe, zegarki, portfele oraz dwa tablety. W milczeniu

ułożyła je rzędem na stole, po czym, odwróciła się do niego z wyrazem przerażenia na twarzy.

– Skąd to masz?

– Kumpel prosił, żebym mu popilnował.

– Ukradliście to?

– Jasne, że nie – odparł, ale wiedział, że nie zabrzmiało to przekonująco. Czuł obecność wysokiego mężczyzny. – Coś ty za jeden? – zapytał ponownie. – Policjant? Opiekun społeczny?

– Jestem znajomym twojej matki. Ona martwi się o ciebie.

– Niepotrzebnie. Nic mi nie jest.

Sharon podniosła kosztowny z wyglądu zegarek.

– To wszystko kradzione, prawda?

– Powiedziałem ci już, ja się tym tylko opiekuję.

– Więc możesz mu to odnieść. Nie chcę tego w domu.

– Może po prostu zajmiesz się swoimi sprawami? – Elijah wrzucił wszystko z powrotem do plecaka i przewiesił go przez ramię.

– Kto to jest? – zapytała, gdy chłopak odwrócił się do drzwi.

– Nie znasz go.

– Okaż matce trochę szacunku – rzekł Milton. – Nie zasługuje, byś tak do niej mówił.

– A kim ty jesteś, żeby mi mówić, co mam robić? – wybuchnął Elijah. – W życiu cię nie widziałem. I nie myśl sobie, że jesteś kimś szczególnym. Żaden z jej przyjaciół nie wytrzyma dłużej. Wszyscy w końcu się nudzą i znikają na zawsze. Nie wiem, coś ty za jeden, i nie zamierzam zadawać sobie trudu, żeby się tego dowiedzieć. Więcej cię nie zobaczę.

– Elijah!

Milton nie wiedział, jak na to odpowiedzieć, i odsunął się, gdy chłopak ruszył do wyjścia. Sharon przyglądała się bezradnie, jak jej syn otwiera drzwi, przestępuje próg i zatrząskuje je za sobą.

## 10

Elijah przeszedł przez gromadę klientów, którzy zebrali się przed wejściem do Blissett House. Chłopcy nazywali ich „kotami” i wykorzystywali na całego. Przekazywali torebki z marihuaną i heroiną oraz bryłki cracku, odbierali od nich pieniądze i odprowadzali. Nabywcy nie docierali zbyt daleko. Jedno z pustych mieszkań zostało zmienione w narkotykową melinę i pędzili do niego. Kiedy wiele godzin później wychodzili stamtąd, powłócząc nogami, byli bladzi i nieobecni myślami, niczym zombie o martwych spojrzeniach, kombinujący już rozpaczliwie, gdzie znajdą forszę na następną działkę.

Ruszył przez osiedle do opuszczonego mieszkania, które LFB zajęli dla siebie. Jakaś rodzina została wyeksmitowana za niepłacenie czynszu i teraz starsi członkowie gangu zbierali się tam, żeby pić, palić i spędzać czas ze swoimi dziewczynami. Elijah nigdy wcześniej nie był w tym mieszkaniu, nie wiedział jednak, dokąd jeszcze mógłby zanieść plecak i skradzione rzeczy.

Był wściekły. Kim był ten człowiek, żeby mu rozkazywać? Nie przypominał żadnego z przyjaciół matki... Po pierwsze, był biały... ale nie miał prawa przychodzić i wtykać nosa w jego sprawy. Pomyślał, że już nie zobaczy tego człowieka, że mu się znudzi, tak samo jak znudziło się tamtym, i to on powie matce, że to bez znaczenia, że będzie się o nią troszczył. Był przecież głową rodziny, odkąd zabrakło starszego brata. Dorósł do tego wszystkiego. Musiał dorosnąć; nie było nikogo innego.

Mieszkanie znajdowało się w bloku naprzeciwko Blissett House. Elijah snuł się po galerii, próbując zdobyć się na odwagę, by skrócić za róg i podejść do drzwi. Mieszkanie mieściło się na dziesiątym piętrze, roztaczał się stamtąd panoramiczny widok na okolicę. Spojrzał poza granice osiedla, na mieszaninę schludniejszych budynków mieszkalnych, które powstały na miejscu dwóch innych bloków, wyburzonych przed pięcioma laty, za wstęgę ruchliwej Mare Street i na iskrzący się na drugim końcu Londynu Wschodniego Park Olimpijski. Wsparł łokcie na balustradzie i spoglądał na ich mieszkanie. Okno jego sypialni wychodziło na galerię. Pamiętał chwile,

gdy leżał wieczorem w łóżku i słuchał, jak starsi chłopcy zbierają się na zewnątrz, pamiętał czujki wystawiane do wypatrywania policji lub innych gangów. Rozmawiali o pieniądzach, o rzeczach, które kupią, o dziewczynach. Gadali tak godzinami, aż słodka woń marihuany napływała przez otwarte okno i wypełniała sypialnię. Matka Elijaha od czasu do czasu wypadła z mieszkania i ich przepłaszła, ale oni zawsze wracali i w końcu dała za wygraną.

To było upajające. Ci chłopcy wydawali mu się wyjątkowi. Byli wyluzowani. Byli starsi, mieli forszę, nie bali się dziewczyn. Rozmawiali o handlu narkotykami i rabowaniu, rzeczach, o których śpiewali ulubieni raperzy Elijaha. Był to styl życia bardziej efektowny od codziennego znoju szkolnych zajęć, a potem pomocy matce w mieszkaniu. Wydawało się, że to nic złego uszczknąć odrobinę dla siebie.

Chłopcy wiedzieli, że Elijah ich słyszy, i w końcu zaczęli go uwzględniać w swoich rozmowach. Niedługo potem otworzył okno na oścież i też z nimi rozmawiał. Zapytał, jak może zdobyć własne pieniądze. Kazali mu stać dla nich na warcie i to robił. Kiedy wrócili, dali mu nowiuteńką konsolę PSP. Tydzień później dostał od nich pieniądze. Nigdy przedtem nie widział banknotu pięćdziesięciofuntowego, a oni wcisnęli mu taki do ręki. Zaczęli z nim częściej rozmawiać. Zaproponowali pierwszego skręta. Próbując go zapalić, charczał bezradnie, a oni się z niego śmiali, gdy rozpaczliwie starał się nadrabiać miną.

Niebawem dali mu szansę zarobić kolejne pieniądze. Był drobny, miał chudziutkie ręce, które mieściły się w szparach uchylonych szyb samochodów. Otwierał drzwi od wewnątrz, a chłopcy wyrywali aparaturę stereo i kradli wszystko inne, co zostawiono w środku: urządzenia GPS, torebki. Co noc okradali sześć lub siedem wozów, a Elijah otrzymywał pięćdziesiąt funtów. Gotówkę włożył do pudełka po butach, które ukrył pod łóżkiem. Matka nigdy nie zapytała, skąd wziął pieniądze na nowe ubranie. Elijah wiedział, że nie jest głupia. Po prostu nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

Obserwował, jak otwierają się drzwi i biały mężczyzna wychodzi z mieszkania, a potem idzie galerią i zszedłszy po schodach, wyłania się na parking przed budynkiem. Podeszedł do starego, poobijanego samochodu, przystanął przy drzwiach, po czym przykucnął przy przednim kole. Po tym, jak auto przechyliło się na bok, Elijah poznał, że ktoś przeciął oponę.

Uśmiechnął się, gdy mężczyzna zdjął marynarkę, wyciągnął z bagażnika zapasowe koło i zabrał się do wymiany.

Dwójka starszych chłopaków paliła skręty na galerii.

– Wszystko w porządku, młody? – zapytał ten, który naprawdę miał na imię Dylan, ale nazywali go Grubaskiem z powodu tuszy w czasach, gdy był młodszy. Wyrósł z tego; miał dziewiętnaście lat, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i był bardzo silny.

– Zastałem Popsa?

– Jest w środku. Czego chcesz?

– Muszę się z nim zobaczyć.

– Jest na zapleczu. Zapukaj, zanim wejdiesz.

Mieszkanie zostało zajęte przez LFB. Członkowie gangu wymalowali jego tag na wszystkich wolnych ścianach, a jego wielka, kolorowa wersja wypełniała całą ścianę w salonie. Chłopcy z osiedla objali się, niektórzy grali w FIFA na kradzionym telewizorze z płaskim ekranem. Inni słuchali nowego albumu Wretcha, spierając się, czy jest lepszy, czy gorszy niż nowe kawałki Newham Generals bądź Professor Green. Śmieci upchnięto w kątach pokoju: puste papierowe torby z McDonald's, kości kurczaków obgryzione do czysta, puste pudełka po papierosach, bibułki do skrętów. Wszyscy się sztachali i młody szybko poczuł zawroty głowy od dymu trawki, który snuł się powoli po całym salonie. Paru chłopaków podniosło wzrok, zauważyło go i znowu zignorowało. Nikt się nie przywitał. W pokoju panowało napięcie i spowodowane hałasem zamieszanie. Elijah czuł się młodo i bezbronne, ale nie śmiał tego pokazać po sobie.

– Spójrzcie, kto przyszedł! – krzyknął Little Mark.

– Mały JaJa. Późno już, młody, nie powinieneś leżeć w łóżeczku? – zapytał szyderczo Pinky.

– Daj mu spokój – zbeształ go Kidz.

Elijah niechętnie skierował się w ich stronę. Little Mark naprawdę miał na imię Edwin i mieszkał z tatą na szóstym piętrze Blissett House. Elijah nie znał prawdziwego imienia Kidza, wiedział tylko, że mieszka w Regis House i słynie w tej ekipie jako najskuteczniejszy rabuś. Pinky w rzeczywistości miał na imię Shaquille, zwykle milczał i z pewnością miał paskudną reputację. Elijah starał się trzymać od niego z daleka.

– Co tu robisz? – zapytał Kidz, gdy młody do nich podszedł.

– Przyszedłem zobaczyć się z Popssem.

Pinky wskazał ruchem głowy na plecak na jego ramieniu.

- Boisz się, że twoja mama dowie się, co tam masz?
  - Nie boję się – odparł Elijah.
  - To z popołudnia, prawda? Sprzęt z pociągu?
  - Tak.
  - Po co w takim razie przynosisz go z sobą? Głupi jesteś czy co?
  - Głupi też nie jestem.
  - Z mojej perspektywy wyglądasz na niezłego głupka.
- Kidz uśmiechnął się do niego z pobłażaniem.
- Jak zamierzasz się z tego wytłumaczyć, jeżeli zatrzyma cię policja?
- Elijah poczuł, że się rumieni.

– Mówiłem ci, że to głupek – powiedział Pinky. – Głupi smarkacz. Nie nadaje się do LFB.

– Na szczęście dla niego nie ty o tym decydujesz. A ty, młody, nie zwracaj na niego uwagi. Pops jest na zapleczu. Idź dalej.

Elijah przeszedł przez pokój. Rozkład mieszkania był identyczny jak u niego i domyślił się, że Pops jest w głównej sypialni. Zapukał do drzwi. Usłyszał, że może wejść.

W pokoju było ciemno. Pops stał obok otwartego okna i wydmuchiwał dym w rozciągający się za nim półmrok. Nie miał na sobie koszuli i jego muskularny tors lśnił od potu pokrywającego cienką warstwą skórę. Na ramionach miał wytatuowanego smoka, a na bicepsie litery L, F i B. Gruby złoty łańcuch mienił się na tle ciemnej szyi. Na brzegu materaca, który ułożono w sypialni, siedziała biała kobieta. Wstając, obciągnęła spódnicę. Była starsza od Popsa, wyglądała na trzydzieści parę lat, i ubrana jak pracownice biurowe z City, które przenikały do bardziej eleganckich rejonów gminy. Elijah słyszał o niej; krążyły pogłoski, że jest kimś w City i gustuje w kokainie.

Pops podszedł do niej i pocałował ją delikatnie w policzek.

– Zobaczmy się dziś wieczorem – powiedział.

Kobieta pogładziła go dłonią po twarzy, wzięła swój zakiet i wyszła z pokoju.

Pops znalazł swoją koszulkę i włożył ją przez głowę. Elijah uświadomił sobie, że zastanawia się, ile tamten ma lat. Brązowa skóra Popsa była bez skaz, oczy jasne i skupione. Przypuszczał, że osiemnaście lub dziewiętnaście, ale Pops miał w sobie hardość, przez którą wydawał się starszy. Była to dojrzałość wymuszona, wytwór przebytej drogi, rzeczy, które widział i zrobił. To wszystko odarło go z niewinności.

– O co chodzi, młody?

– Mama mnie z tym przyłapała – odparł Elijah, zsuwając plecak z ramienia. – Zabierze mi to, jeśli wniosę to do domu.

Pops się roześmiał.

– Nie przejmuj się, młody. Zaopiekujemy się tym tutaj. – Wziął plecak i cisnął go na materac. – Pieprzony dzień, jestem wykończony. – Wyjął z kieszeni torebkę z marihuaną i znalazł na parapecie okna opakowanie bibulek na skręty. – Chcesz zapalić?

Elijah nigdy przedtem nie był z Popsem sam na sam. Pops rozmawiał z nim, traktował poważnie i dzięki temu chłopiec poczuł się wyjątkowy.

– Skręcaj – odparł, siłąc się na pewność w głosie.

Pops zajął się przygotowywaniem skręta z marihuaną.

– Dobrze się bawiłeś dziś po południu, bracie?

– Jasne.

– Denerwowałeś się?

Elijah przyjął skręta i przytknął go do ust, gdy Pops podawał mu ogień.

– Trochę.

– Nic nie szkodzi. W zdenerwowaniu nie ma nic złego. To oznacza zastrzyk adrenaliny, a adrenalina jest dobra. Wyostrza zmysły. Szybko i czujnie dałeś nogę, gdy przyjechała policja.

– Zawsze byłem dobrym biegaczem – stwierdził Elijah.

– I o to chodzi, młody. To na pewno się przyda. Nie możesz dać się złapać. To właśnie dodaje mi sił, nawet gdy w płucach piecze mnie tak, jakby ktoś mi zapalił skręta w piersi, nawet gdy drzemiący we mnie uparciuch pragnie zawrócić i zgrywać nieświadomego, stawić im czoło po męsku; właśnie wtedy przypominam sobie, że już spędziłem zbyt dużo nocy w więziennej celi, właśnie wtedy przypominam sobie, że schwytanie przez policję nie wchodzi w grę. Nie możesz wrócić do domu i chwalić się, że zatrzymała cię policja. Nie powinieneś dać się złapać. – Uśmiechnął się. – Wszystko gra. Dobrze zrobiłeś.

Elijah poczuł przypływ dumy, aż serce zabiło mu mocniej. Wcześniej nikt mu nic takiego nie powiedział. Nauczyciele uważali, że jest bezużyteczny, nie miał taty, a mama wiecznie zrzędziła. Zaciągnął się skrętem, kaszłąc, gdy dym trafił do płuc.

– Nigdy dotąd tak naprawdę nie rozmawialiśmy, prawda?

Młody wzruszył ramionami.

– Nie za bardzo.

– Co masz zamiar zrobić ze swoim życiem, młokosie?

To pytanie zaskoczyło Elijaha.

– Nie wiem – odparł.

– Nie masz żadnych planów? Żadnych marzeń?

– Nie wiem. Może futbol. Nieźle sobie radzę. Może to.

– Może futbol – powtórzył Pops, uśmiechając się i biorąc skręta, gdy Elijah podał mu go powrotem.

– Jestem w tym dobry – dodał niepewnie chłopak, zastanawiając się, czy Pops delikatnie się z niego wyśmiewa. – Jestem dość szybki.

– Mało powiedziane – stwierdził Pops, zaciągając się głęboko. – Jesteś niczym Usain Bolt z Hackney.

Pops opadł na materac. Poklepał miejsce obok siebie i Elijah także usiadł. Być może podziałała marihuana, ale czuł, że zaczyna się odprężyć.

– Słuchaj, młody, coś ci powiem. Pomyślisz, że to niefajne, ale wiem, o czym mówię, a ty wyświadczysz sobie przysługę, słuchając, dobrze? – Pops usadowił się wygodnie, tak że opierał się o ścianę. – Dobrze jest mieć marzenia, ale człowiek potrzebuje również planu. Może przyzwicie grasz w piłkę nożną, może jesteś wystarczająco dobry, by odnieść sukces, ale ilu znasz chłopaków z tych okolic, którzy tego dokonali? Może przyjdzie ci ktoś do głowy, ale ja nie znam żadnego. Futbol to marzenie, zgadza się, i jak mówię, dobrze jest mieć marzenia, ale mężczyzna musi mieć też plan. Realistyczny plan na wypadek, gdyby jego marzenia się nie spełniły. Wiesz, co mówię?

– A ulica?

– Pytasz poważnie, młody? Na ulicy bywa zabawnie, nie wplątuj się w to zbyt głęboko, ale ulica to nie jest plan na życie.

– Przecież ty to robisz.

– Tylko na razie. To nie jest sprawa długotrwała.

– Znam takich, co dobrze sobie radzą.

– Dzieciaki handlujące narkotykami?

– Nie, to tylko pierwsze kroki, mam na myśli tych nad nimi.

– Posłuchaj mnie... Na ulicy nie ma żadnej przyszłości. Niektórym braciom udaje się jednak przetrwać. Znam paru, którzy zaczęli jako młodzi, jak ty, młodszy od ciebie, potem pięli się, sprzedając prochy i rabując, dopóki nie zostali Nestorami, a potem część z nich wystarczająco długo trzymała się z daleka od kłopotów i zostali Twarzami. Ale posłuchaj, co roku niektórzy są eliminowani. Część zgarnia policja, inni nie mają aż



tyle szczęścia: dostają kulkę i lądują w grobie. Jak u Darwina, prawda? Przetrwają najlepiej przystosowani. Jeśli chcesz, moglibyśmy przeprowadzić mały eksperyment... Zacząć z setką chłopców, dzieciaków w twoim wieku. Myślę, że gdybyśmy pięć lat później wrócili sprawdzić, jak sobie radzą, to może paru z nich wciąż czerpałoby dochód z ulicy. Pozostali wypadliby z gry w taki czy inny sposób. Zapuszkowani lub martwi. Nie wiem, jak sobie radzisz z liczeniem, ale ja tak jak ty z grą w piłkę... jestem w tym całkiem niezły. I zapewniam cię, młody, jeden czy dwa do stu to nie są szanse, które budzą mój zachwyty.

– A dzisiaj? Przecież byłeś z nami.

– Wiem... Pewnie wydaję ci się hipokrytą. I słusznie, może nim jestem. Ale nie twierdzę, że kradzież jest zła. To niesprawiedliwe, że niektórzy mają wszystko, czego chcą, a inni... ludzie tacy jak my... To niesprawiedliwe, że nie mamy nic. Rzeczy, które dzisiaj rąbnęliśmy... Ci ludzie byli ubezpieczeni. Postraszyliśmy ich, ale właściwie nic nie stracili. Wszystko to odzyskają, lśniące i nowe. Zasługujemy na fajny telefon, aparat fotograficzny, iPod'a, cokolwiek, i nie będziemy tego mieli, jeśli sobie nie weźmiemy. Myślę, że to w porządku. Uważam, że dzięki temu to, co zrobiliśmy, jest słuszne. Ale to nie ma przyszłości. Robisz to dziesięć razy, może dwadzieścia, jeśli masz szczęście, w końcu i tak cię przytkną. Kogoś zgarną i on cię sypnie. Twoja twarz pojawia się na nagraniu z kamery. Policja musi w końcu coś z tym zrobić. Zrozum, to, co zrobiliśmy dziś po południu, jest na krótką metę. Jeśli chcesz zdobyć te rzeczy jak należy, bez strachu, że ci je odbiorą, a sam trafisz za kratki, to nie pozostaje nic innego... Musisz grać zgodnie z ich zasadami.

– Jak?

– Musisz się uczyć. Musisz zdać egzaminy. Pewnie myślisz, że odleciałem, skoro tak mówię – skinął głową na skråta, uśmiechnął się, po czym podał go Elijahowi – ale mówię rozsądnie. Nie przykładałem się do nauki. Byłem beznadziejnym uczniem, nie znosiłem szkoły, więc prawie w ogóle nie chodziłem na lekcje i nie mogłem się doczekać momentu, gdy będę wystarczająco duży, żebym nie musiał tego robić. Teraz jestem starszy, mam więcej doświadczenia i zapewniam cię, że wszystko to, co mówią o nauce, jest prawdą. Gdybym bardziej się przykładał, lepiej sobie radził, wszystko to, co staram się teraz ze sobą zrobić, byłoby milion razy łatwiejsze.

Elijah był speszony.

– A co takiego robisz?

– Mówiłem, że dobrze sobie radzę z liczeniem? Zawsze tak było, po prostu mam do tego talent. Chodzę do szkoły wieczorowej, żeby uzyskać świadectwo maturalne. Z matematyki. Znasz moją kobietę? Wiesz, czym się zajmuje?

Elijah słyszał.

– Czymś w City?

Pops skinął głową.

– Jest księgową. Twierdzi, że jeśli zdam egzaminy, załatwi mi pracę w swojej firmie. Nic szczególnego, przynajmniej na początku, w przesyłkach czy podobnym syfie, ale to pierwszy krok. Szansa, by pokazać im, co potrafię. Potem... kto wie? Powiem ci to za darmo, młody: nie zamierzam zajmować się tym, co robiliśmy dziś po południu, w nieskończoność.

Elijah znowu zaciągnął się skrętem, tłumiąc nieunikniony kaszel. Ta rozmowa go zaskoczyła. Zawsze podziwiał Popsa, uważał, że jest fajny, i Pops był ostatnią osobą, od której spodziewałby się usłyszeć, że ma pozostać w szkole i ciężko pracować.

– Dobrze się dzisiaj spisałeś. Jak mówiłem, masz potencjał. Dostrzegłem go w tobie od razu. To nie było łatwe, pamiętam swój pierwszy raz, rzygałem jak kot, musieli mnie wepchać do autobusu, a potem byłem zupełnie bezużyteczny. Z tobą nic takiego się nie działo, prawda? Masz jaja. To świetnie. Ale pomyśl o tym, co powiedziałem, dobrze? Tutaj nie ma dla ciebie przyszłości. Ani dla żadnego z nas.

Wypalili razem resztę skręta, po czym Pops wstał.

– Muszę pędzić. Mam szkołę. Egzaminy za miesiąc i teraz powtarzamy materiał. Równania i cały ten szajs. Nie chcę się spóźnić.

Wieczór był ciepły i duszny. Gdy wyszli z mieszkania, na galerii było pusto. Pops przybił zółwika i ruszył w dół schodów. Elijah wsparł się na balustradzie i spojrzał na Blissett House oraz mieszkanie matki, a potem w dół na dziedziniec. Pops wyszedł z budynku, idąc pewnie i ze świadomością celu, reagując na monosylabiczne pozdrowienia naćpanych kotów i chłopaków z gangu, którzy sprzedawali im swój towar. Pops był lubiany. Elijah pokiwał głową.

Sam miał ochotę na odrobinę tej sympatii.

**CZEŚĆ II**  
**MILA MORDERCÓW**

Otarł pot z twarzy i przytknął lunetę karabinu do oka, spoglądając na rozciągającą się poniżej równinę. Wioska znajdowała się w odległości pięciuset metrów, nad rzeką. Dwadzieścia parę chat, mieszkańcy zarabiali na życie, hodując stado kóz, które pasły się na nędznym wygonie na północ i zachód od zabudowań. Niewielka osada skupiona wokół madrasy; dzieci bawiły się na zakurzonym podwórku przed szkołą, kopiąc piłkę, parę z nich nosiło koszulki znanych mu drużyn. Wstrzymał oddech, karabin tkwił nieruchomo z łożem wciśniętym między ramię a szyję. Skierował go w prawo, bacznie przypatrując się każdej chacie z osobna. Wszystko wyglądało zwyczajnie: kobiety pracowały w domu, a mężczyźni pilnowali zwierząt na pastwisku. Przesuwał lunetę w lewo, aż wyrzutnia rakiet znalazła się w środku siatki nitek. Wyrzutnia scudów, starych rakiet R-11 rosyjskiej produkcji. Zmrużył oko, lokalizując każdego członka załogi. Trzej mężczyźni, członkowie Gwardii Republikańskiej. Umieścił każdego z nich w środku siatki, palec trzymał w osłonie spustu, wodząc jego końcem po krawędzi cyngla. Znowu odsunął lunetę, żeby móc skupić się na madrasie: piątka dzieci na podwórku, ich tania plastikowa piłka miotana na wietrze, gdy kopały nią o ścianę chaty. Były szczęśliwe. Wyrzutnia nic dla nich nie znaczyła, nic w porównaniu z grą i możliwością wspólnej dobrej zabawy. Usłyszał ich śmiech przyniesiony pożądanym powiewem wiatru.

Nazajutrz rano John Milton obudził się o szóstej. Spał źle, ten cholerny koszmar obudził go w środku najgłębszego snu i potem tak naprawdę już nie opuszczał, upiorne powidoki błąkały się w jego świadomości. Sięgnął do budzika, żeby uciszyć alarm, i pozwolił sobie na rzadki luksus powolnego odzyskiwania przytomności. Myślami powędrował do poprzedniego wieczoru, do Sharon i Elijaha. Dostrzegł w chłopcu pierwiastki własnej osobowości: upór i skłonność do opierania się autorytetom. Gdyby oboje żyli w innych warunkach, sprawdzanie granic matczynej wytrzymałości przez młodego byłoby nieszkodliwe i naturalne, a on w porę by do niej wrócił. Okoliczności nie pozwalały mu jednak na taką swobodę. Milton rozumiał, jak trudno będzie Elijahowi oprzeć się powabowi gangu. Jeśli dał się wciągnąć w jego orbitę, narażał się na fatalną utratę perspektyw: figurowanie w rejestrze skazanych, gdyby dopisało mu szczęście, lub coś znacznie gorszego, gdyby szczęścia zabrakło.

Milton nie posiadał ani nie wynajmował żadnej nieruchomości. Zwykle nie przebywał dłużej w kraju, więc nie widział w tym sensu. Wolał nie być niczym obarczony, dostosować się na tyle, by w razie potrzeby móc szybko się przeprowadzić. Nocował w hotelach, zarezerwował więc pokój w hotelu amerykańskiej sieci, anonimowe lokum, które mogło się znajdować w dowolnym miejscu na świecie. Hotel stał na południowym brzegu Tamizy, obok Westminster Bridge, i gdy Milton rozsunął zasłony, ujrzał gołębie oraz klimatyzatory na dachu sąsiedniego budynku, a dalej wieżę Pałacu Westminsterskiego. Niebo nad nią było błękitne i słońce znowu przypiekało. Zanosilo się na kolejny upalny dzień.

Wziął prysznic i przepasany ręcznikiem ogolił się, stojąc przed lustrem. Miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ważył około osiemdziesięciu dwóch kilogramów, był muskularny i mocno zbudowany. Oczy miał jasnoniebieskie, jego usta wykrzywiał okrutny grymas, od policzka do nosa biegła długa pozioma blizna, a długie włosy były trochę zaniedbane. Na ramionach miał duży tatuaż w postaci rozpostartych anielskich skrzydeł ze szponami na końcach i rzędami wyrysowanych

w skórze piór opadających po plecach i znikających pod ręcznikiem; była to pamiątka z pewnej nocy w Gwatemali, gdy postradał zmysły po rumie Quetzalteca Especial z dodatkiem meskaliny.

Ubrał się i zszedł do hotelowej restauracji na śniadanie. Znalazł wolny stolik i napełnił talerz jajecznicą z bufetu. Wypił szklanekę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, nalał do filiżanki mocnej kawy i przejrzał „Timesa”. Na pierwszej stronie dominowały informacje o zabójstwach we Francji. Francuska gendarmerie czekała na możliwość rozmowy z chłopcem. Liczono na to, że będzie w stanie powiedzieć, co się stało i może nawet zidentyfikować człowieka, który zabił jego rodziców.

Złożył gazetę i odsunął ją na bok.

Wrócił do pokoju i zaczął się pakować. Gdy przenosił ubrania z szafy do walizki, zapalił papierosa w oknie pokoju. Włożył lewisy i koszulę, wsunął portfel i telefon do kieszeni i zjechał windą do recepcji.

– Chciałbym się wymeldować – powiedział recepcjonistce.

Wstukała jego dane do komputera.

– Oczywiście, panie Anderson. Jak się udał pobyt u nas?

– Był bardzo przyjemny.

Uregulował rachunek gotówką, odebrał volvo z podziemnego parkingu i wrócił do Hackney.

Przejechał przez Square Mile, której czyste ulice, mieszkańcy w porządnym butach, strzeliste wieżowce stanowiły lśniące świadectwo potęgi kapitalizmu. Jechał dalej za Liverpool Street, przez modną Shoreditch, a potem znalazł się w przyległej strefie. Ubiegłego wieczoru, jadąc z powrotem do hotelu, zauważył pasaż handlowy. Między barem ze smażonymi kurczakami na wynos a biurem radio taxi mieściła się agencja nieruchomości. Zaparkował i przeszedł pasażem, przystając, żeby spojrzeć na nieruchomości reklamowane w witrynie agencji. Wszedł do środka. Mężczyzna w tanim błyszczącym garniturze zapytał, w czym może pomóc.

– Szukam mieszkania do wynajęcia.

– Pustego czy umeblowanego?

– Umeblowanego.

– W jakiejś konkretnej okolicy? Mamy ładne lokum w przerobionej szkole niedaleko dworca.

– Gdzieś w pobliżu Blissett House.

Mężczyzna popatrzył na niego jak na szaleńca.

– To nie jest najlepsze miejsce. Niepokojne.

– Nie szkodzi.

– Pracuje pan w centrum?

– Nie, jestem pisarzem – odparł, używając przykrywki, którą przygotował, gdy dawniej podróżował przez Londyn. – Zbieram materiały do książki na temat korupcji w policji. Muszę być w centrum wydarzeń. Nie obchodzi mnie, czy tam jest niespokojnie. Jeśli jest autentycznie, to tym lepiej. Ma pan coś?

Mężczyzna przejrzał folder z ofertami, wyraźnie nie mając ochoty zaglądać darowanemu koniowi w zęby.

– Właśnie pojawiło się mieszkanie przy Grove Road. Szeregowiec, dwie sypialnie. Nie powiedziałbym, że to coś specjalnego, ale jest tanie i znajduje się na obrzeżu osiedla. Niestety, nic lepszego nie mam. Większość lokali w samych blokach trzymają dla najemców mieszkań komunalnych.

– Może mi pan je pokazać?

– Oczywiście.

Dwupoziomowe mieszkanie znajdowało się blisko agencji, ponieważ zaś dzień był pogodny i ciepły, udali się tam pieszo. Gdy przechodzili pod torami kolejowymi na osiedle, gdzie wyburzone brutalistyczne bloki zastąpiono schludnymi bliźniakami, wznosiła się nad nimi duża bryła Blissett House. Bliźniaki zostały pomalowane na jednolity jasnopomarańczowy kolor i każdy miał własny skrawek ogródka za metalowym ogrodzeniem. Niektóre domy były zamieszkałe przez właścicieli i starannie utrzymane. Inne zostały wynajęte i wyróżniały się nieskoszonymi trawnikami, które cuchnęły psimi odchodami, kubłami na kółkach, z których wysypywały się śmieci oraz zabitymi deskami oknami. Szli dalej, w górę Grove Road.

Dom, do którego prowadził go agent, był ostatnim w szeregowcu w kiepskim stanie. Był mały, wąska fasada mieściła jedynie jedno okno i drzwi. Wyposażono je w mocne kraty zabezpieczające. Na ścianach namalowano sprayem napisy, a przy samym krawężniku porzucono na pastwę rdzy pozostałości pralki. Agent otworzył zamek kraty i szarpnięciem odciągnął ją na bok. Warunki były spartańskie: mały salon, kuchnia i łazienka na parterze oraz dwie sypialnie u góry. Meble były tanie i liche. W pokojach śmierdziało smażonymi potrawami i stęchłym moczem.

– Warunki nieco prymitywne – stwierdził agent, nie próbując nawet udawać, że jest inaczej. – Przykro mi. Mamy jednak też inne mieszkania.

Mam klucz do drugiego, znacznie ładniejszego, dziesięć minut stąd.  
– To mi wystarczy – odparł Milton. – Wynajmę je.



## 12

Załatwienie formalności związanych z wynajmem zajęło po powrocie do biura pół godziny. Milton gotówką zapłacił kaucję i czynsz z góry. Niepotrzebne były referencje ani sprawdzenie wiarygodności finansowej, co i tak nie miało znaczenia, ponieważ sprawdzanie szczegółowych danych na temat Milтона nie przyniosłoby żadnych wyników. Agent zapytał, czy Milton jest pewien, że ten dom spełnia jego potrzeby, i znowu zaproponował kilka innych możliwości, które uważał za bardziej odpowiednie. Milton grzecznie odrzucił propozycję, podziękował za pomoc, wziął klucze i wyszedł z agencji.

Okolicę obsługiwał niewielki sklep. Był skąpo zaopatrzony – kilka torebek chipsów i pudełek z płatkami wystawionych w ostrym świetle trzeszczących i syczących jarzeniówek, ale za to nie brakowało alkoholu i papierosów, zabezpieczonych ekranem z pleksi, zza którego właściciel lustrował podejrzliwym wzrokiem swój interes. Milton ukłonił się, wchodząc do środka, i w zamian doczekał się jedynie ostrożnego ruchu głową. Przeszedł przez sklep, wybierając z półek środki czyszczące, karton soku pomarańczowego i worek z lodem. Zaniósł swoje towary właścicielowi sklepu i ułożył je na brzegu lady przed osłoną. Gdy mężczyzna wbijał zakupy na kasę fiskalną, Milton spojrzał na półki za jego plecami, zastawione alkoholem: ginem, wódką i whisky.

Właściciel sklepu dostrzegł jego spojrzenie i zapytał:

– Coś podać?

Milton zawahał się i niemal zadrzał. „Sześćset dziewięćdziesiąt dwa dni” – przypomniał sobie. „Niedługo zacznie się sześćset dziewięćdziesiąty trzeci”.

Bardzo potrzebował spotkania.

– Nie, poproszę tylko to.

Zapłacił i wrócił do domku. Otworzył kratę zabezpieczającą i odsuwając ją na bok, otarł betonowe nadproże. Urządzenie się nie zabrało mu dużo czasu. Rozpakował torbę w większej sypialni, wieszając ubrania w szafie zrobionej z cienkich płyt MDF. Śpiwór rozłożył na nierównym materacu,

zszedł do kuchni i wziął mopa oraz wiadro, które znalazł w małej szafce. Napemnił wiadro ciepłą wodą, dodał detergentu i zaczął walczyć z warstwami tłuszczu, który pokrywał podłogę wyłożoną tanim linoleum.

Wysprzątanie mieszkania zajęło mu sześć godzin, mimo że tak naprawdę zrobił to po łebkach. Kuchnia wyglądała przyzwoicie: podłoga była czysta, lodówkę i kuchenkę wyszorował, żeby usunąć zaskorupiałe plamy; sprzęt kuchenny, naczynia stołowe i blaty czyścił do momentu, aż brud przestał razić. Wszędzie leżały mysie bobki, ale poza ich uprzątnięciem Milton nie mógł nic z tym fantem zrobić. Przeniósł się do łazienki, gdzie spędził godzinę, szorując muszlę, umywalkę oraz wannę i myjąc podłogę. Kiedy wreszcie skończył, rozebrał się i stał pod prysznicem, kąpiąc się pod mizernym strumieniem ciepłej wody, dopóki nie poczuł się umyty. Włożył czysty T-shirt i dżinsy, wziął skózaną kurtkę, którą wcześniej powiesił na poręczy schodów, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Ruszył w stronę głównej ulicy.

Wyjął telefon i otworzył stronę zapisaną w zakładkach przeglądarki. Gdy stuknął dwa razy ikonę, uruchomiła się aplikacja z mapami. Jego cel znajdował się pięć kilometrów dalej. Do spotkania została mu godzina, a wieczór był upalny. Uznał, że zamiast jechać autobusem, pójdzie pieszo.

Kościół St Mary Magdalene znajdował się po lewej stronie, odsunięty od ulicy, za niskim murkiem, starannie utrzymanym ogrodem i wąskim pasem okalającej go trawy usianym porośniętymi mchem nagrobkami sprzed stu lat. Do ogrodzenia przywiązano tabliczkę z dwoma wielkimi A w niebieskim trójkącie, który sam był wpisany w niebieski okrąg. Strzałka wskazywała w stronę świątyni. Przez denerwującą chwilę Milton czuł wątpliwości i przystanął przy bramie, żeby poprawić sznurówkę w bucie. Spojrzał w górę i w dół ulicy, upewniając się, czy nikt go nie obserwuje. Wiedział, że konsekwencje obecności w takim miejscu byłyby surowe i błyskawiczne; gdyby już nie był zawieszony w następstwie swojego wybuchu w gabinecie Nadzorcy, zawieszenie byłoby natychmiastowe, niedługo potem doszłoby do rozwiązania umowy o pracę, prawdopodobnie też zostałby pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Był gotów odejść ze służby, ale na własnych warunkach, a nie w taki sposób.

Przeszedł przez otwartą bramę i podążył zwirową ścieżką z boku budynku, zszedł po schodach i przez otwarte drzwi dostał się do sutereny. Sala za nimi była pełna ludzi i gwaru rozmów. Na rozkładanym stole ustawiano termos z gorącą wodą, dwa rzędy przypadkowych kubków,

plastikową filizankę pełną plastikowych łyżeczek, dzbanki z kawą oraz otwarte pudełko z herbatą ekspresową w torebkach, litrowe opakowanie mleka, miseczkę z cukrem i talerz pełnoziarnistych herbatników. Mężczyzna za stołem był czarny i przysadzisty, miał starannie utrzymaną szpakowatą brodę i włosy przystrzyżone przy samej czaszce. Jego ręce były nabrzmięte od mięśni, a koszula ciasno opinała pierś i ramiona.

Milton podszedł do stołu.

– Mogę podać ci coś do picia? – zapytał mężczyzna.

– Poproszę kawę.

Mężczyzna uśmiechnął się, wziął kubek i wsypał do niego dwie łyżeczki granulek kawy.

– Nie widziałem cię wcześniej.

– To mój pierwszy raz.

Mężczyzna wlał do kubka gorącą wodę.

– Pierwsze spotkanie tutaj czy pierwsze w ogóle?

– Pierwszy raz tutaj.

– Więc w porządku – rzekł mężczyzna i umilkł. Milczenie się przedłużało, ale zanim mogło się stać niezręczne, przerwał je: – Nazywam się Rutherford. Dennis Rutherford, ale wszyscy po prostu mówią mi Rutherford.

– John.

– Miło cię poznać, John. – Rutherford wręczył mu kubek. – Poczęstuj się herbatnikami. Spotkanie zaraz się zacznie. Dziś jest spory ruch... Na twoim miejscu poszedłbym zająć miejsce.

Tak właśnie Milton zrobił. Sąsiednia sala była większa, z niskim, pochyłym sufitem i małymi oknami wyciętymi w grubych ceglanych murach, które pełniły funkcję fundamentów kościoła. Na jednym końcu ustawiono stół z dwoma krzesłami, a reszta przestrzeni była wypełniona składanymi krzesłami. Na stole paliła się świeca, a na parapetach okiennych i pod ścianą ułożono małe świece do podgrzewaczy. W rezultacie było intymnie i nastrojowo. Na ścianach porozklejano plakaty. Jeden był zaprojektowany jako zwój, z wypisanymi na nim dwunastoma punktami. Nagłówek brzmiał DWANAŚCIE KROKÓW DO WYZDROWIENIA.

Milton usiadł z tyłu sali i popijał tanią kawę, a tymczasem krzesła wokół niego zaczęły się wypełniać.

Za stołem usiadł mężczyzna w średnim wieku noszący czarny golf i dzinsy. Uderzył łyżeczką o brzeg swojego kubka i szmer rozmów ucichł.

– Dziękuję – rzekł. – Dobrze jest widzieć was aż tylu... Cieszę się, że mogliście przyjść. Zaczynamy. Mam na imię Alan i jestem alkoholikiem.

Milton siedział w milczeniu. Alan przewodniczył spotkaniu i poprosił innego mężczyznę, by ten przemówił do grupy. Drugi mężczyzna wyjaśnił, że jest prawnikiem z City, i opowiedział o sobie. Była to zwyczajna historia: człowiek, który wydawał się odnosić sukcesy, skrywał za uzależnieniem od pracy i alkoholu brak pewności siebie. Ta taktyka sprawdzała się przez lata, ale teraz rodziła zbyt wysokie koszty: rodzinne, w relacjach z ludźmi, zdrowotne. Przesłanie było banalne – Milton słyszał to wszystko już setki razy – a jednak pasja, z jaką mówił mężczyzna, okazała się zaraźliwa. Milton chłonał chciwie jego słowa i gdy spojrzął na zegarek po zakończeniu wystąpienia, stwierdził, że minęło pół godziny.

Wtedy zaczęła się dyskusja i słuchacze dorzucili własne spostrzeżenia. Milton chętnie podniósłby rękę i opowiedział o sobie, ale nie miał pojęcia, jak zacząć. Nie zrobił tego. Nawet gdyby był w stanie ją przedstawić, nie poradziłby sobie na starcie. Tylu rzeczy nie mógłby wyjawic. Obecność tam przyniosła mu jak zwykle ulgę, taki sam spokój, jaki zawsze czuł, ale ujęcie tych myśli w słowa było czymś zupełnie innym. Co inni sądziliby o jego historii? O rzeczach, które robił? To sprawiało, że był skryty, szczególnie w porównaniu z przejmującą szczerością otaczających go ludzi. Oni mówili otwarcie i z pasją, kilkoro z trudem powstrzymywało łzy gniewu i smutku. Choć miał pewność, że należy do tego grona, nie mogąc wziąć udziału w dyskusji, czuł się jak oszust.

## 13

Pod koniec spotkania ludzie się zebrali, żeby pogadać i zapalić na zewnątrz. Gdy Milton wychodził po schodach z sutereny, uśmiechali się do niego. Wiedział, że ich uśmiechy mają go zachęcić, by przystanął i porozmawiał. Oczywiście mieli dobre intencje, ale to było bezcelowe; w żaden sposób nie mógłby tego zrobić. Też się do nich uśmiechnął, ale się nie zatrzymał. Nie miał pojęcia, co im powiedzieć. O wiele lepiej było jak najszybciej się ulotnić.

– Hej, człowieku... Hej, hej, poczekaj.

Milton był już przy bramie, gotowy skrócić na chodnik i ruszyć do domu. Zawahał się i odwrócił. Mężczyzna, który podawał kawę, Rutherford, biegł w jego stronę. Milton poświęcił chwilę, żeby mu się znowu przyjrzeć. Rutherford był wysoki, miał grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, i do tego masywny, ze trzydzieści kilo cięższy od Milтона. Sadził susami przez kościelny dziedziniec, poruszając się swobodnym i sprężystym krokiem świadczącym o wielkiej sile nóg.

– Widzę, że nie tracisz czasu – powiedział, gdy już do niego dotarł. – Kawalek dalej jest bar. Ludzie wstępują tam na kawę lub coś przekąsić, pogadać. Powinieneś przyjść.

Milton uśmiechnął się i odparł:

— To nie dla mnie, ale dzięki.

– Milczałeś na spotkaniu. Nie ma sensu tak tylko siedzieć. Musisz się w to wciągnąć.

– Słuchanie mi wystarcza.

– Nie, jeśli chcesz naprawdę wszystko zmienić. Kiedy zacząłem przychodzić na spotkania, sam miałem ten problem. Myślałem, że to szaleństwo, że nikt nie zechce słuchać moich gównianych wynurzeń. Ale w końcu się przemogłem. Ostatecznie, tak jak na to spojrzałem, przychodzenie i nierobienie niczego więcej było stratą czasu. Właśnie dlatego podaję kawę... Może zacznij od czegoś małego, a potem podejmiesz dalsze kroki? Musisz się zaangażować. – Rutherford mówił

powoli i z rozmysłem, jakby ważył każde słowo. W rezultacie napełniał je wymownym znaczeniem. Robił wrażenie.

– Pewnie tak.

– Dokąd szedłeś? Z powrotem do Hackney?

– Tak.

– Ja też. No... jeśli nie masz nic przeciwko, możemy iść razem.

– Nie chcesz iść do tego baru?

– Nie, nic się nie stanie, jeśli dziś wieczorem tam nie trafię. Jutro wstaję o szóstej. Chyba powinienem pójść wcześniej spać.

Milton wolałby iść sam, ale w sposobie bycia Rutherforda było coś zaraźliwego, co przemogło jego zastrzeżenia, a poza tym wyglądało na to, że jego nowy znajomy nie przyjmie odmowy. Ruszyli razem Holloway Road w kierunku Highbury Corner.

Rutherford zaczął mówić.

– Jaka jest zatem twoja historia?

Milton westchnął.

– Przypuszczam, że taka sama jak większości ludzi. Za dużo piłem i potrzebowałem pomocy, żeby przestać. A ty?

– Identyczna sytuacja, człowieku. Służyłem w wojsku. Piętnaście lat. Widziałem rzeczy, których nie chcę już nigdy oglądać. Przystawałem się czuć winny dopiero wtedy, gdy byłem pijany. – Rutherford odwrócił się, by spojrzeć na Milтона. – Nie miej mi za złe mojej bezczelności, John, ale ty też jesteś żołnierzem, prawda?

– To aż tak oczywiste?

– Wiesz, jak to jest... Mamy to w oczach. Gdzie służyłeś? Na Bliskim Wschodzie?

– Przez pewien czas.

– W Irlandii?

– Tak.

– Ja też byłem tu i tam, człowieku. „Zobacz świat”, tak właśnie mówili, gdy starali się mnie zwerbować, jakby chodziło o jakieś cudowne wakacje. Przez jakiś czas sprawiało mi to frajdę, ale potem zrozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi. Zanim zdałem sobie z tego sprawę, byłem wściekłym pijakiem.

– Co się stało?

– Posłuchaj, nie twierdzę, że nie jestem wdzięczny za to, co wojsko dla mnie zrobiło. Gdy byłem młodym człowiekiem, wpadałem w najrozmaitsze

tarapaty, w które nie chciałem się pakować. Kłopoty, kłopoty wszelkiego rodzaju. Zadałem się ze złymi ludźmi z tych okolic. Ostatecznie robiłem masę rzeczy, których żałuję. Alkohol i narkotyki... Wiesz, jak to jest. Spośród moich kumpli z tamtych czasów wielu zapuszkowali, a paru nie żyje. Równie dobrze mogło paść na mnie. Wojsko pozwoliło mi od tego wszystkiego uciec. – Mówił płynnie, z łatwością oswajając się z historią, którą najwyraźniej opowiadał wcześniej wiele razy, prawdopodobnie na spotkaniach AA. – I podziałało, przynajmniej na pewien czas. Służba w wojsku zabrała mnie stąd, poszerzyła moje horyzonty, nadała kształt mojemu życiu i wprowadziła do niego dyscyplinę. A te rzeczy są dobre, to coś, czego potrzebowałem. Ale mają swoją cenę, prawda? Sceny, które widziałem, gdy byłem tam, robiąc swoje... – Zawahał się. – Cóż, cholera, pod koniec zrobiło się tak źle, że mogłem siebie znieść tylko pod wpływem alkoholu. Wiesz, co mam na myśli?

Rutherford mówił z żarem i ekscytacją. Milton odparł, że rozumie.

– Nie biorę życia lekko, John. Widzę to tak, że Wspólnota dała mi błogosławieństwo. Dar wiedzy. Dostrzegam, co jest złe w obecnym stanie rzeczy. Wiem, co się sprawdza, a co nie. Alkohol i narkotyki – one się nie sprawdzają. Niewiele osób otrzymuje szansę, by mieć wpływ na rzeczywistość, ale ja ją otrzymałem. I nie zamierzam jej zmarnować.

Dotarli do ruchliwego, pełnego pojazdów i pieszych ronda przy Highbury Corner i przeszli dalej na Dalston Lane. Młodzi ludzie zebrali się przed stacją metra, gotowi ruszyć powoli w kierunku pubów i barów przy Islington High Street. Naganiacze proponowali tanie kursy, imigranci sprzedawali burgery i hot dogi, pijani chłopcy wytaczali się z pubu koło stacji.

– Jak? – zapytał go Milton.

– Jak co, człowieku?

– Jak zamierzasz mieć wpływ na rzeczywistość?

– Poprzez boks. W młodości byłem zdolnym pięściarzem wagi ciężkiej. Wcześniej urosłem, byłem wysoki i silny, miałem prawą rękę, którą nikt nie chciał oberwać. Gdybym został przy boksie, to kto wie? Nie wpakowałbym się w kłopoty, to pewne. Nie wstąpiłbym do wojska. Myślę, że prawdopodobnie byłem wystarczająco dobry, żeby zrobić przyzwoitą karierę. Teraz jestem na to za stary i forma już nie ta, ale tutaj wciąż mam wszystko, co trzeba. – Postukał się palcem w skroń. – Więc założyłem klub dla młodych pięściarzy, rozumiesz? Dla amatorów, dziewczyn i chłopców,

w każdym wieku. Tutaj nie mają co robić, mogą jedynie należeć do gangów i broić, a wiem lepiej niż większość ludzi, dokąd prowadzi ta droga. Jesteś młokosem urodzonym tutaj, należysz do jednego z gangów, możesz trafić do dwóch miejsc: więzienia lub krematorium. Wojsko stanowi jakieś wyjście, ale nie mogę już go zalecać. Próbuję więc zapewnić im inny sposób. Coś innego do roboty, jakąś strukturę, dyscyplinę, i człowiek ma nadzieję, że to wystarczy. To może być ten wpływ na rzeczywistość. I widzę to tak, że jeśli pomogę kilku z nich uciec od pokus, to już wystarczy. Wykonałem swoje zadanie.

– Kiedyś boksowałem – wyznał Milton, uśmiechając się po raz pierwszy. – Dawno temu.

Rutherford zmierzył go wzrokiem: wysoki, szczupły i twardy.

– Masz warunki ku temu – zauważył. – Waga półciężka?

– Może teraz. – Milton się uśmiechnął. – Wtedy średnia. Gdzie jest ten klub?

– Sala parafialna przy Grove Road, niedaleko parku. Wieczorami w poniedziałek, środę i piątek oraz całą sobotę. Mam teraz około dwudziestu regularnie ćwiczących. – W jego oczach błysnęła pasja. – Przyjąłem trochę dzieciaków, które ocierają się o gangi. Część ma potencjał. Jedna dziewczyna... Człowieku, nie uwierzyłbyś, jak mocno potrafi uderzyć. Niczym kafar, tak stuknęła chłopaka, który jej pyskował, że pauzował do połowy następnego tygodnia. Potem już gryzł się w język. – Rutherford uśmiechnął się szeroko na to wspomnienie.

Dotarli do miejsca, w którym Milton skręcał.

– To moja ulica – powiedział.

Rutherford uniósł brew ze zdziwienia.

– Mieszkasz na tym osiedlu?

– Tak.

Rutherford aż cmoknął.

– To źle?

– Jesteś w najgorszym rejonie Hackney, a Hackney nie jest zwyczajną dzielnicą. Tutejsi gangsterzy są gorsi niż gdzie indziej. Wszyscy ćpają. Mówię poważnie. Lepiej bądź ostrożny, słyszysz? Nie ma znaczenia, ile masz wzrostu. Mają nóż lub splotę i myślą, że warto cię obrabować. I zapewniam cię, człowieku, nie ma znaczenia, jak groźnie wyglądasz, oni to zrobią.

– Miło było cię poznać, Rutherford.



– Wzajemnie, John. Wyluzuj. Może zobaczymy się na spotkaniu w przyszłym tygodniu?

– Może.

– I powiedz coś następnym razem, dobrze? Wygląda na to, że masz sporo problemów. Zdziwisz się tym, jak dobry to ma wpływ.

Milton przyglądał się odchodzącemu zwałistemu mężczyźnie. Skręcił w boczną ulicę i wszedł na teren osiedla, zatrzymując się przy sklepie, żeby kupić kolejny worek z lodem. Zignorował ponure, agresywne spojrzenia nastolatków, którzy zebrali się przed sklepem, milczących, gdy przechodził wśród nich, a potem gwizdzących szyderczo i wyzywających go od „białasów” i „pedziów”, gdy ruszał dalej. Większość była bardzo młoda, ledwie skończyli trzynaście lat. Milton nawet na nich nie spojrzał.

Gdy wrócił do domu, było wpół do jedenastej. Wziął karton soku pomarańczowego i napełnił jedną ze świeżo umytych szklanek. Otworzył worek z lodem i wrzuciwszy trzy kostki do szklanki, resztę włożył do zamrażarki. Zdjął ubranie. Broń i kaburę wsunął pod poduszkę. Zamieszał sok, żeby go schłodzić. Przysunął krzesło do okna, po czym usiadł, pozwalając, by gorące powietrze, niosące woń asfaltu połączoną z zapachem smażonych potraw, owiewało mu ciało. Sącył zimny napój, czując w gardle wyraźny smak soku spływającego do żołądka.

Napełnił ponownie szklankę, tym razem dodając więcej lodu, i z powrotem usiadł. Okno sypialni wychodziło na front budynku. Spojrzał na ulicę i znajdującą się za nią wyniosłą bryłę Blissett House. Na skrzyżowaniu zebrała się grupa młodych chłopaków, w ciemności błyskały czerwone końce palonych przez nich papierosów i skrętów.

Milton czuł niepokój. Podszedł do łóżka i wyjął pistolet spod poduszki, wysunął magazynek i wyrzucił jeden nabój z komory na pościel. Zaczął mierzyć do rozmaitych przedmiotów w pokoju. Celność szwankowała, odrobine, ale mimo wszystko dostrzegalnie. Przyczyną było delikatne drżenie dłoni. Zauważył to we Francji i wydawało się, że jest coraz gorzej. Wsunął magazynek z powrotem i położył pistolet pod poduszkę.

Obserwował chłopców na ulicy przez kolejne pięć minut, odgłos ich hałaśliwego śmiechu niósł się aż do otwartego okna. Potem, zmęczony, zaciągnął zasłony, rozebrał się do końca i położył do łóżka.

## 14

Elijah obserwował Wietnamczyków nagabujących klientów wychodzących z zakupami z Tesco. Robili to na parkingu, na tyle daleko od wejścia do sklepu, by nie zauważyli ich pracownicy ochrony. Podchodzili do ludzi pchających wózki pełne artykułów spożywczych i rozchylali przewieszane przez ramię torby. Było ich czworo, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy szczupli i ciemnowłosi. Torby mieli pełne pirackich płyt DVD. Ludzie na ogół ich spławiali, ale od czasu do czasu ktoś się zatrzymywał, zaczynał grzebać w torbach i wręczał im banknot dziesięciofuntowy w zamian za parę płyt.

– Młody, jesteś gotowy? – zapytał Pops.

– Tak – odparł Elijah. – Gotowy.

– W takim razie możesz iść.

Zrobił dokładnie tak, jak polecił mu Pops. Uwagę jednej z Wietnamek odwrócił Little Mark, który udawał zainteresowanie jej płytami. Kobieta trzymała pieniądze w małej torebce luźno zwisającej jej z ramienia. Elijah podbiegł do Wietnamki i korzystając z jej nieuwagi, z całej siły szarpnął za torebkę. Kobieta wyprostowała rękę, chwytając pasek palcami. Po drugim, mocniejszym szarpnięciu rozluźniła uścisk i Elijah rzucił się do ucieczki. Wrócił sprintem, prowadząc za sobą pozostałych chłopaków w zwartym szyku. Dwaj Wietnamczycy ruszyli w pogoń, przeskakując przez murek, który odgradzał parking od chodnika i przystanku autobusowego, ale już niebawem zrezygnowali. Było ich mniej i uciekający wciągali ich na terytorium wroga. Wiedzieli, że skradzione pieniądze nie są warte takiego ryzyka.

Chłopcy biegli Morning Lane, wrzeszcząc, a w końcu skręcili ostro w lewo w wąską ścieżkę rowerową biegnącą pod torami East London Line. Popędzili pochyłością po drugiej stronie tunelu i zwolnili do truchtu. Kiedy znaleźli się na osiedlu, znaleźli niski murek i usiedli na nim.

Pops uniósł zaciśniętą dłoń, a Elijah uderzył w nią pięścią. Promieniał z dumy. Wiedział, że powinien zachować spokój, ukryć podniecenie

i radość, którą odczuwał, ale nie mógł się powstrzymać. Nie przejmował się tym, jak głupio będzie przez to wyglądał.

– Ile zdobyłeś?

Wyjął banknoty z kieszeni i przeliczył.

– Dwieście – zameldował.

– Nieźle. – Pops wyciągnął rękę po pieniądze. Odliczył pięćdziesiąt i oddał je Elijahowi. – No, młody, wykorzystaj je na zakup nowych jordanów. Dobrze się spisales.

Little Mark wszedł do pobliskiego sklepu i wrócił z dużą butelką cydru oraz torbą pełną słodyczy. Butelka przechodziła z rąk do rąk, każdy pociągał z niej spory łyk trunku. Gdy plastikowa butelka dotarła do Elijaha, ten przyłączył się do pijących, a spływający do gardła przesłodzony płyn bardzo mu smakował.

– Co kupiłeś? – zapytał Kidz.

Little Mark otworzył torbę i opróżnił ją. Zawartość ułożył na murku.

– Twix, kitkat, mars, yorkie.

– Dla biedaków.

– Maltesers. Milky way.

– Dla pedałów.

– Kupiłem je dla ciebie. Galaxy, caramel... to wszystko. Chcesz coś innego, idź i sam sobie kup.

Pops rozrzucił batony, a oni pożarli je w okamgnieniu.

– Muszę lecieć – rzekł w końcu Pops, składając plik banknotów i wsuwając je do kieszeni. – Moja kobieta chce się ze mną zobaczyć. My widzimy się jutro, dobra, chłopaki?

– Poczekaj – odparł Little Mark. – Idę w tym samym kierunku.

– Ja też – stwierdził Kidz.

Elijah został z Pinkym. Chciał iść pozostałymi, ale Pinky wstał, przeciągnął się i powiedział:

– Zbieraj się. Wrócę z tobą.

Ruszyli razem przez osiedle, przechodząc po porośniętym krzakami trawniku. Pinky był trochę starszy i trochę wyższy od Elijaha. Miał ostre rysy, haczykowany nos i wystające kości policzkowe. Zwykle zachowywał się hałaśliwie i arogancko, nie skąpił złośliwych uwag, teraz jednak był milczący i zamyślony. Elijah szybko poczuł się nieswojo i zastanawiał się, czy może się wymigać tak, żeby Pinky się nie obraził. Doszli do placu zabaw. Powierzchnia pod ich stopami była miękka i sprężysta, ale

wyposażenie placu zostało zdewastowane. Liny huśtawek ktoś nawinął na ramy, tak że teraz wisiały zbyt wysoko, by nadawały się do użytku, a karuzela została wyrwana z mocowań. Kawałki fiolek z kokainą, rozdeptane, błyszcząły jak diamenty wśród psich odchodów, rozrzuconych gazet i opakowań z barów szybkiej obsługi.

– Usiądźmy tutaj na chwilę – zaproponował Pinky, wskazując na ławkę na skraju placu zabaw. – Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

Zdenerwowany Elijah poczuł, jakby pięść zacisnęła się na jego żołądku.

– Muszę wracać do mojej mamy.

– Nie chcesz zajarać? – Pinky sięgnął do kurtki i uśmiechnął się, rozpościerając dłoń; trzymał w niej torebkę z trawką i paczkę bibulek do skrętów. – Usiądź. Chcę się najarać. To nie potrwa długo.

Elijah usiadł.

Pinky milczał, wsypując marihuanę na zgiętą bibulkę. Wprawnymi ruchami palców zrolował ją, skleił i wsunął skręta między wargi. Przytknął płomień do jego końca i łapczywie się zaciągnął. Nie podał skręta młodemu.

– Coś zamilkłeś – powiedział.

– Naprawdę? – odparł Elijah niepewnie.

– Nie powinieneś się za bardzo ekscytować.

– Co masz na myśli?

– Ten szeroki uśmiech, który miałeś przedtem na twarzy. Jakbyś wygrał los na pieprzonej loterii. Obrabowanie tych Japońców to nic wielkiego. Akcja w tamtym pociągu też. Jeszcze nic nie zrobiłeś.

Elijah był gotów mu odpyskować, ale dostrzegł minę chłopaka i się rozmyślił. Wiedział, kiedy chodziło o prześmiechy, a to było coś innego; w ciemnych oczach Pinky'ego błysnęły iskry wrogości i młody widział, że potrzeba bardzo niewiele, by ta wrogość przerodziła się w coś gorszego.

– Nie znasz mnie, prawda?

– Co przez to rozumiesz?

– Nie wiesz, kim jestem.

– Jasne, że wiem.

– Więc?

– Jesteś Pinky – odparł Elijah, nagle tracąc pewność.

– Zgadza się. Ale mnie nie znasz, prawda? Tak naprawdę nie znasz.

– Chyba nie.

– Znasz mojego brata? Dwayne'a? Słyszałeś o nim?

– Nie.

Skręt zgasł. Pinky znowu go zapalił.

– Opowiem ci pewną historię. Pięć lat temu mój brat był w LFB, jak ja. Nazywali go High Top. Twój brat, Jules, również. Byli sobie bliscy, tak bliscy, jak tylko się da, troszczyli się o siebie, tak samo jak my się o siebie troszczymy, zgadza się? – Przytknął skręta do ust i mocno się zaciągnął. – Był czas, że ekipa z Tottenhamu miała na pieńku z LFB. Pojechali tam więc, narobili kłopotów, poturbowali paru ich chłopaków. Tottenhamczycy zjawili się w tym rejonie, żeby wziąć odwet, i znaleźli naszych braci popalających w parku. Jak my teraz. Zaskoczyli ich. Wszyscy byli wyekwipowani, a nasi bracia nie mieli nic. Zamiast zostać i dobrać im się do skóry, twój brat mięczak zwiął. Prosto z parku, nie oglądał się za siebie, zupełnie zapomniał o moim bracie. A ten nie miał tyle szczęścia. Chłopcy z Tottenhamu mieli noże oraz tasaki i chcieli, żeby posłużył za przykład. Pocięli mojego brata. Pokroili go... Twarz, plecy, nogi, całe ciało. A na koniec dźgnęli go w brzuch. Był w szpitalu przez dwa tygodnie, w tym czasie go pozszywali. Jego wnętrzności... były kompletnie pokiereszowane. Już nigdy nie był taki jak dawniej. Teraz musi srać do woreczka i tak już zostanie.

– Odpierdol się – zdołał wykrztusić Elijah. – Mój brat by tak nie zrobił.

– Tak? Naprawdę? A ten twój brat, co on teraz porabia?

– Już go nie widzimy.

– Nie udawaj, że nie wiesz. Widziałem go... To pieprzony narkoman. Wtedy był tchórzem, a teraz jest pieprzonym ćpunem.

Elijah wstał z ławki.

– Daj mi tę forszę – powiedział Pinky.

Młody pokręcił głową.

– Nie. Pops mi ją dał. Zasłużyłem na nią. Jest moja.

– Chcesz się ze mną pokłócić, mały?

– Nie...

Pinky chwycił go za poły kurtki i pchnął na ziemię. Opadł na niego i przyduszając prawą ręką, lewą sięgnął pod kurtkę. Znalazł banknoty i schował je do kieszeni.

– Pamiętaj, gdzie jest twoje miejsce – powiedział. – Dla mnie jesteś nikim. Uważasz się za gangstera, ale jesteś nikim. Jeszcze raz spróbuj mi pyskować, a cię potnę. – Wyciągnął nóż motylkowy, rozłożył go i przytknął

chłopakowi ostrze do policzka. – Jeden ruch mojej dłoni i będziesz oszpecony na całe życie. Wiesz, co ci wytnę?

– Nie – odparł Elijah drżącym głosem.

– „Suka Pinky’ego”.

Elijah leżał nieruchomo, gdy Pinky powoli przesunął zimnym ostrzem po jego twarzy, po czym chwycił go za kurtkę, poderwał do góry i obrotowym ruchem cisnął z powrotem na ziemię. Jej powierzchnia była miękka, lecz mimo to nagły wstrząs przyprawił chłopaka o zawrót głowy. Pinky wstał i się cofnął. Pokazał na głowę Elijah’a i się roześmiał. Elijah poczuł wilgoć na ciemieniu i karku. Sięgnął ostrożnie, spodziewając się poczuć dłońią swoją krew. Nie poczuł. Pinky pchnął go na psią kupę. Miał ją we włosach i na skórze, zsuwała się pod kołnierz kurtki.

– Do zobaczenia, mały. – Śmiejąc się z Elijah’a, Pinky zostawił go na ziemi.

Chłopiec zagryzał wargę, dopóki tamten nie zniknął z pola widzenia, a potem, gdy już był sam, rozplakał się.

## 15

Milton zaczekał, aż słońce opadnie za znajdujące się w sąsiedztwie domy, po czym wyszedł rozpoznać teren. Był wilgotny i duszny wieczór. Paralizujący skwar dnia wniknął w tkanę osiedla i teraz powoli się ulatniał. Ponieważ większość sąsiadów nie zasłaniała okien, w pokojach domów przy jego ulicy migotały ekrany telewizorów. Z otwartych drzwi dobiegały odgłosy kłótni. Atmosfera była naładowana pulsującym napięciem, ledwie tłumioną agresją i rodzącą się przemocą.

Wydawało się, że okolica ożywa wieczorem. Wszędzie byli ludzie. Wyrostki gromadziły się na rogach ulic i zachwaszczonych placach zabaw. Inni apatycznie rzucali piłką do kosza na nierównym boisku, obserwowani przez dziewczyny, które wpijały się pomalowanymi paznokciami w drucianą siatkę ogrodzenia. Jakiś gibki chłopak zwiódł dzielnego obrońcę i wykonał elegancki rzut spod kosza, co wywołało okrzyki widzów. Z otwartych okien samochodów i domów dolatywała muzyka. Graffiti były wszechobecne, jeden wykonany nieudolnie mural przedstawiał grupę uzbrojonych dzieci, które zabijały się nawzajem. Milton szedł dalej ulicą. Wiadukt kolejowy, który prowadził tory do stacji Liverpool Street, pogrążał pasaż handlowy poniżej w ponurym mroku. Jakiś mężczyzna palący tureckie papierosy przesuwiał zwinięte wykładziny dywanowe z powrotem do swojego sklepu, kierowcy zebrali się wokół biura radio taxi, a brzęk metalu niósł się z otwartych okien siłowni z sylwetką Charlesa Atlasa namalowaną nieudolnie od szablonu na szybie. Z pasażu dolatywała mdląca woń mięsa na kebaby, smażonych kurczaków i marihuany.

Milton przyglądał się temu wszystkiemu, zapamiętując plan ulic i łączących je zaułków. Dwie przecznice dalej na wschód i znalazł się w miejscu noszącym wyraźne znamiona gentryfikacji: restauracja dla smakoszy, kawiarnia, w której za dnia zapewne nie brakowało dziecięcych wózków, seks bar pełen hipsterów w dżinsach rurkach i hipsterek w sukienkach z lat pięćdziesiątych, eleganckie szeregowce w stylu wiktoriańskim w idealnym stanie, pięknie utrzymane ogrody za

pomalowanymi żeliwnymi ogrodzeniami. Dwie przecznice na zachód i był z powrotem wewnątrz osiedla, wśród dziesięciopiętrowych bloków mieszkalnych z obrzydliwie jaskrawopomarańczowymi balkonami przystrojonymi w anteny satelitarne.

Wszedł do parku Wiktorii, otwartej przestrzeni okolonej duszącymi się od spalin świerkami. Przecinały go ciągi wybrukowanych ścieżek, zawodne, ustawione w nieregularnych odstępach latarnie uliczne zapewniały stonowane kręgi światła, które ciemność pomiędzy nimi czyniły jeszcze głębszą i groźniejszą. Sława tego miejsca sprawiała, że wieczorem panował tu spokój, zakłócany jedynie przez pijanych mieszczuchów, którzy wybierali park jako drogę na skróty i stanowili łatwą zdobycz dla członków gangów przemierzających teren w poszukiwaniu ofiar.

Przeszedł przez bramę i ruszył w głąb parku. Wokół ławki zebrała się grupa młodych ludzi. Jeden z nich popisywał się na swoim bmx-ie, podskakując na przednim kole, podczas gdy pozostali śmiali się z jego umiejętności. Milton spojrział na nich chłodnym okiem. Było ich ośmiu, piętnasto-, szesnastoletni, wszyscy jednakowo ubrani: czapki pod kapturami, workowate spodnie i śnieżnobiałe sportowe buty.

Nie zatrzymywał się. Gdy się zbliżał, usłyszał piskliwe dźwięki muzyki odtwarzane przez głośnik telefonu komórkowego. Utwór miał szybki, dudniący rytm i agresywny tekst. Raper mówił o beefach oraz gnatach i strzelaniu do każdego, kto wchodził mu w drogę.

Jeden z nastolatków oddalił się od swojej paczki i zablokował Miltonowi przejście.

– Czego chcesz, człowieku? – Chłopak nie okazywał strachu. Jego bezczelność była wyćwiczona i wywołała okrzyki radości ze strony widzów.

– Jestem dziennikarzem – odparł.

– Z BBC? Występujesz w telewizji? Możesz mnie tam wprowadzić?

– Nie. Pracuję nad książką.

Rozległ się śmiech.

– Książek nikt nie czyta, człowieku.

– Piszę o korupcji w policji. Wiesz coś na ten temat?

Przyglądał się chłopcu. Był jeszcze dzieckiem, z pewnością nie skończył piętnastu lat. Jego twarz była w niepokojący sposób pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, natomiast oczy stale przemykały to w lewo, to



w prawo. Widział to już wcześniej; tak wyglądali żołnierze ze stref działań wojennych, odznaczający się patologiczną czujnością chroniącą przed groźbą nagłego ataku.

– Człowieku, wszystkie te świnie są skorumpowane – odparł chłopak. – Równie dobrze mógłbyś pisać o tym, że niebo jest błękitne, a woda mokra. Nikogo tutaj niczego nie nauczysz. Nikt tego nie będzie czytał.

– Znasz Elijaha Warrinera?

– Co on ma wspólnego z policją?

– Chcę z nim pogadać. Słyszałem, że bywa tu czasem. Przyjaźnicie się?

– Ten mały głupek nie jest moim przyjacielem i nie ma sensu z nim rozmawiać. On gównu wie. Ale jeśli chcesz, moglibyśmy pogadać. Ty i ja.

Milton zauważył, że jeden z chłopców w grupie wyjmuje z kieszeni telefon i wystukuje wiadomość.

– Świetnie – rzekł. – O czym chciałbyś rozmawiać?

– Chcesz się dowiedzieć czegoś o przemocy? W zeszłym tygodniu pociąłem jednego gościa. Chcesz o tym pogadać?

– Niezupełnie.

– Ciebie też mógłbym pociąć. Tutaj, w kieszeni, mam nóż. – Zbliżył się do Milтона, nadal nie pokazując, jaki jest ogromny. Poklepał wypukłość w tylnej kieszeni spodni. – Z piętnastocentymetrowym ostrzem, białasie. Mógłbym w tej chwili do ciebie podejść, ot tak, chwycić za nóż i dźgnąć cię prosto w brzuch. – Zacisnął dłoń i zamarkował cios w brzuch Milтона. – Bach, byłbyś załatwiony, krew. Koniec. Krwawiłbyś tu, ważniaku, w samym środku parku, i to byłaby moja sprawka. I nikt by ci nie przyszedł z pomocą. Co ty na to?

Milton nie odpowiedział.

– Facet jest w szoku! – krzyknął jeden z pozostałych. – Pinky nastraszył ważniaka!

Milton spojrzał na chłopaka. Był wysoki, chudy i żylasty, ważył najwyżej pięćdziesiąt parę kilo. Zmuszenie go do odkrycia kart doprowadziłoby do eskalacji, której chyba pragnął, to zaś nie miało sensu. Chciał, by myśleli, że jest dziennikarzem; nieszkodliwym, trochę wystraszonym i zagubionym. Wokół nich nadal rozbrzmiewały wrzaski, ale atmosfera zrobiła się napięta.

– Mógłbym cię pochłostać w chwili, gdy się odwrócisz.

Milton zauważył grupę chłopców nadjeżdżających na rowerach od strony wejścia do parku.

– Nie odwracaj się do mnie plecami, waśniaku. Nic dla mnie nie znaczysz. Mógłbym to zrobić dla hecy.

Grupa na rowerach dotarła do nich. Było ich sześciu. Z tyłu Milton rozpoznał Elijaha. Najwyższy z chłopców – Milton przypuszczał, że siedemnastoletni lub osiemnastoletni – oparł rower o ławkę i podszedł do nich dumnym krokiem.

– W porządku, Pinky? – zwrócił się do nastolatka, który groził Miltonowi. – W czym problem?

– Nie ma żadnego problemu – odparł chłopak.

Milton zignorował młodego nożownika i zwrócił się do przybysza:

– Ty tu rządzisz?

– Można by tak powiedzieć.

Milton wskazał na Elijaha.

– Chcę z nim porozmawiać.

– Znasz tego człowieka, Elijahu?

Na twarzy chłopaka pojawił się wyraz podejrzliwości.

– Tak – odparł nieufnie. – Był z moją mamą.

– I chcesz z nim rozmawiać?

Elijah pokręcił głową.

– Przykro mi, bracie. On nie chce z tobą gadać.

– Twierdzi, że jest pisarzem – poinformował jeden z chłopców, zabarwiając ostatnie słowo pogardą.

– To prawda?

– Prawda. Dziennikarzem.

– Bzdura. Nie jesteś dziennikarzem, gościu. Jeśli nim jesteś, to wygram, kurwa, X Factor. Pewnie masz mnie za frajera. Kim jesteś? Pracownikiem socjalnym?

– To policjant! – wykrzyknął jeden z chłopców. – Spójrz na niego.

– Nie jest z policji. Policja nie wchodzi do tego parku bez wsparcia.

Atmosfera robiła się gorąca. Milton widział, że sytuacja może się szybko zmienić w niebezpieczny sposób. Skupił uwagę na starszym chłopcu.

– Jak się nazywasz?

– Nie musisz tego wiedzieć.

– Nie chcę kłopotów.

– Więc po co łazisz po naszej dzielnicy późnym wieczorem?

– Nie jestem z policji. Nie jestem pracownikiem socjalnym. Nie musisz się o nic martwić.

Chłopak roześmiał się pogardliwie i zapytał:

– Czy ja wyglądam na zmartwionego?

– Nie wyglądasz – odparł Milton. Podniósł głos, żeby pozostali go usłyszeli. – Powiedz Elijahowi, że chcę z nim porozmawiać. Odtąd co rano będę jadał śniadanie w barze przy Dalston Lane. O dziewiątej. Powiedz mu, że jemu też kupię. Co tylko sobie zażyczy. A jeśli nie chce się ze mną zobaczyć, może do mnie zadzwonić. – Milton sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę z wydrukowanym na niej numerem swojego telefonu komórkowego. Dał ją starszemu chłopakowi, wpatrując się spokojnie w jego twarz, po której przemknęło chwilowe zważpienie; niespodziewany spokój przybysza podkopał jego pewność siebie. Ujął wizytówkę dwoma palcami.

– Dziękuję – powiedział Milton.

Odwrócił się plecami do grupy i odszedł. Czuł się bezbronny, ale starał się nie oglądać za siebie. Mrowiło go między łopatkami i gdy szedł, pusta puszka po coca-coli odbiła się od jego pleców i z brzękiem spadła na wybrukowaną ścieżkę. Ta bezczelna brawura sprowokowała ich do radosnych okrzyków pod jego adresem, ale on nie reagował. Szedł dalej, dopóki nie dotarł do bramy obok odkrytego basenu. Zatrzymał się i obejrzał. Chłopcy nadal stali pośrodku parku. Nikt nie poszedł za nim.

Z zadowoleniem stwierdził, że pod jego nieobecność nikt nie próbował dostać się do domu, i pozwalając sobie na chwilę odprężenia, zdjął koszulę i stał z obnażoną piersią przy otwartym oknie. Odpalił zapalniczkę, przytknął płomień do papierosa i wpatrywał się w upalną, wilgotną ciemność nocy. Atmosfera była gorączkowa, napięta jak cięciwa łuku. Wciągnął dym głęboko w płuca i wypuścił z cichym sykiem. Słyszał głosy dzieci na ulicy, brzęczenie telewizorów, dźwięk syreny narastający i cichnący w ciągłym szumie londyńskiej metropolii.

Co on, u diabła, tutaj robił?

Wydmuchnął w ciemność kolejną porcję dymu i cisnął peta do ogródka pod oknem.

Rozebrał się i położył do łóżka. Materac był nierówny i niewygodny, ale Milton sypiał już na znacznie gorszych. Sięgnął pod poduszkę, kładąc dłoń na zimnej, stalowej rękojeści sig sauera. Uspokoił swoje myśli i zasnął.

## 16

Rankiem Milton miał ściśle ustalony rytuał i nie widział powodu, by go zmieniać. Naciągnął na siebie kamizelkę i szorty, włożył odpowiednie buty i poszedł pobiegać. Było tuż po siódmej, ale słońce już grzało. Niebo miało idealnie ciemnoniebieski kolor. Zanosilo się na kolejny upalny dzień.

Był trochę otumaniony, ale dzięki ruchowi szybko oprzytomniał. Pobiegł przez osiedle do parku Wiktorii, podążając tą samą trasą, którą obrał poprzednio. W parku było spokojnie, zniknęła atmosfera czającej się przemocy. Grupy złowrogich nastolatków zastąpione zostały przez ludzi wyprowadzających psy, biegaczy i rowerzystów przejeżdżających tędy w drodze do pracy. Milton zrobił dwa okrążenia wokół parku i stopniowo wydłużając krok, wpadł w swój zwykły rytm; gdy wrócił na ulicę i zmierzał z powrotem w kierunku domu, był mokry od potu.

Przez osiedle biegł inną trasą i natrafił na dawną kaplicę, dla której najwyraźniej znaleziono alternatywny użytek. Tablica nad wejściem obwieszczała, że to Klub Bokserski w Dalston, a plakaty zachęcały młodych ludzi do zapisów.

Wrócił do domu, ściągnął przemoczony strój, niepewnie wszedł do wanny i odkręcał kurki, dopóki ze słuchawki prysznicza nie pociekło wystarczająco dużo ciepłej wody, by dało się wziąć kąpiel. Pozwolił, by woda uderzała w jego szerokie ramiona i spływała po plecach i piersi, kojąc dolegliwości, które rankiem zawsze bardziej mu doskwierały. Zamknął oczy i skupił uwagę na wrażliwych miejscach na swoim ciele: tęym rwaniu w obojczyku, gdzie pięć lat temu uderzyła kula, kłuciu w złamanej nodze, przeszywającym bólu w ramieniu ugodzonym nożem przez jakiegoś zamachowca. Pomyślał z żalem, że nie jest już tak gibki jak kiedyś. Pojawiły się niezaprzeczalne oznaki starzenia. Cena, jaką musiał płacić za wykonywanie swojego fachu, była również widoczna w siatce blizn pokrywającej jego skórę. Najświeższych szkód dokonał kuchenny nóż, którego ostrze otarło się o jego prawy biceps. Dzierżył go konstruktor bomb z Helmandu, krawiec, który w pomieszczeniu na zapleczu swojego zakładu wytwarzał pasy szahida.

Milton stał pod prysznicem i zbierał myśli, przez dziesięć minut analizując szczegółowo sytuację, w której się znalazł. Rozważył wszystkie okoliczności, jakie będzie musiał uwzględnić, żeby pomóc Sharon i jej synowi.

Ubrał się w codzienny strój, wyszedł z domu i ruszył z powrotem do klubu bokserskiego. Drzwi stały otworem i słychać było powtarzane mocne uderzenia kogoś, kto okładał worek treningowy. Milton wszedł do środka. Kapliczne ławki zostały usunięte i wewnątrz dominowały teraz dwa puste ringi wciśnięte obok siebie i ledwie mieszczące się w murach dawnej świątyni. Były stare i sfatygowane, liny obwisłe, a brezent podarty i poplamiony. Na skraju pomieszczenia podwieszono do niższego sufitu kilka worków treningowych. Wysoki czarnoskóry mężczyzna był odwrócony i nie zauważył jego przybycia. Milton przyglądał się w milczeniu, jak tamten wymierza potężne ciosy sierpowe w wypełniony piaskiem brezentowy worek, spychając go raz w lewo, raz w prawo i powodując grzechotanie łańcucha, na którym wisiał. Mięśnie ramion i pleców mężczyzny napinały się pod tkaniną zwykłego T-shirtu, a jego czarna skóra lśniła, kontrastując ze śnieżnobiałą bawełną.

Milton czekał, aż bokser przerwie, i skorzystał z okazji, by chrząknąć.

– Rutherford?

Mężczyzna odwrócił się, a na jego twarzy wykwitł szeroki, wyrazisty uśmiech.

– Cześć! Jest nasz milczek.

– Jak się masz?

– Bardzo dobrze. Masz na imię John, zgadza się?

– Tak, zgadza się. Przepraszam, że przeszkadzam. Moglibyśmy porozmawiać?

Rutherford skinął głową. Sięgnął po ręcznik i plastikową butelkę z wodą i podszedł do ławki, która została dosunięta do ściany kaplicy. Wytarł twarz ręcznikiem, a potem napił się z butelki.

– To robi wrażenie – rzekł Milton, wskazując ruchem ręki wewnątrz kaplicy.

– Dzięki. To ciężka praca, ale dobrze sobie radzimy. W ten weekend minął rok, odkąd tu jesteśmy. Nie wiem jednak, jak długo jeszcze zostaniemy. Nie mamy więcej pieniędzy. Rada gminy liczy nam przyzwoicie za wynajem, ale nie oddaje nam tej sali za darmo, a ja nie

mogę brać od tych dzieciaków więcej, niż biorę w tej chwili. Coś musi się wydarzyć, bo inaczej w przyszłym roku nas tu nie będzie.

– Czy każdy może się zapisać?

– Jeśli jest gotów należycie się zachowywać i ciężko pracować. Masz kogoś na myśli?

– Mógłbym mieć.

Rutherford pociągnął kolejny łyk z butelki.

– Kto to taki?

– Syn znajomej. Zaczyna schodzić na złą drogę. Potrzebuje trochę dyscypliny.

– Nie byłby pierwszym takim chłopakiem, który przestąpił próg tego klubu. Mamy mnóstwo nastolatków, którzy kiedyś handlowali prochami w gangach. – Rutherford mówił w prosty sposób, głosem bez wyrazu, lecz w jego słowach czuło się godność i szczerść. Na Miltonie robiło to wrażenie. – Który to gang?

– Nie jestem pewien. Wczoraj wieczorem spotkałem część z nich w parku.

– W takim razie to LFB. London Fields Boys.

– Co o nich wiesz?

– Są w tym rejonie od dawna... Handlowali tutaj, zanim wyjechałem, a więc wiele lat temu. Członkowie stale się zmieniają, zawsze jednak cieszyli się złą sławą. Jak bardzo się w to wplątał ten twój chłopak?

– Myślę, że niezbyt. Jest młody.

– Jeśli przyłapałeś go wcześniej, będziemy mieli większą szansę dojść z nim do ładu.

– Więc przyjmujesz nowych członków?

– Stale ich szukamy. Przyprowadź swojego chłopaka. Zobaczymy, co się da zrobić.

– Wybierasz się na wtorkowe spotkanie?

– Chyba tak – odparł Rutherford.

– Może się zatem zobaczymy.

Milton wrócił na główną ulicę.

Wszedł do baru i usiadł.

– Jajecznicę ze śmietaną, dwa plastry bekonu i szklanka soku pomarańczowego – powiedział, gdy kelnerka podeszła przyjąć zamówienie. Był głodny.

Spojrzał na zegarek. Minęła ósma. Śniadanie zostało podane i Milton zabrał się do jedzenia. Gdy skończył, był kwadrans po ósmej. Rozłożył na stoliku gazetę i zaczął czytać. Opublikowano krótki artykuł o zabójstwach we Francji, ale bez nowych szczegółów. Przeszedł dalej, przewracając strony, i czytał do dziewiątej. Elijah się nie pojawił. Gdy poszedł uregulować rachunek, pomyślał, że to zrozumiałe. Nie spodziewał się, że będzie łatwo. Dotarcie do tego chłopca musiało zająć trochę czasu.

# 17

Little Mark, Kidz i Elijah spotkali się na lunchu w barze szybkiej obsługi znajdującym się najbliżej bram ich szkoły. Kiedy rano młody otrzymał esemesa od Popsa, urwał się z lekcji nauk przyrodniczych. Miał na sobie szkolny uniform, czyli białą koszulę, zielony blezer oraz czarne spodnie, i gdy pokonywał biegiem ostatnich kilka metrów dzielących go od pasażu handlowego, czuł się idiotycznie. Little Mark nosił jak zwykle džinsy z obniżonym krokiem i wiatrówkę, a Kidz bojówki i bluzę z kapturem.

– Ładnie wyglądasz – stwierdzili ze śmiechem, gdy się przy nich zatrzymał.

– Wiem – odparł z żalem Elijah. – Wyglądam idiotycznie.

– Wciąż chodzisz do szkoły?

– Tak. Bo?

– Nic nie mówię – zastrzegł Kidz, tłumiąc śmiech.

– Nie chodzę na wszystkie lekcje – skłamał.

– A tak w ogóle to co tutaj robisz? Myślałem, że będziesz w szkolnej stołówce z wszystkimi innymi małymi kiepściami.

– Dostałem wiadomość od Popsa. Kazał mi tu przyjść.

Zaczęli się pojawiać inni chłopcy ze szkoły. Stołówka zawsze zappełniała się tylko w połowie; wszyscy woleli przyjść tutaj na smażonego kurczaka i pizzę.

– Dzisiaj rano pokłóciłem się z moją mamą – powiedział Little Mark.

– Niech zgadnę... Wyżarłeś wszystko z lodówki?

Little Mark uśmiechnął się szeroko.

– Nie, bracie. Nie usłyszałem budzika.

– Budzik pewnie też zjadłeś.

– Leżę w łóżku, jest około ósmej, a moja mama krzyczy, żebym wstawał, mówi, że spóźnię się do szkoły, i wtedy po raz pierwszy uświadamiam sobie, że ona wciąż myśli, że chodzę do szkoły. A nie byłem tam od sześciu miesięcy.

– Widać, ile uwagi ci poświęca, bracie. To podpada pod przemoc wobec dzieci. Zaniedbanie. Powinieneś zadzwonić na niebieską linię.



Ich radosny śmiech ucichł, gdy usłyszeli basowe dudnienie. Dotarło do nich na długo przedtem, zanim ujrzeli samochód, potem jednak zza rogu wyjechało czarne bmw, które dotoczyło się do krawężnika i zatrzymało.

– Cholera – mruknął Little Mark. – Wiecie, kto to jest?

– Co on tutaj robi? – powiedział Kidz, nie będąc w stanie ukryć nerwowego drżenia w głosie.

– Kto? – zapytał Elijah.

– Ty nie masz o niczym pojęcia – stwierdził zgryźliwie Kidz. – To samochód Biznessa. Nigdy wcześniej go nie widziałeś?

Elijah nie odpowiedział. Nie widział, nie chciał jednak tego przyznać przed innymi. Miał nową płytę BRAPPPP!, a ich plakat wisiał na ścianie jego sypialni, ale teraz to wszystko wydawało się dziecinadą.

Kierowca bmw nie zgasił silnika. Samochód był wyposażony w potężną aparaturę dźwiękową i z wielkich głośników zainstalowanych w bagażniku wydobywało się basowe dudnienie. Elijah patrzył na samochód okrągłymi oczami. Wiedział, że musiał kosztować pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt tysięcy, i to bez kosztów niestandardowego malowania, felg, aparatury dźwiękowej oraz wszystkich innych dodatków.

W bmw otworzyły się przednie drzwi i z miejsca za kierownicą wysiadł jakiś mężczyzna. Elijah rozpoznał go natychmiast. Risky Bizness był szczupły i wysoki, mierzył grubo ponad metr osiemdziesiąt, a jego już i tak imponujący wzrost podkreślała niesforna fryzura afro, dodając siedem lub dziesięć centymetrów. Twarz Biznessa rzucała się w oczy: nos był zakrzywiony, czoło trochę zbyt duże, cera naznaczona bliznami po trądziku. Pod prostymi i wypielęgnowanymi brwiami tkwiły zimne i nieprzeniknione czarne oczy. Miał na sobie wiatrówkę od znanego projektanta, czarne rękawiczki bez palców, a jego białe najki za kostkę były nieskazitelnie czyste. Na palcach nosił dwa masywne sygnety ze złota, w uszach brylantowe kolczyki, a na szyi długi i ciężki złoty łańcuch.

– Wporzo, młodzi – powiedział.

– Wporzo, Bizness? – odparł Kidz.

– Który z was to JaJa?

Elijah poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Ja.

Bizness uśmiechnął się do niego, obnażając trzy złote zęby.

– Nie obawiaj się, młody. Nie ugryzę cię. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Wsiadaj. To zajmie tylko chwilę.

Kidz i Little Mark gapili się na nich, ale Elijah zrobił, co mu kazano. Wnętrze samochodu było wykończona skórą, a basowe dźwięki tak głośne, że pulsowały mu w nerkach. Bizness wszedł do samochodu obok Elijah'a i zamknął drzwi. Pochylił się i przyciszył muzykę, żeby nie musieć krzyczeć.

– Jeden z moich chłopców zwrócił na ciebie uwagę, młody. Twierdzi, że jesteś bardzo waleczny. To prawda?

– Nie wiem – odparł Elijah, starając się powstrzymać drżenie głosu.

– On mówi, że jesteś. Trzymasz się z małą ekipą Popsa, zgadza się?

– Ta...ak.

– Nie denerwuj się tak... Mnie nie trzeba się bać.

– Nie boję się.

– To dobrze. – Bizness uśmiechnął się szeroko, błyskając złotymi zębami. – Dobrze zobaczyć młodego, który ma coś w sobie. Coś mi mówi, że ten młody mógłby stać się kimś, zyskać nieco sławy. Przypomina mi to, jaki sam byłem nieopierzony jak ty, zanim to wszystko zdobyłem. – Musnął palcami swoje ubranie, a potem wyciągnął rękę, by ogarnąć cały samochód. – Rozumiesz mnie?

– Tak.

– No więc znajomy znajomego mówi mi, że słyszał o młodym, który właśnie zaczyna się zadawać z ekipą Popsa, że nie brak mu charakteru. Kogoś ci to przypomina?

– Chyba tak.

– Chyba tak – prychnął Bizness i zmierzył młodego wzrokiem. – Jesteś wysoki jak na swój wiek.

– Wystarczająco wysoki – odparł ostrożnie Elijah.

– Zgadza się. Wystarczająco wysoki. To mi się podoba. W walce nie liczą się warunki fizyczne, ale serce do walki, prawda? Masz jaja, młody. I to mi się podoba. Ile masz lat?

– Piętnaście.

– Piętnaście. Dopiero zaczynasz. Wyrabiasz sobie reputację. Zyskujesz szacunek. Tego właśnie chcesz, zgadza się?

– Tak – potwierdził Elijah.

– Tak. Jesteś w miejscu, które nazwałbym rozdrożem... jak w Gwiezdnym wojnach. Oglądałeś je, ostatni film z cyklu?

– Oczywiście.

– Zasadniczo to gówno, jeśli nie liczyć jednego fragmentu, który ma sens i w którym Anakin może wybrać i pójść drogą dobra albo zła. Światła albo ciemności. Myśli, że ma wybór, ale w rzeczywistości nie ma go wcale. To złudzenie. Jest w sidłach ciemnej strony mocy i już się z nich nie uwolni. Przeznaczenie, cały ten syf, wiesz, co mam na myśli? W tym właśnie miejscu się znajdujesz, bracie. Twoi nauczyciele, policja, opieka społeczna, twoja mama... wszyscy oni powiedzą, że masz wybór, możesz wybrać pilną naukę w szkole, zdawanie egzaminów, zdobycie pracy, tyle że to wszystko wciskanie kitu. Wciskanie kitu. Bracia tacy jak my niczego na tym świecie nie dostaną. Jeśli chcemy zdobyć rzeczy, które nam się podobają, będziemy musieli je sobie wziąć. Zgadza się?

– Tak. – Elijah zaśmiał się nerwowo. Bizness odznaczał się charyzmą i był zabawny, ale miał w sobie napięcie, które sprawiało, że chłopiec nie był w stanie się odprężyć. Miał wrażenie, że wszystko będzie fajnie, o ile się z nim zgodzi. Był pewny, że spieranie się to kiepski pomysł.

– Zgadza się więc, że dla ciebie jedynym sposobem poradzenia sobie w tym świecie jest wzięcie się do roboty na ulicy. W pojedynkę nie jest to jednak proste. Wielu braci wpada na identyczny pomysł. Chcesz odnieść sukces, chcesz, by chłopcy, z którymi się trzymasz, traktowali cię poważnie, musisz zdobyć reputację. Mogę ci w tym pomóc. Zaczynaj spędzać czas ze mną, a wszyscy twoi mali przyjaciele dowiedzą się, że jesteś w mojej ekipie; i jak myślisz, jak szybko do tego dojdzie?

Elijah z trudem powstrzymywał uśmiech.

– Szybko.

– Nie, bracie... natychmiast. – Bizness pstryknął palcami. – Właśnie tak. Kiedy więc usłyszałem, że na ulicy pojawił się nowy młody i już wyrabia sobie reputację, zyskując pewien szacunek, myślałem sobie, że sam kiedyś taki byłem, że chyba mogę mu jakoś pomóc na starcie. Zrobię to dla ciebie, gwarantuję ci, ale najpierw musisz mi dowieść, że się do tego nadajesz.

– Nadaję się – odparł z naciskiem Elijah. – O co chodzi? Co muszę zrobić?

– Nic szczególnie złego. Po prostu mam coś, o co trzeba się przez pewien czas zatroszczyć. Myślisz, że mógłbyś coś takiego dla mnie zrobić?

– Oczywiście.

Bizness wyjął torbę z Tesco i rzucił ją Elijahowi na kolana. Była ciężka, sprawiała solidne, metaliczne wrażenie.

– Zabierz to do domu i trzymaj w bezpiecznym miejscu. Gdzieś, gdzie twoja mama jej nie znajdzie. Masz takie miejsce?

Elijah pomyślał o swoim pudełku z komiksami.

– Tak – odparł. – I tak nigdy nie wchodzi do mojego pokoju. Mogę to bezpiecznie przechować.

– Fajnie.

– Co to jest?

Bizness uśmiechnął się do niego szeroko.

– Przecież już wiesz, prawda?

– Nie – zaprzeczył Elijah, chociaż wydawało mu się, że wie.

– Nie ma sensu, bym zabraniał ci zajrzeć do środka. Wiem, że i tak to zrobisz, gdy tylko odjadę. Nie krępuj się więc... Otwórz ją.

Elijah otworzył torbę i wyjął z niej pakunek owinięty w gazetę. Rozłożył ją ostrożnie i delikatnie, jakby się bał, że niezdarny ruch mógłby spowodować eksplozję. W środku leżał rewolwer. Chłopiec z wahaniem rozsunął palce i wodził nimi po lufie, osłonie spustu, a potem po kolbie z szorstką rękojeścią. Broń palną znał jedynie z gier na konsoli i ten rewolwer w niczym nie przypominał lśniacej, nowoczesnej broni, której można było używać w Battlefield 3. Ta wyglądała na starszą, jak jakiś zabytek, coś z Call of Duty, w której toczyłeś wojnę z nazistami. Lufa była długa i cienka, z podniesioną muszką na końcu, a środkowa część rewolweru okrągła i gruszkowata. Gdy Elijah na nią nacisnął, okazało się, że bębenek się obraca i opadł, ukazując w środku sześć komór nabojoych. W zagnieceniach gazety zebrała się garść nabojoy.

– Co to jest, jakiś zabytek?

– Nieważne, ile ma lat. Koniec końców broń to broń. Dostajesz kulkę, to i tak umrzesz. No dalej, nie jest naładowany... Odwiedź kurek. Wiesz, jak to zrobić?

Kurek ciężko chodził i Elijah musiał mocno pociągnąć obydwoma kciukami, żeby go odwieść. Pociągnął za spust. Kurek opadł z głośnym trzaskiem i bębenek się obrócił. Rewolwer nagle wydał się czymś więcej niż tylko abstrakcyjnym wyobrażeniem. Był czymś rzeczywistym oraz niebezpiecznym i to było przerażające.

– Przechowaj go dla mnie w bezpiecznym miejscu i bądź gotowy... Kiedy cię wezwę, lepiej się zjaw i nie każ na siebie czekać, najpóźniej po trzydziestu minutach. Dobrze?

– Dobrze – odparł Elijah.

– Miałem rację co do ciebie... Jesteś kimś, na kim mogę polegać. Wporzo, wysiadaj, młody. Muszę się stąd zbierać. Powinienem zobaczyć się z moim menedżerem, wiesz, co mam na myśli? Jutro wychodzi nowa płyta.

Wyciągnął zaciśniętą dłoń, by Elijah mógł przybić żółwika. Chłopiec zrobił to i nagle wszystko wydało się nierealne. Wysiadł, trzymając mocno torbę; była ciężka i ukryty w niej solidny ciężar obijał mu się o udo. Basowe dudnienie w bmw zostało z powrotem podkreślone, a silnik głośno zwiększył obroty.

Kidz i Little Mark siedzieli na murku, czekając na niego. Twarze obydwu wyrażały zazdrość, mieli okrągłe oczy i rozdziawione usta.

– Czego chciał? – zapytał Kidz.

Business zatrąbił dwa razy, zwolnił hamulec ręczny i ruszył od krawężnika. Zarzuciło go, a koła buksowały, dopóki kauczuk nie wgryzł się w asfalt jezdni.

– Pogadać.

– Co tam masz? – Little Mark wskazał na torbę.

Elijah objął ją mocno.

– Nic.

## 18

O dziewiątej Milton był w barze. Właściciel go rozpoznał.

– Jajecznicą ze śmietaną, dwa plasterki bekonu i szklanka soku pomarańczowego?

Milton skinął głową z uśmiechem i zajął ten sam stolik co poprzednio. Rozłożył swój egzemplarz „Timesa” i czekając na śniadanie, przewracał kartki. Natrafił na artykuł o strzelaninie w Brixton. Jakiś młody chłopak, ponoć szesnastolatek, został śmiertelnie postrzelony przez innego chłopca. Przechodził przez terytorium konkurencyjnego gangu, żeby zobaczyć się z dziewczyną. Artykuł był opatrzony komentarzem, w którym reporter opisał przypadki śmierci w konflikcie, który nazywano wojną kodów pocztowych. Od początku roku zginęło trzydziestu młodych chłopców, niemal bez wyjątku czarnoskórych, a przecież był dopiero środek sierpnia. Większość została zastrzelona lub pchnięta nożem, jeden zatłuczony na śmierć stalową rurą.

Śniadanie przyniósł mu właściciel baru.

– Straszne – powiedział, wskazując ruchem głowy na otwartą gazetę. Był Grekiem, jego twarz była siwa od mocnego zarostu. Miał smutne oczy. – Kiedy dorastałem, jak człowiek pokłócił się ze znajomym, w najgorszym razie dostał pięścią, miał podbite oko lub krwotok z nosa. Obecnie, gdy oni wszyscy są tak wyposażeni, we wszystkie te pistolety i noże, masz szczęście, jeśli wylądujesz w szpitalu. A jedyne, czym większość tych ofiar zgrzeszyła, było wyjście z jednej strefy i wejście do innej.

– Ile ofiar pochodziło z tego rejonu?

– Trzy. Jeden mieszkał przy tej ulicy. Zastrzelili go. Próbował się dostać do sklepu z narzędziami, ale wykończyli go, zanim zdołał to zrobić.

– A policja?

Mężczyzna roześmiał się z goryczą.

– Przeważnie nie mają pojęcia. – Na myśl o tym uśmiechnął się szyderczo. – Niech pan mnie nie zmusza, bym zaczął o nich mówić, bo zanim skończę, pańskie śniadanie będzie zimne. Smakuje panu, prawda? Jest jeszcze herbata, jeśli ma pan ochotę.

Milton ujrzał stojącego w drzwiach Elijaha Warrinera. Chłopak był wyraźnie zdenerwowany i Miltonowi wydawało się, że zaraz odwróci się i wyjdzie. Uśmiechnął się i pomachał do niego, dając znak, że powinien wejść. Młody spojrzał w górę i w dół ulicy, po czym, usatysfakcjonowany, wszedł do baru. Miał na nogach nowiutkie buty sportowe. Mimo upału nosił jasnopomarańczową kurtkę puchową, która najwyraźniej nie była tania. Pod kurtką miał koszulkę drużyny Dallas Cowboys, pod nią zaś Milton dostrzegł gruby złoty łańcuch.

– Usiądź – powiedział Milton i po kolejnej chwili ociągania się Elijah usłuchał. – Cieszę się, że przyszedłeś.

– Mhm – mruknął chłopak.

– Na co masz ochotę?

Młody milczał, wodząc rozbieranymi oczami po barze. Brylantowy kolczyk lśnił na ciemnym tle jego ucha. U tak młodego chłopca ta biżuteria wyglądała nieprzyzwoicie. Milton zauważył, że syn Sharon wybrał krzesło, które było odwrócone oparciem do okna. Nie chciał, żeby ktoś go zobaczył.

– Śniadanie?

– Nie jestem głodny.

– Cóż, ja jestem. Zamówię coś dodatkowego, na wypadek gdybyś zmienił zdanie.

Milton przyciągnął wzrok właściciela baru. Wskazał na swój talerz, a potem na chłopca. Grek skinął głową i przystąpił do przyrządzania dodatkowej porcji. Elijah zgarbił się, próbując przyjąć nonszalancką pozę. Milton nabrał jajecznicy na widelec i włożył to do ust, obserwując piętnastolatka. Zadbął o to, by sprawiać wrażenie odprężonego, i milczał, czekając, aż tamten zacznie. Chłopak obrócił gazetę i przeczytał krótki artykuł o zamordowanym chłopcu. Gdy skończył, szyderczo pokręcił głową.

– Chłopcy w Brixton to zera. Jak się tu teraz zjawia, odeślemy ich do mamusi.

– Jak się nazywa twój gang?

– LFB – odparł dumnie Elijah.

– London Fields Boys?

– Zgadza się.

– Widziałem graffiti na murach.

– Taa, jest ich sporo w okolicy, to nasz rewir.

– Chyba nie czytałem o was w gazetach.

- Piszą o nas... to znaczy pisali.
- Chyba nie jesteście wystarczająco źli.
- Co przez to rozumiesz?
- Potrzebujecie sławy, prawda?
- Jesteśmy dostatecznie źli.
- Ale wygląda na to, że trzeba kogoś zabić, by trafić do gazet.
- Myślisz, że nikogo nie załatwiliśmy?
- Nie wiem. Część z tych, z którymi się zadajesz... może. Ale wiem, że ty nie.

– Gównu wiesz!

Milton odłożył sztucce i starannie wytarł usta. Przytknął palec do zdjęcia martwego nastolatka.

– Naprawdę myślisz, że mógłbyś podejść do innego chłopca, wyjąć broń i pociągnąć za spust?

Chłopak starał się wytrzymać jego spojrzenie, ale nie potrafił. Spojrzał na stolik.

Milton pokręcił głową.

– Nie jesteś do tego zdolny.

Elijah wstał.

– Nie przyszedłem tutaj słuchać wykładów.

– Próbuję spojrzeć na sytuację z dystansem.

– Nie jest mi to potrzebne – odparł Elijah, wykonując dłonią lekceważący gest.

– To nic złego. Po co ktoś miałby być taki z własnej woli?

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Usiądź, proszę.

Słowa Milтона nie odniosły skutku.

– Usiądź, proszę? Za kogo ty się uważasz? Nic o mnie nie wiesz. Nic nie wiesz o tym miejscu, o tym, jak się tu żyje, co robimy. Najwyraźniej sądzisz, że wiesz... ale się mylisz.

– Przepraszam. Usiądź. Porozmawiajmy.

Chłopak był teraz zły i Milton widział, że nie zdoła go uspokoić.

– Nie wiem, co sobie myślałem, że tu przyszedłem. Nie możesz mi pomóc. Nie masz o niczym pojęcia. Musiałem być niespełna rozumu.

Odwrócił się i wyszedł, drzwi baru zamknęły się za nim z brzękiem. Milton wstał i wyszedł za nim na ulicę. Elijah kierował się z powrotem do osiedla, zgarbiony, z naciągniętym na głowę kapturem. Milton miał już



ruszyć za nim, po czym się rozmyślił. Wrócił do baru i znowu usiadł przy stoliku z tym, co zostało z jego śniadania. Co mu strzeliło do głowy? Nie potrafił okiełznać swojego temperamentu i stracił okazję, by dotrzeć do chłopaka. Elijah był uparty i zawzięty, a bezpośrednie podejście nie wróżyło powodzenia. Będzie musiał spróbować innego sposobu.

Pops i Laura poszli na kolację do Nando's przy Bethnal Green Road, a potem pojechali autobusem do kina w Shoreditch. To był udany wieczór. Pops znalazł się poza osiedlem i nie musiał na nikim robić wrażenia, podtrzymywać reputacji ani nikogo poniżać. Odgrywał przedstawienie i robił to dobrze: był twardy, niewzruszony, sarkastyczny. Ujawnienie innych cech byłoby niebezpieczne, stanowiłoby oznakę słabości. Doskonale pamiętał filmy dokumentalne, które nauczyciel biologii pokazywał im w szkole średniej, gdy chciał wyjść i zająć szluga na boisku. Jeden opowiadał o lwach w Afryce i utkwiał mu w pamięci. W przywództwie chodziło o wizerunek. Przywódca lwiego stada musiał pokazać innym jego członkom, że nie należy z nim zadzierać. Gdyby okazał słabość, rzuciliby się na niego. Udupiliby go. Pops wiedział, że w LFB są inni Nestorzy, którzy również by go udupili, gdyby dał im powód.

Z Laurą było inaczej. Przy niej mógł się odprężyć i być sobą. Z nią zawsze tak było. Uwielbiała kokainę, ale Pops wiedział, że jest nim zainteresowana nie tylko dlatego, że może się naćpać. Była od niego starsza – o dziesięć lat – i miała to poczucie pewności siebie typowe dla starszych kobiet. Nie przypominała zdzir z osiedla, wiecznie pyskujących, wrzeszczących, dąsających się i strzelających fochy. One były tylko dziewczynami, podczas gdy Laura była kobietą. Ona była super. I, o rany, naprawdę wspaniała.

Film trwał od trzydziestu minut, gdy odezwał się telefon. Pops poczuł, jak komórka wibruje w kieszeni, i wyjął ją, by sprawdzić tożsamość telefonującego. Dzwonił Bizness. Żołądek mu się skurczył, poczuł ucisk w piersi. Nie chciał odbierać, ale wiedział, że nie ma wyboru, skoro chodziło o Biznessa. Wcześniej raper dźgnął nożem chłopaka, który ignorował jego telefony. Powiedział, że to oznaka braku szacunku, a szacunek był najważniejszą rzeczą w życiu Biznessa, tak przynajmniej twierdził.

Odebrał, przyciskając aparat do ucha.

– Bizness – rzekł cicho.

Słyszał dźwięki głośnej muzyki w tle.

– Gdzie jesteś, stary?

– Oglądam film.

– Nieee, stary, nie mów mi takich rzeczy... Zapomniałeś o dzisiejszej imprezie?

Pops zacisnął zęby. Wcale nie zapomniał. Wiedział o nowej płycie oraz o przyjęciu z okazji jej wydania i postanowił to zignorować. Był na imprezie promującej pierwszą płytę zespołu, półtora roku temu, i nie bawił się dobrze. Panowała tam atmosfera agresji i zdarczenia, doszło też do kilku utarczek słownych, które mogły się przemienić w coś jeszcze mniej przyjemnego. Relacje w grupie opierały się na niepewnych zasadach. Całe gadanie o braterstwie brzmiało świetnie, ale było tylko gadaniem, a pozory skrywały kłębiącą się zawiść, która w każdej chwili mogła eksplodować. Pops znał wszystkich z tej ekipy, niektórych lepiej niż innych, i godzenie lojalności wobec każdego z nich było niewarte zachodu.

Bizness znajdował się obecnie u szczytu kariery i tak było od sześciu miesięcy. Zastąpił Lambiego, gdy ten wpadł w tarapaty w związku z nielegalnym posiadaniem broni palnej i wsadzili go na cztery lata. Zawsze istnieli pretendenci do jego korony i zawsze traktował ich w identyczny sposób: ciągłe obraźliwe ataki słowne, które przeradzały się w agresję, gdy dissy nie skutkowały. Bicie, a gdy ono nie skutkowało, napaści z użyciem noża oraz co najmniej dwa zabójstwa, o których wiedział. Jednego z nich doświadczył osobiście na tyle z bliska, by krew biednego gnojka uwalą mu kurtkę.

Dziś wieczorem Pops nie potrzebował tego rodzaju problemów.

– W takim razie przyjdiesz? – Bizness nie ustępował.

W fotelach przed nim siedziała jakaś para. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na niego gniewnie, próbując strugać bohatera na oczach swojej kobiety. Pops czuł, jak wzbiera w nim złość. Potrząsnął głową z uniesionymi brwiami i mężczyzna dał za wygraną.

– Nie, nie wiem, stary.

– Ja nie proszę – zaznaczył Bizness. – Ja każę.

Pops westchnął. Sprzeciwianie się nie miało sensu.

– Wporzo – odparł.

– Będiesz ze swoją kobietą?

Pops spojrzał na Laurę. Oglądała film, światło z ekranu błyskało na jej bladej skórze.

– Tak.

– Przyrowadź ją, dobra? I tego młodego. Jaką ma ksywkę, JaJa? Zabierz go i powiedz mu, że potrzebuję tej paczki, którą dla mnie trzyma. Słyszę, że dziś wieczorem będzie szum. Chcę dopilnować, że nie zostanę zaskoczony z fiutem na wierzchu. Przynieś też swojego gnata.

Tymi słowami Bizness zakończył rozmowę.

Pops wpatrywał się w ekran, gdy ten powoli robił się czarny. Pierwszy akt filmu dobiegł fatalnego końca, on jednak tego nie zauważył. Myślał o Biznessie i o tym, czy mogliby pokazać się na przyjęciu, a potem wyjść. Nie potrafił nic wymyślić. Bizness uznałby to za obrazę, prawdopodobnie gorszą nawet od nieobecności, i Pops utkwiał w gównie po uszy.

Próbował spojrzeć na to z dystansem. Może był niewdzięcznikiem. Czuł w kieszeni gruby plik dziesięciofuntowych banknotów, na szyi zimne ogniwa złotego łańcucha, a na palcach ciężkie sygnety. Każda z tych rzeczy miała swoją cenę. Człowiek musiał robić rzeczy, których wolałby uniknąć. W taki właśnie sposób zdobywał wszystkie ładne rzeczy, na które miał ochotę. Tak po prostu było.

– Chodź – powiedział szeptem do Laury.

– Co?

– Trzeba się zmywać. Jest przyjęcie, musimy na nie pójść.

– Nie możemy pójść później? To dobry film.

– Musimy iść teraz, skarbie – odparł, biorąc ją za rękę i ciągnąc do przejścia między krzesłami. Telefon trzymał w drugiej dłoni i kciukiem przewijał kontakty, dopóki nie znalazł numeru Elijaha.

## 20

Przyjęcie odbywało się w klubie nocnym Chimes przy Lower Clapton Road. Pops zaparkował obok zniszczonych budynków w stylu georgiańskim przy Clapton Square i resztę drogi pokonali pieszo, mijając dyskonty oraz restauracje z kuchnią etniczną. Klub stał na skraju ronda, którym płynęły pojazdy kursujące między City a East Endem i które wyznaczało Milę Morderców, długi odcinek drogi w ostatnich kilku latach nierozzerwalnie związany z przestępczością z użyciem broni.

Chimes mieścił się w dużym i zaniedbanym starym budynku zwróconym fasadą w stronę minaretów olbrzymiego meczetu. Tworzył go osłonięty ciąg pomieszczeń, w których było gorąco i skroplona para wodna skapywała z połatanych, obwisłych sufitów. Największa sala była wyposażona w potężną aparaturę dźwiękową i Elijah słyszał basowe dudnienie już z miejsca, w którym Pops zostawił samochód. Światła obracały się i wirowały, smugi laserów przecinały wilgotne powietrze, lampy stroboskopowe migotały wesoło. W pomieszczeniach było tłoczno od imprezowiczów: dziewczyn w obcisłych bluzkach i krótkich spódniczkach, gburowatych mężczyzn zebranych w grupki pod ścianami, pijących, palących i kierujących mordercze spojrzenia na swoich rywali. Atmosfera nabrzmiała od napięcia i agresji. Linia basu wybijała rytm czterotaktowy, monotonny i brutalny, a gwar krzykliwych konwersacji setki osób wypełniał luki jako niezrozumiałe brzęczenie.

Chłopak uświadomił sobie, że gapi się z rozdziawionymi ustami. Nigdy wcześniej nie był świadkiem czegoś takiego i ledwie wierzył, że tu jest. Obecni byli wszyscy członkowie BRAPPPP!, cały dwudziestoczteroosobowy zespół, a każdy z nich sprowadził własną świtę przyjaciół i pochlebców. Młody rozpoznał ich z plakatu wiszącego w jego pokoju oraz z wideo, które oglądał na YouTube. Utwory z nowej płyty odtworzono wcześniej i teraz didżej miksował staromodnego Dr Dre i Snoop Dogga. Przy Elijahu stał Pops, z ponurą twarzą i dłonią ułożoną zaborczo na plecach dziewczyny.

Business wyłonił się z tłumu, zauważył ich i podążył w ich stronę. Poruszał się z przesadną pewnością siebie, kołysząc biodrami i ramionami,

a jego twarz była zimna i niewzruszona. Na pozdrowienia osób, obok których przechodził, odpowiadał nieznacznym skinieniem głowy lub, w przypadku bliższych znajomych, przybiciem żółwika.

– Wporzo – powiedział, dotarłszy do ich grupki. Przyglądał się im po kolei z kamienną twarzą, dopóki jego wzrok nie spoczął na Laurze. Czysta agresja zniknęła i rozchylił szerokie usta, ukazując olśniewająco białe zęby z trzema złotymi koronkami. – W porządku, skarbie – rzekł, zupełnie ignorując Popsa. – Pamiętasz mnie?

– Oczywiście – odparła Laura z roziskrzonymi oczami.

– Słuchałaś już nowej płyty?

– Tak.

– Podoba ci się?

– Jasne.

– To właśnie lubię słyszeć. Wspaniale dziś wyglądasz, skarbie.

Laura nie odpowiedziała, ale jej bezradny uśmiech był wystarczająco wymowny. Pops to zauważył i przez jego twarz przebiegł grymas poirytowania.

Bizness zignorował Popsa oraz resztę i zwrócił się do Elijaha.

– Chodź ze mną, młody – polecił i nie czekając na odpowiedź, poprowadził go przez tłum. Wysoki, krępy mężczyzna ze słuchawką w uchu stał przy drzwiach obok baru i gdy Bizness się zbliżał, skinął sztywno głową i odsunął się od nich. Pokój za drzwiami był mały i ciemny, pod ścianami stały kanapy, a zasłony w oknach nie dopuszczały światła z ulicy. W środku znajdowały się trzy inne osoby, pochylone nad długim stołem przystrojonym dwoma tuzinami kresek kokainy, rozsypanych równolegle, każda długości dziesięciu centymetrów. Elijah rozpoznał, że to członkowie BRAPPPP!: MC Mafia – raper, który przypominał Snoopa – Icarus i Bredren.

Bizness podszedł do stołu i wyjął zrolowany banknot dwudziestofuntowy. Zbliżył twarz do najbliższej kreski i z banknotem przytkniętym do nozdrza mocno wciągnął narkotyk. Połowa kreski zniknęła. Przełożył banknot do drugiego nozdrza i wciągnął resztę białego proszku. Przycisnął palcem z jednej i drugiej strony nosa, znowu mocno wciągając kokainę, a potem energicznie wtarł ją kciukiem w dziąsła. Cmokając z aprobatą ustami, podał banknot młodemu.

– Masz ochotę?

Elijah nigdy wcześniej nie zażywał kokainy i był wystraszony, ale nie potrafił odmówić. Pozostali mu się przyglądali. Twarz rapera była nieprzenikniona i chłopak nie chciał, żeby pomyślał, iż ma do czynienia z małym chłopcem. Wzruszył ramionami, robiąc, co się da, by udąć nonszalancję, pochylił się nad stołem i wciągnął biały proszek. Zdołał wchłonąć tylko jedną czwartą kreski, gdyż poczuł łaskotanie w nosie i gardle. Kichnął, nim odsunął głowę, i kichnięcie zdmuchnęło resztę kreski, a nad stół wzbiła się biała chmura; kokainowy proszek dostał się do jego oczu i ust.

Bizness zaśmiał się z nieudolności Elijaha.

– Nie robiłeś tego wcześniej, prawda, stary?

– Oczywiście, że robiłem – odparł, rumieniąc się po same uszy.

– Jasne.

Wypowiedział to słowo, przeciągając i przepelniając je sarkazmem, i Elijah przeklinał siebie w duchu za brak doświadczenia. Pomyślał, że jest smarkaczem, a to niedobrze. Cofnął się od stołu i zsunął plecak z ramienia. Rozpiął zamek, sięgnął do środka i wyciągnął owinięty w gazetę pakunek.

– Przyniosłem to – rzekł i trzymając pakunek oburącz, podsunął go Biznessowi.

– Ja tego nie potrzebuję – odparł raper.

– Co?

– Ty go potrzebujesz.

– Co?

– Posłuchaj mnie, młody – powiedział Bizness bezbarwnym, wyzbytym emocji głosem. – Podoba ci się to, co tu dzisiaj widzisz? Rozejrzałeś się dokładnie, prawda? Zauważyłem. Widzisz, co mamy? Nie mówię o drobiazgach. Ktoś taki jak Pops sądzi, że chodzi o sprawienie sobie nowych ubrań, nowych naków, zdobycie atrakcyjnej kobiety, zaoszczędzenie na nową furę. Nie obrażam go, jak kto lubi, ale to poważny przypadek czegoś, co nazywam ograniczeniem horyzontów. On donikąd nie zmierza. W tej chwili jest u szczytu swoich możliwości, dla niego to koniec. Wy, młodzi, podziwiacie takich braci, niektórzy z was może nawet osiągną jego poziom, ale innych, tych ambitnych, to nigdy nie zadowolili. Ci, którzy dokądś zmierzają, wiedzą, że stać ich na więcej. Rozumiesz?

Elijah skinął głową. Biznessowi ziało z ust alkoholem i prochami.

– Później zademonstruję ci, co mam na myśli. Ta jego suka, biała dziewczyna, wiem, że widziałeś, jak mi się przyglądała. Jak myślisz,

młody, z kim później wróci do domu?

Pozostali mężczyźni w pokoju się roześmieli, ich śmiech zabrzmiał ostro i okrutnie. Elijah z trudem przełknął ślinę.

Bizness wyciągnął lepką dłoń i ujął chłopca za potylicę. Przykucnął, żeby ich głowy znalazły się na tym samym poziomie, i przyciągnął twarz chłopaka do swojej. Zapach płynu po goleniu był mdlący i gdy Elijah spojrział na rapera, zobaczył, że jego oczy są zimne, źrenice skurczyły się do rozmiarów główki od szpilki, a mięśnie w policzkach i kącikach ust drżały wskutek zażycia kokainy.

– Chodzi o władzę, młody. Wszystko inne jest jej następstwem. Rozumiesz?

– Tak.

– Chcesz być z nami, prawda? BRAPPPP!, zgadza się, jesteście jak bracia. Dla siebie nawzajem zrobilibyśmy wszystko. Skoro jednak chcesz się z nami zaprzyjaźnić, być jednym z nas, musisz nam pokazać, że masz dość odwagi. I nie mówię o kradzieży w sklepie ani pozbawieniu jakiegoś smutnego frajera telefonu. To gówno dla dzieci.

Bizness nie zdjął ręki z karku Elijaha. Ich twarze dzieliło niespełna piętnaście centymetrów i oczy rapera wwierały się w oczy chłopca jak wiązki lasera.

– Młody – podjął. – Mam problem i ty pomożesz mi go rozwiązać. Słyszałem pogłoski, że jeden znany mi żartowniś przychodzi dziś na przyjęcie. Znasz Wileya T?

Znał. Wiley T był młodym raperem, który zaczynał zdobywać sławę. Pochodził z Camden, gdzie kręcił filmy o sobie, rapując na ulicy. Wrzucił je na YouTube i rozprzestrzeniły się w sieci. Elijah słyszał, że z powodu tych filmów Wileyowi T zaproponowano kontrakt na nagranie płyty. W szkole wszyscy o tym mówili, dyskutując z zazdrością, patrząc zawistnie na jego szczęście i zgadzając się, że ta historia stanowi dowód istnienia możliwości wyjścia z getta. Mało prawdopodobnej, ale mimo wszystko istniejącej.

– Zaprosiłem go – wyjaśnił Bizness. – Myśli, że podamy sobie ręce i się pogodzimy, ale się myli. Wiley na YouTube kładzie wersy na bit na mój temat. Pewnie słyszałeś?

Elijah skinął głową i nie myśląc, co robi, zaintonował zasłyszany diss. Zdał sobie sprawę z tego, co recytuje, zanim dotarł do końca, i się powstrzymał, twierdząc, że nie pamięta reszty.



Bizness dokończył dwuwiersz ze śmiechem, który nie miał w sobie cienia wesołości.

– Niezły ten diss, ale ten skurwiel pewnie zapomniał, że gdy ktoś wyciera sobie mną gębę, musi się liczyć z ripostą i niech lepiej wie, że to nie będzie coś, co wrzucę na YouTube, żeby się pośmiać z kumplami. Myśli, że jest zbirem, ale się myli. To mały żartowniś, mały mięczak i trzeba go załatwić.

Elijahowi zaczęły trząść się ręce. Kierunek, w którym zmierzała rozmowa, przerażał go i już wiedział, że zostanie poproszony o zrobienie czegoś, czego tak naprawdę nie chciał zrobić. Bizness rozpakował rewolwer z gazety i sprawdził, czy jest naładowany.

– Strzelałeś kiedyś?

– Nie – zdołał wykrztusić chłopak.

Bizness wyciągnął rękę i wycelował z rewolweru w MC Mafię. Przyciągnął Elijaha bliżej siebie, tak że ich głowy się zetknęły.

– To nic. Bierzesz gnata i mierzysz z niego. Właśnie... Patrz na muszkę.

– Daj spokój, Bizness – rzekł Mafia. – Celuj z tego gówna w inne miejsce. To nie jest fajne.

– Połóż palec na spuście i naciśnij. Trochę cię kopnie, więc dopilnuj, byś się zbliżył do brata, którego chcesz kropnąć. Podejdiesz blisko, to nie spudłujesz. To proste.

Bizness opuścił broń. Mafia odetchnął i zażartował, ale nie potrafił całkowicie ukryć strachu. Bizness był stuknięty; wszyscy o tym wiedzieli. Nieprzewidywalny i niebezpieczny.

Raper umieścił ostrożnie rewolwer w rękach Elijaha.

– Chcę, żebyś go zatrzymał. Obserwuj mnie dzisiaj, dobrze? Kiedy tu dotrze, podejść do niego i go uściskam, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi. To sygnał dla ciebie. Gdy tylko to zrobię, podejdziesz bardzo blisko i wpakujesz w niego sześć kul. Pociągaj za spust, dopóki rewolwer nie przestanie strzelać. Paf, paf, paf, paf, paf, paf. Jesteś moim małym mężczyzną, JaJa. Dziś wieczorem zrobimy z ciebie małego żołnierza.

## 21

Rutherford zapłacił barmanowi, wziął szklanki z sokiem pomarańczowym i lemoniadą z kontuaru i wrócił na dwór. Był ciepły wieczór. On i Milton znaleźli stolik w ogródku pubu na obrzeżach parku Wiktorii. Panował w nim duży ruch: we wtorki urządzano quizy i pub był pełen drużyn, które rozsiadły się przy stolikach. W ogródku też był ruch, większość stolików była zajęta, obok zaś płynął strumień przechodniów zmierzających do butików przy głównej ulicy i z powrotem. Rutherford pamiętał czasy, gdy to miejsce, zrujnowane i ponure, należało do najgorszych części East Endu i w każdej chwili można tam było paść ofiarą napadu. A teraz? Górę wzięły pieniądze z City: wszystkie dawne magazyny przekształcono w pretensjonalne atelier, domy szeregowy w apartamenty, a w dawnych warsztatach mieściły się sklepy mięsne, gdzie można było zapłacić pięć funtów za hamburgera z bawolego mięsa, eleganckie restauracje i sklepy meblowe. Ponoć świadczyło to o postępie i sytuacja była teraz lepsza. Rutherford nie tęsknił do przeszłości, brakowało mu jednak ducha tego miejsca; jakby wyrwano z niego serce.

Spotkanie odbyło się w Methodist Hall za rogiem. Milton znowu siedział w milczeniu, zachowując swoje opinie dla siebie. Rutherford zajął miejsce po przeciwnej stronie kręgu krzesel i przyglądał mu się. Milton przez cały czas miał obojętną minę; jeśli tocząca się dyskusja budziła w nim jakieś odczucia, to bardzo dobrze je skrywał. Kiedy spotkanie dobiegło końca, Rutherford zaproponował, by poszli napić się czegoś do pubu. Niespodziewanie dla niego Milton się zgodził.

Rutherford postawił napoje na stoliku i usiadł.

– Zdrówko – powiedział, gdy trącili się szklankami

Milton pociągnął spory łyk i zapytał:

– Więc przypomnij, jak długo służyłeś?

– W wojsku? Piętnaście lat.

Milton cmoknął z uznaniem.

– To szmat czasu. Gdzie?

– Wszędzie tam, gdzie zwykle się służy: Kosowo, Irak, Afganistan. Atrakcji nie brakowało.

– Wyobrażam sobie. W jakim charakterze?

– Królewski Korpus Saperów. Unieszkodliwianie niewybuchów. Zawsze dość dobrze radziłem sobie z rozkładaniem wszystkiego i składaniem z powrotem; po paru latach nauki był to dla mnie dość oczywisty krok. Przez pierwsze pięć lat należałem do grona tych, których wysyłano do ich rozbijania, po czym, gdy szefostwo uznało, że mam dość zdrowego rozsądku, awansowali mnie do stopnia majora i przydzielili do śledztw... Wysyłano nas, gdy jedna z bomb wybuchała, byśmy rozgryźli, co było przyczyną eksplozji: płyta dociskowa, zdalna detonacja czy coś innego. Wtedy miałem już dosyć, to się robiło idiotyczne... Próbując nas wywieść w pole, mudżahedini zaczęli umieszczać drugą i trzecią bombę w tym samym miejscu. Tak stracił obie nogi mój kumpel, z którym służyłem niemal od początku. Nastąpił na płytę obok miejsca, w którym kwadrans wcześniej wysadzili inny ładunek. Gdy do tego doszło, byłem tuż za nim, pierwszy do pomocy, gdy posłano po sanitariuszy. Po tym nie potrzebowałem specjalnej zachęty, by się wycofać. – Spojrzał znad szklanki na Miltona. – A ty? Czym się zajmowałeś? Wyglądasz mi na byłego żołnierza sił specjalnych. – Gdy Milton milczał, Rutherford wzruszył ramionami. – Cóż, nie moja sprawa.

Zauważył, że Miltonowi trochę drży dłoń; krople soku spłynęły po szklance.

– SAS – powiedział w końcu Milton.

– Tak właśnie myślałem... Gdy służyłeś dostatecznie długo, potrafisz czytać ślady.

– Miałem nadzieję, że w końcu się zmyją. – Milton roześmiał się z przymusem. – Od lat nie jestem już żołnierzem.

– Dlaczego się wycofałeś?

– Wszyscy mamy swoje powody – odparł Milton. Odrzutowiec z londyńskiego lotniska zakreślił na niebie łuk w drodze na południe. Na stoliku naprzeciwko usiadł rozdęty gołąb i został przepłoszony.

Rutherford widział, że Milton nie jest zainteresowany rozmową o tym, co się z nim stało.

– Co robisz od tamtego czasu?

– Rzeczy, o których nie mogę mówić. – Milton pokręcił głową. Obaj opróżnili swoje szklanki. Milton wstał. – Może kawy? Możemy obmyśleć,

jak mogę ci pomóc w sprawie klubu.

Rutherford przyglądał się, jak Milton przeciska się przez tłum zgromadzony przy drzwiach. Wiedział, że jego nowy znajomy o wielu sprawach mu nie powie. Domyślił się – cóż, było to dość oczywiste – że wciąż służy w wojsku w jakimś charakterze. Powściągliwość nie była cechą, której mógłby się spodziewać u trepa sprzedającego swoje doświadczenie w roli najemnika; jego zdaniem ta dyskrecja czyniła bardziej prawdopodobnym to, że Milton zajmował się czymś takim jak działalność wywiadowcza. Ten wniosek prowadził do większej liczby pytań niż odpowiedzi: co na przykład agent wywiadu robił, angażując się w sprawy małego rabusia z Hackney? Jaki to miało sens?

Milton wrócił z dwoma filiżankami cappuccino.

– A więc – powiedział – klub bokserski. Masz trudności. Jak mogę pomóc?

– Zawsze przyda mi się więcej rąk do pracy – odparł w zamyśleniu Rutherford. – Lista tego, co nie działa w klubie, jest równie długa jak moja ręka, stary. Dach przecieka, instalacja elektryczna wszędzie szwankuje, ściany wymagają malowania, brezent na ringach jest porwany i Bóg jeden wie, czym poplamiony... Niewiele mogę zrobić sam w sytuacji, gdy muszę prowadzić klub. Jeśli pytasz poważnie...

– Owszem.

– ...byłbym bardzo wdzięczny. To by miało wielkie znaczenie.

– Świetnie. Może jutro rano? Zobaczymy, co mogę zrobić?

Rutherford podniósł filiżankę.

– Przeprowadzisz tego młodego, o którym wspominałeś?

– Pracuję nad tym – odparł Milton.

## 22

Christopher Callan – Numer Dwanaście – przejechał przez miasto do Hackney, podążając za wskazaniem nawigacji, w której ustawił jako cel park Wiktorii. Był parny wieczór, więc jechał z opuszczonymi szybami, a ciepły wiaterek wiał mu w twarz. Rozejrzał się z odrazą. Była to mieszana dzielnica: domy wartości miliona funtów sąsiadowały z wieżowcami jak ze slumsów. Wjechał tyłem na miejsce parkingowe na jednej z lepszych ulic, zamknął samochód i resztę drogi pokonał pieszo. Jego cel był zaznaczony na mapie w telefonie i zmierzał do niego południowym krańcem parku, mijając szeroki staw z fontanną wyrzucającą wodę w powietrze oraz imigrantów z Polski łowiących ryby na kolację. W końcu skręcił w Grove Road.

Milton użył wcześniej swojego telefonu i centrala namierzyła sygnał, metodą triangulacji wyznaczając położenie jego źródła w domu, do którego zbliżał się teraz Callan. Szedł powoli zaśmieconą ulicą, dopóki nie dotarł pod wskazany adres, minął go drugą stroną jezdni, a następnie zawrócił. Na tę pierzeję ulicy składały się tanie szeregowce, które kiedyś mogły cieszyć oko. Obecnie bynajmniej tak nie było, a pojedyncze dobrze utrzymane nieruchomości wyróżniały się wśród nędznych, zaniedbanych sąsiadów.

Callan zastanawiał się, co Milton robi w takim miejscu. Gdy znowu znalazł się obok numeru jedenaście, zwolnił, ogarniając wszystko spojrzeniem: rdzewiejącą pralkę w rynsztoku; połamane deski ogrodzenia po drugiej stronie ulicy, przewiązane gęstą drucianą siatką; kraty na drzwiach i w oknach parteru. Okna domu były otwarte, a zasłony zaciągnięte; fioletowo-brązowa tkanina wydymała się raz po raz, poruszana lekkim wiatrem w dusznej atmosferze. Wewnątrz paliła się lampa, jej światło migotało, gdy kołysały się zasłony. Callan nie potrafił ocenić, czy w domu ktoś jest.

Przy krawężniku stało volvo. Agent rozpoznał je ze zdjęć w aktach Milтона. Samochód pasował wyglądem do poobijanych gruchotów, które zapełniały miejsca parkingowe dokoła. Gdy go mijał, zwolnił kroku

i poruszając się szybko i płynnie, pochylił się i przytwierdził nadajnik do nadkola.

Nie chciał zatrzymywać się dłużej ani zwracać na siebie uwagi. Nie sądził, by kiedykolwiek wcześniej spotkał Milтона, ale nie mógł wykluczyć, że jakoś mogli się poznać. Nie było sensu ryzykować.

Dotarł do końca ulicy, przystanął, by po raz ostatni rzucić okiem za siebie, i ruszył w stronę głównej arterii. Wyjął telefon i zadzwonił.

– Dwanaście – rzekł Nadzorca.

– Witam, szefie. Może pan rozmawiać?

– Jesteś na miejscu?

– Właśnie odjeżdżam. Okropne miejsce. Mały dom w szeregowej zabudowie. Przypomina mieszkania komunalne. To dzielnica nędzy, a nie dobre miejsce, dzieciaki na rogach ulic, pitbulle, gnijące śmieci w ogródkach... Na pewno sobie pan wyobraża. Bóg jeden wie, co on tutaj robi.

– Nie masz pojęcia?

– Zielonego.

– A dom... zajrzałeś do środka?

– Nie mogłem. Nie miałem pewności, że go tam nie ma. Nie próbowałem zbliżyć się bardziej niż na szerokość ulicy. Mogę w tym celu wrócić.

Gdy wracał obrzeżami osiedla, zauważył, że jest śledzony. Dwóch nastolatków na bmx-ach jechało za nim leniwie po drugiej stronie jezdni.

– A jego samochód?

– Przymocowałem nadajnik.

Callan skręcił w prawo z głównej ulicy i przyglądał się, jak chłopcy zeskakują z krawężnika i przecinają jezdnię pod prąd. Dystans między tą dwójką a nim zaczął się zmniejszać.

– Przepraszam, szefie. Oddzwonię.

Nacisnął przełącznik w słuchawkach, by zakończyć rozmowę. Droga skręcała ostro w lewo i Callan przystanął, żeby na nich poczekać. Doturlali się do niego. Obaj nosili nasunięte na oczy czapki bejsbolowe z kapturami naciągniętymi tak mocno, że tkanina opierała się na daszku. Dolne części ich twarzy były zakryte purpurowymi bandanami. Widać było jedynie oczy. Nie dało się odgadnąć, w jakim są wieku, ale obaj byli wysocy i smukli, a rowery były przy nich niemal komicznie małe.

– Wiesz, która godzina, człowieku? – zapytał pierwszy chłopak z niefrasobliwą agresją, zdejmując stopę z pedału i zatrzymując się. Gdyby

Callan odpowiedział na pytanie, niewątpliwie w następnym kroku pozbawiliby go zegarka wraz z telefonem i portfelem.

– Taka, że już czas, byście pojechali do domu, jak sądzę.

Chłopak podjechał nieco bliżej.

– Chcesz zobaczyć, komu pyskujesz, białasiu? Możesz się wpakować w spore kłopoty. – Drugi chłopiec zsiadł z roweru i postąpił naprzód. Odchrząknął i splunął gęstą flegmą pod nogi agenta. – Dawaj telefon – powiedział.

Callan poczuł, jak ciarki przechodzą mu po skórze i napinają się mięśnie. Znał to uczucie. Przyływ adrenaliny. Walcz albo uciekaj. W jego przypadku ucieczka była rzadkością.

– Nie chcę kłopotów – odparł łagodnie.

Drugi chłopak wyjął rękę z kieszeni kurtki. W zaciśniętej dłoni trzymał kuchenny nóż.

– Dawaj telefon i forszę, bo inaczej zarobisz kosę.

Nastolatek podszedł jeszcze bliżej, a Callan mu na to pozwolił. Gdy był w zasięgu ręki, agent zaatakował prawą dłońią z wyprostowanymi palcami wspartymi na kciuku. Cios wylądował idealnie w celu, końce palców mocno wbiły się w gardło chłopca, prosto w tchawicę. Nastolatek upuścił nóż i zatoczywszy się do tyłu, chwycił się za gardło; krztusił się i nie był w stanie oddychać.

Pierwszy chłopiec próbował podciągnąć kurtkę, żeby sięgnąć po nóż, który nosił za pasem, ale utrudniał mu to rower i był zdecydowanie za wolny. Callan pokonał dzielącą ich odległość jednym szybkim skokiem i zginając prawą rękę, uderzył chłopaka łokciem. Zataczający się do tyłu rowerzysta potknął się o pedały i upadł na wznak; ze złamanego nosa ciekła mu już krew. Nastolatek, który otrzymał cios w szyję, wciąż dyszał i Callan niemal leniwym ruchem pchnął go na ziemię, podcinając mu nogi. Przykucnął i chwycił leżącego za kołnierz. Podniósł jego głowę kilkanaście centymetrów nad chodnik, a potem uderzył ciemieniem o brzeg krawężnika, rozłupując mu czaszkę i pozbawiając przytomności.

Wstał, otrzepał ubranie i ruszył dalej.

Po zakończeniu rozmowy z Biznessem Elijah wrócił do Popsa i jego kobiety. Pops zachowywał się gburowato, rozmyślając nad szklanką jacka danielsa i rzucając ostrożne spojrzenia na drugi koniec sali, gdzie Bizness i MC Mafia rozmawiali z dwiema atrakcyjnymi dziewczynami w krótkich bluzkach i kusych spódniczkach. Chłopak też się im przyglądał, nie będąc w stanie się skupić. Czuł oszałamiającą mieszankę emocji: strach, że poproszono go, by zrobił coś, czego nie chciał zrobić, ale i dumę. Wiedział, że takie uczucia są idiotyczne, ale nie mógł nic poradzić. Gdzie byli dziś wieczorem jego przyjaciele? Gdzie się podziewali Little Mark, Kidz, Pinky i reszta? Tu ich nie było. To jego Bizness wybrał na wykonawcę zadania. To z pewnością musiało coś znaczyć. Ufał mu. Elijah mimowolnie wyobrażał sobie przyszłość, w której sam też był członkiem BRAPPPP! Najnowszym członkiem. Najmłodszym. Człowiekiem z reputacją, której nikt nie podawałby w wątpliwość. Myślał o stylu życia, o pieniądzach. Pociągnąłby za sobą w górę, z dala od osiedla, rodzinę. Jego mama nie musiałaby pracować na trzech etatach, żeby związać koniec z końcem. Kupiliby mały dom z ogródkiem. Może mógłby również pomóc Julesowi. Z odwykiem czy jakoś inaczej. Sytuacja byłaby lepsza niż obecnie.

Wiedział, jaka jest tego cena, ale starał się o tym nie myśleć.

Gdyby pomyślał, toby uciekł.

Przez tłum przebiegła fala poruszenia, gdy do klubu weszła grupka nastolatków. Było ich czterech, a na ich czele Elijah rozpoznał Wileya T. Wiedział, że raper jest tylko dwa lata starszy od niego; łączył w sobie młodość i doświadczenie. Twarz miał wypoczętą i wciąż poruszał się leniwym, sprężystym krokiem wyrostka, ale mowa jego ciała świadczyła o pewności siebie. Wypowiadane zdania przerywał przesadnymi gestami mającymi przyciągnąć uwagę zebranych i uśmiechał się szeroko do pobliskiej grupy dziewczyn; takiej pewności siebie Elijah nie mógłby nawet zacząć naśladować. Wiedział o nim dość dużo z profilu rapera na YouTube. Wiley, podobnie jak on, był chłopakiem z ulicy, uczył się w tej



samej szkole. Młody dostrzegł w jego oczach iskierkę skrywanej czujności. Ten chłopak był nad wiek dojrzały.

Gdy Business podszedł do Wileya i podał mu rękę, Elijah poczuł lodowaty ucisk w przętyku. Młodszy z raperów uśmiechnął się drwiąco i nie uściskał wyciągniętej dłoni. Business ruszył naprzód, by wziąć Wileya w ramiona, ale ten cofnął się z szyderczym wyrazem twarzy. Młody raper coś powiedział, po czym cofający się gospodarz imprezy otrzymał cios, od którego zaszczękały mu zęby. Bójka, która się potem wywiązała, rozrosła się szybko i brutalnie, a członkowie obu raperskich orszaków zwarli się ze sobą, puszczając w ruch pięści.

Elijah przyglądał się temu z drugiego końca sali. Plecak z na wpół rozpiętym zamkiem leżał u jego stóp i gdy do niego zajrzał, w zmatowiałym metalu rewolweru odbiło się światło migocącej kuli nad jego głową. Business oderwał się od tłumu walczących i z wykrzywioną pod wpływem furii twarzą rzucił gniewne spojrzenie chłopakowi.

Wypowiedział bezgłośnie jedno słowo: „Teraz”.

Elijah czuł, jak jego życie zamyka się w tej jednej strasznej chwili. Dla niego dobiegło końca. Wziął plecak i podniósł go do piersi, na tyle wysoko, by móc sięgnąć prawą ręką po broń. Palcami musnął metal, objął dłonią zimną rękojeść i odnalazł kabłąk, a za nim delikatnie elastyczny spust.

Kiedy ruszył przez salę, wydawało się, że panujący wokół gwar cichnie i zanika.

Wszystko zaczęło się dziać w złotym tempie.

Elijah spoglądał w twarze otaczających go ludzi, ale nic mu one nie mówiły.

Czuł się zupełnie sam.

Był coraz bliżej burdy. Zacisnął dłoń na rewolwerze i już miał go wydobyć z plecaka, gdy Pops chwycił go za rękę i odciągnął na bok.

– Nie bądź idiotą, młody.

Elijah spojrzał na niego nieprzytomnie.

– Bądź rozsądny. Zrobisz to, a twoje życie jest skończone. Myślisz, że policja się nie dowie? Myślisz, że on cię nie wsypie, żeby ratować własną skórę?

Chłopak nie potrafił wycedzić słowa.

– Idź do domu, JaJa. No już, spierdalaj... Zrób to teraz, zabierz ten plecak, wrzuć go do kanału i nigdy nikomu o tym nie wspominaj ani słowem.

Po drugiej stronie sali bójka przybierała na sile. Teraz brało w niej udział dwunastu ludzi i jeden z nich upadł na ziemię na oczach Elijaha. Business szybko go dopadł, kopiąc raz po raz po głowie. Pops delikatnie obrócił chłopca w stronę wyjścia i wypchnął na zewnątrz.

Elijah nie zatrzymywał się i nie oglądał za siebie.

Pops siedział w swoim samochodzie z czołem opartym o kierownicę. Przez godzinę jeździł bez celu, starając się jako tako uporządkować myśli, i w końcu trafił na Meynell Cres, ulicę biegnącą łukiem po obrzeżu Well Street Common. Była to dzielnica klasy średniej z dużymi, szerokimi domami wartości blisko pół miliona funtów. Członkowie gangu rzadko się tutaj pojawiali. Nie było to warte ryzyka. Z osiedla było dość daleko i wiedzieli, że gdyby zaczęli przysparzać kłopotów, policja zareagowałaby szybko i licznie. Znacznie lepiej było pozostać w swoim rewirze, na ulicach, które znali i gdzie ich ofiary nie były na tyle ważne, by wymagać takiej ochrony.

Wyjrzał na mały park z kręgami światła rzuconymi na skrzyżowania przecinających go ścieżek. Wyłączył silnik, ale deska rozdzielcza wciąż była podświetlona i na twarzy Popsa rozlewał się mdlący zielony blask, zabarwiający jego odbicie na szybie. Przyjrzał się sobie uważnie i znowu pomyślał, że wygląda staro jak na swój wiek. W tym sztucznym świetle cera wydawała się niemal szara, a oczy były czarne i puste, pozbawione życia, blasku. Pops miał dziewiętnaście lat, ale czuł się starzej. Widział rzeczy, których nie mógł zapomnieć bez względu na to, jak bardzo się starał. Szpanował przed innymi, bo nic innego nie mógł robić. Okazał się słabość, zjadali cię żywcem; tak właśnie było. Prawa dżungli, pomyślał znowu.

Pops był jednak inny. Bystry. Miał plan i pragnął odejść na swoich warunkach, gdy będzie gotowy. Nie szastał pieniędzmi, oszczędzał co miesiąc i chciał zgromadzić na swoim koncie dwadzieścia kawałków, zanim zakończy działalność. Gdy został wciągnięty do LFB, był porządnym uczniem, i chciał dokończyć naukę. A potem, kto wie, może pójdzie do college'u. W tym celu potrzebne było świadectwo. Do tego czasu, dopóki nie zebrał wystarczająco dużo forsy, nie było innego wyboru, jak zachowywać pozory. Gdyby nie miał się na baczności, choćby przez chwilę, było mnóstwo młodszych, którzy chętnie skorzystaliby z nadarzającej się

szansy. Doszłoby do narzekań, zrobiłby się szum i dla nich wszystkich źle by się to skończyło.

Pobiegł myślami do finału imprezy. Walka zakończyła się niemal równie szybko, jak się zaczęła, zwarzyła jednak nastrój niczym trucizna wkroplona do otwartej rany. Wiley i jego chłopcy zebrali straszne cięgi, jeden pozostał nieprzytomny na posadzce, z twarzą skopaną na krwawą miazgę. Pops przyglądał się, jak jego ciało drży i się skręca, wiedział też, że chłopiec potrzebuje lekarza, i to szybko. Spokojnie wszedł do toalety i zadzwonił na pogotowie, zostawiając anonimową wiadomość, że potrzebna jest karetka. Gdy wrócił na salę, światła były włączone i ludzie zaczęli wychodzić. Słyszał też w bliskiej odległości syreny radiowozów. Czas najwyższy się ewakuować.

Spojrzał na fotel pasażera. Spoczywała na nim torebka Laury. Pops kupił ją jej na gwiazdkę, gdy wspomniała, że lubi tego projektanta. Torebka kosztowała masę forsy, ale Laura była tego warta. Szukał jej w klubie, niestety już wyszła. Nie miał pojęcia, gdzie się teraz znajduje, ale był niemal pewny, że jest z Biznessem. Wiedział, że raper jej pożąda. Bizness nie robił z tego tajemnicy, żartując z Popssem o tym, że pewnego dnia po prostu ją sobie weźmie i Pops nic nie będzie mógł na to poradzić. Pops przeważnie zbywał to śmiechem, pilnując, by nie wybuchnąć gniewem. Dopóki trzymał ją od niego z daleka, wszystko było w porządku. Tego wieczoru okazało się to jednak niemożliwe. Przed bójką Bizness zaproponował, by zabawa przeniosła się w końcu do jego studia, i powiedział, że Laura powinna przyjść. To zaproszenie nie obejmowało Popsa. Laura była pijana i odurzona, a on wiedział, że Bizness proponuje jej dalsze picie i ćpanie. Stracił ją. Zawsze wiedział, że to się w końcu stanie, i teraz nastąpił ten moment. Poszedł do samochodu i odjechał.

Patrzył w ciemność przez swoje odbicie, gdy podskoczyło światło przejeżdżającego przez park roweru. Pomyślał o Elijahu i o tym, jak mało brakowało, by zmarnował sobie życie. Na tej imprezie podjął decyzję za niego. Bizness był złym człowiekiem, nie panował nad sobą i Pops wiedział, że szaleństwem jest temu zaprzeczać. Raper nie dbał o nikogo oprócz siebie. JaJa – młody, uległy i bezbronny – był dla niego tylko narzędziem, środkiem do celu. Wykorzystałby go do zabicia Wiley, a potem, gdyby policja zapukała do jego drzwi, wydałby go.

Bizness nie panował nad sobą i Pops musiał coś zrobić.

Sięgnął do kieszeni po portfel. W środku, ukryta pod kartami kredytowymi, znajdowała się wizytówka, którą w parku dał mu tamten mężczyzna. Miał w sobie coś, co zapadło mu w pamięć. Pops nie wiedział dlaczego, ale coś mu mówiło, że on chyba mógłby pomóc. Nie potrafił wyrzucić wizytówki i gdy reszta obrzucała mężczyznę gradem obelg, dyskretnie wsunął ją do kieszeni.

Wyjął telefon i gdy go włączył, ekran ożył. Starannie wprowadził numer mężczyzny. Uzyskał połączenie, ale po trzech dzwonkach odezwała się poczta głosowa. Pops słuchał nijakiej zapowiedzi, potem sygnału i nic nie mówiąc, rozłączył się. Co on wyprawiał? Przecież nic nie wiedział o tym człowieku. Jak mógł mu zaufać? Co zamierzał powiedzieć?

Odłożył komórkę, uruchomił silnik, wycofał i ruszył powoli z powrotem w kierunku osiedla.

## 25

W poczekalni komisariatu policji Milton nie był sam. Na jednym z plastikowych krzeseł siedziała rozparta korpulentna kobieta w średnim wieku. Jej twarz była naznaczona zniechęceniem, bezradnością i gniewem. Gdy siadał na krześle naprzeciw niej, obserwowała go w milczeniu.

Spojrzał na plakaty przypięte do wiszącej na ścianie tablicy korkowej; młodzi czarnoskórzy mężczyźni wpatrywali się w obiektywy policyjnych aparatów z wyrazem tępej, leniwej przemocy. Przestępstwa, które rzekomo popełnili, były przygnębiająco podobne: napaść z nożem, rabunek z użyciem broni w salonie bukmacherskim, strzelanina. Były dwa morderstwa, którymi zajmowała się ta sama policyjna grupa robocza – Trident. Gangsterskie porachunki czarnych z czarnymi. Jeden plakat przedstawiał młodego chłopaka spoglądającego zza krat, a napis przestrzegał, że taki jest nieunikniony los tych, którzy uwikłali się w kontakty z gangami. Chłopiec na plakacie był młody, pewnie szesnastoletni. W podobnym wieku co Elijah. Sprawiał wrażenie drobnego, bezradnego i bezbronno.

Milton po raz setny spojrział na zegar ścienny: było pięć po trzeciej nad ranem.

– W czyjej sprawie pan tu jest? – zapytała kobieta.

– Syna przyjaciółki – odparł Milton.

– Za co go zamknęli?

– Nie jestem pewien.

– To bez znaczenia – wyrecytowała. – Nie ma też znaczenia, czy to zrobił, czy nie. Muszą coś wyjaśnić, powiedzą, że to jego sprawa, i to wystarczy. Niech pan spojrzy na mojego chłopaka. Nie jest ideałem, Bóg wie, że nie jest, ale nie zrobił nawet połowy tego, co mu zarzucają. To dlatego, że jest czarny, z niewłaściwej dzielnicy, był w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Policja to rasistowskie świnię.

Milton milczał. Nie był skłonny do rozmów i po długiej chwili ciszy kobieta zdała sobie z tego sprawę. Cmoknęła językiem, pokręciła głową i dalej tępy wzrokiem wpatrywała się w wiszące na ścianie plakaty.

Sharon zadzwoniła do Milтона tuż po północy. Wyjaśniła, że policja zjawiała się w jej mieszkaniu i aresztowała Elijaha. Wcześniej słyszała, jak wraca późnym wieczorem. Znała tylko niejasne szczegóły: policjanci mówili coś o bójkę w jakimś klubie, o człowieku pobitym do nieprzytomności. Elijah został ponoć zidentyfikowany jako uczestnik zajścia. Sharon nie wiedziała, co robić, i wydawało się, że jest u kresu wytrzymałości. Powiedział, że się tym zajmie.

– Czy jest tutaj ktoś w sprawie Elijaha Warrinera?

Policjant był w średnim wieku, miał lekką nadwagę i rozwichrzone kosmyki siwych włosów wokół łysego ciemienia. Wyglądał na zmęczonego.

– Tak, ja – odparł Milton.

Policjant otworzył drzwi i wskazał wewnątrz pokoju.

– Zechce pan wejść na chwilę?

– A co z moim synem?! – wrzasnęła kobieta. – Trzymacie go od wielu godzin.

Sierżant spojrzał na nią, wzruszając ze znużeniem ramionami.

– Właśnie z nim kończą, Brendo.

– Oskarżycie go?

– Przyznał się.

– Kaucja?

– Tak przypuszczam. Po prostu zaczekaj, dojdziemy do ciebie jak najszybciej. – Policjant odwrócił się do Milтона.

– Zapraszam.

Milton zrobił, o co go poproszono. W małym pokoju mieścił się stół i dwa plastikowe krzesła. Błat stołu był zryty napisami, litery LFB powtarzały się w nich kilka razy. Policjant zamknął drzwi i wskazał gościowi krzesło. Milton usiadł na nim, sierżant zajął drugie i zapytał:

– Kim pan jest?

– John Smith. Jestem przyjacielem matki Elijaha. A pan?

– Sierżant Shaw, wydział dochodzeniowo-śledczy.

– Za co go przetrzymujecie?

– Wczoraj wieczorem na jednej imprezie doszło do poważnej napaści. Pobity został chłopak z Camden. Ciężkie uszkodzenie ciała, dość poważna sprawa. Elijah był tam, gdy to się stało.

– Jest podejrzany?

– Jeszcze nie wiem. Prawdopodobnie nie. Przyznał, że tam był. Poza tym nie chce nic mówić. Nie żebym był zaskoczony. Oni nigdy nic nie mówią. –

Shaw westchnął i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Na ścianie były tabliczki informujące o zakazie palenia, ale policjant je zignorował, wyciągnął papierosa i go zapalił. zaproponował Miltonowi, który odmówił. Shaw zaciągnął się głęboko, po czym z drugim, dłuższym westchnieniem wypuścił dym z płuc.

– Proszę posłuchać... panie Smith... Nie jestem pewien, co się z nim stanie, ale pozwoli pan, że podzielę się prognozą. Elijah jest w niebezpiecznym położeniu. Istnieją szanse, że cokolwiek się stało, tym razem mu się upiecze. Ale to nie oznacza, że sobie poradzi. Jeszcze nie jest głęboko związany z gangiem, ale balansuje na krawędzi. Nie trzeba dużo, by stracił równowagę, i jeśli to się stanie, z pewnością tutaj wróci, a wtedy dostanie zarzuty. Za to, co w końcu zrobi, może zostać skazany na prace społeczne, ale to go nie przywoła do porządku. Potem dostanie wyrok więzienia. O ile będzie miał szczęście żyć tak długo. Wielu z nich go nie ma. Widziałem to dziesiątki razy.

– A ci chłopcy, z którymi się zadaje... ten gang? – Milton wskazał na litery wryte w blacie stołu. – Kim oni są?

– London Fields Boys?

– Nie wiem o nich zbyt wiele.

– Jestem tu policjantem od niemal dwudziestu lat. To długi okres jak na pracę w jednym miejscu, ale oznacza, że mam lepsze pojęcie o tej gminie od większości ludzi. Będę z panem szczery... Hackney to nigdy nie był szczególnie przyjemny rewir. Zawsze panowała tu bieda, nigdy nie było dość pracy dla wszystkich, a dzieciaki nigdy nie miały wystarczająco dużo zajęć. W takiej sytuacji to normalne, że pojawia się problem z przestępczością. To nie jest najłatwiejsze miejsce na świecie dla gliniarza, ale przez większość tych lat dało się wykonywać moją pracę. Zdarzały się napady rabunkowe, pijani chłopcy wpadali w tarapaty po spożyciu zbyt wielu piw w piątkowy wieczór, faceci wracali do domu po wizycie w pubie i bili swoje kobiety. Zawsze zajmowaliśmy się przypadkami ciężkich uszkodzeń ciała, a od czasu do czasu trafiało się morderstwo. Są lepsze miejsca na świecie, nie brakowało problemów, ale ogólnie rzecz biorąc, trzymaliśmy to w ryzach.

Gdy spojrzeć na ostatnie pięć lat, sytuacja zmieniła się tak bardzo, że czasami ledwie poznaję to miejsce. Zawsze mieliśmy tu gangi młodzieżowe i ci chłopcy zawsze pakowali się w kłopoty. Drobne rzeczy... bójki, kradzieże, po prostu uprzykrzanie życia innym. Potem jednak wszyscy



zaczęli zaopatrywać się w sprzęt. Wszyscy noszą noże. Niektórzy broń palną. Dodać to do całej reszty, to gdy jakiś gang z innej gminy zjawia się tu w poszukiwaniu kłopotów, sytuacja bardzo szybko robi się poważna. Wszyscy mają broń, taką lub inną, i wcale nie na pokaz. Pistolety są prawdziwe, a im jest obojętne, czy ich użyją, czy nie. Nie wiem, czy Elijah wysłucha pana uważniej, niż słuchał mnie, ale musi pan przemówić mu do rozsądku. Jeśli pan nie... – urwał, po czym podjął przerwany wątek: – Jeśli pan nie przemówi, to przed nim nieciekawa przyszłość.

## 26

Milton wyszedł z komisariatu, prowadząc Elijaha. Spojrzał na ulicę. Była gorąca, skwarna noc i chociaż dochodziła czwarta nad ranem, w pobliżu wciąż kręcili się ludzie. Panowała pijacka atmosfera agresji. W spojrzeniach mijanych osób kryło się przekonanie, że biały mężczyzna na schodach komisariatu musi być policjantem. Na ich twarzach malowała się pogarda, w sennych, osłoniętych kapturami oczach czaiło się pragnienie przemocy. Czekając na zakończenie postępowania w sprawie chłopca, Milton zadzwonił po taksówkę i ta czekała na nich przy krawężniku. Otworzył tylne drzwi Elijahowi i usiadł obok niego. Podał kierowcy adres i usadowił się wygodnie, gdy włączali się do ruchu.

Spojrzał na chłopca. Górną wargę pokrywał meszek wąsów, a skórę trądzik młodzieńczy, ale w jego twarzy była hardość. Patrzył prosto przed siebie z zastygłą w bezruchu twarzą, starając się sprawiać wrażenie obojętnego, ale zdradzały go ułożone na kolanach i poruszające się szybko palce, którymi skubał naskórek przy paznokciach.

– Wiesz, że jesteś w tarapatach.

Chłopak nie odpowiedział, ale niespokojne ruchy dłoni się nasiliły.

– Pozwól mi sobie pomóc.

Gdy w końcu się odezwał, mówił cicho i szybko, jakby nie chciał, żeby usłyszał go taksówkarz.

– Nie jesteś z policji?

– Nie.

– Przysięgasz?

– Nie jestem z policji. Możesz mi zaufać, a ja chcę pomóc. W czym problem?

Elijah wciąż nie był przekonany.

– Czemu miałbyś nam pomagać? Co z tego będziesz miał?

– To długa historia.

– Nic nie powiem, jeżeli nie podasz powodu.

Milton zastanawiał się przez chwilę, co powiedzieć.

– Zrobiłem w swoim życiu rzeczy, z których nie jestem dumny – zaczął ostrożnie. – Staram się je wynagrodzić. To ci wystarczy?

– Jakie rzeczy?

– Złe – odparł Milton. – Na razie to wystarczy. Tutaj chodzi o ciebie, nie o mnie.

Elijah spojrzał na swoje kolana. W końcu resztki obaw o jego sytuację wzięły górę nad brawurą, niechęcią przyznania, że potrzebuje pomocy, oraz nad strachem przed tym, co może się zdarzyć, gdyby inni odkryli, że się wygadał.

– W porządku – powiedział. – Wczoraj wieczorem... Byłem tam. Widziałem, co się stało.

Milton kazał mu wyjaśnić. Elijah opowiadał cicho i pośpiesznie.

– Kto miał ten rewolwer?

– Ja. Bizness dał mi go w zeszłym tygodniu, kazał przechować, dopóki nie będzie mu potrzebny. Musisz mieć broń przy naszej reputacji, rozumiesz? Jest awantura, taka jak mieliśmy z Wileym i jego ekipą, i nie masz gnata, już po tobie. Jesteś skończony.

– Kto to jest Wiley?

– Ten raper. Obraża Biznessa. Bizness musiał ukarać go dla przykładu. Nie może pozwolić, by dalej wygadywał takie farmazony, na YouTube i wszędzie indziej. To psuje interesy. I reputację.

– Dałeś mu ten rewolwer?

– Nie, człowieku. Ja go miałem. Chciał, żebym sam to załatwił.

– I?

– Nie wiedziałem, co zrobić. Ruszyłem tam, gdzie zaczęła się bójka, Bizness i Wiley walczyli ze sobą, wsadziłem rękę do plecaka, tam był rewolwer, i zanim się spostrzegłem, podszedł do mnie Pops, chwycił za rękę i kazał spływać. Spłynąłem... Poszedłem prosto do domu.

– Powiedziałeś policji, że miałeś broń?

Chłopak wyglądał na oburzonego.

– Nic im nie powiedziałem.

To dobrze, pomyślał Milton. Chłopak wisiał nad przepaścią, ale wciąż miał przed sobą przyszłość.

– A ten Bizness, kto to taki?

Elijah patrzył przez chwilę z niedowierzaniem, po czym przypomniał sobie, że Milton jest od niego starszy i nie ma powodu, by słyszał o raperze.

– Risky Bizness. Rządzi tu wszystkim. Od lat, gdy był jeszcze młody, jak ja, jest w LFB. To jeden z Prawdziwych Gangsterów. Zajmuje się wszystkim... Dzieciaki sprzedają sprzęt i przekazują szmal Nestorom, a ci przekazują je Twarzom, takim jak Bizness. Zarabia obłędne sumy. Dzięki temu zbudował wytwórnię muzyczną i teraz załatwił sobie umowę na wydanie płyty. A w dodatku jest sławny. To legenda.

– Jak się naprawdę nazywa?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nigdy nie słyszałem, by ktoś nazywał go inaczej.

Taksówka skręciła w ulicę prowadzącą do Blissett House. Milton kazał kierowcy się zatrzymać. Domyślił się, że Elijah wolałby, żeby nikt nie widział, jak wysiada z nim z taksówki, i z wyrazu ulgi malującej się na twarzy chłopca wywnioskował, że miał rację.

– W porządku – rzekł. – Chcę, żebyś wrócił do domu. Twoja matka zamartwia się na śmierć. Idź spać. Nie odbieraj telefonów, zwłaszcza jeżeli zadzwoni Bizness lub któryś z chłopaków z gangu. W tym momencie musisz się od nich trochę odseparować. Słyszysz, co mówię?

– Tak – odparł Elijah. – A co z policją?

– Dałem im swój numer. Jeśli coś się pojawi, zadzwonią do mnie i wtedy pomyślimy, co dalej. No więc... co zrobiłeś z bronią?

– Wrzuciłem do kanału.

– Słowo?

– Tak. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– To dobrze. – Milton sięgnął do klamki i otworzył drzwi taksówki. – W takim razie idź. Niech sprawa przycichnie.

– A potem?

– Mam dla ciebie coś, co chyba może ci się spodobać. Spotkaj się ze mną rano w barze. O dziewiątej. Przynies swój szkolny strój sportowy.

– O dziewiątej? To już za pięć godzin. Kiedy się wyśpię?

– Odeśpisz później. Dziewiąta, Elijahu. Mam dla ciebie coś, w czym będziesz dobry.

# **CZĘŚĆ III W GOTOWOŚCI**

Śmiech, a potem coś innego. Cichy warkot. Ścisnęło go w żołądku. Nie. Samolot wciąż był kropką na horyzoncie, ale szybko się zbliżał. Poza zasięgiem radarów. Warthog, z bombami w kształcie cebuli zawieszonymi pod skrzydłami. Odrzucił karabin i zaczął się zsuwać po skarpie, a luźny piasek zsuwał się razem z nim, buty usiłowały znaleźć oparcie, bezskutecznie, i przez kilka ostatnich metrów spadał na łeb, na szyję, by wylądować u stóp skarpy z impetem, który pozbawił go tchu. Oparł się na kolanach, potem wstał – buty ślizgały mu się na ziemi i krzakach, a ręce grzęzły po nadgarstki, gdy próbował się wyprostować.

Biegł w stronę wioski. Pięćset metrów. Czteryście. Dźwięk silników warthoga był teraz głośniejszy; szturmowiec nadlatywał nisko, trzysta metrów nad ziemią, powoli, pilot się nie śpieszył.

Trzysta metrów. Biegł, buty grzęzły po sznurówki przy każdym kroku, uda pracowały aż do piekącego bólu. Dyszał ciężko, w płucach czuł żywy ogień.

Dwieście. Teraz był na tyle blisko, żeby krzyknąć, i to zrobił, wołając, żeby się ukryły, żeby uciekły z podwórka.

Sto metrów i był wystarczająco blisko, by widzieć twarze dzieci w madrasie. Tania plastikowa piłka poleciała w jego kierunku, widział zmieszanie i strach na twarzy chłopca, którego po nią wysłano. Pięciolatek? Z pewnością nie starszy. Krzyczał, żeby padł, ale było za późno – zawsze było za późno. Gdyby zdołał dotrzeć do nich wcześniej, nie miałyby to znaczenia; decyzja została już podjęta.

Silniki szturmowca huczały. Chłopczyk odwrócił się od niego, by spojrzeć na samolot. Piłka potoczyła się dalej na wietrze. Oślepiający błysk białego światła. Ogłuszający huk strasznego wybuchu. Poderwało go i odrzuciło sześć metrów wstecz, w kierunku, z którego przybiegł. Wydawało się, że druga i trzecia eksplozja sprawiły, że świat zadrżał w posadach, a hałas z ryku przeszedł w nieprzerwany piskliwy jęk.

Leżał wpatrzony w słońce, podczas gdy otaczające go powietrze zdawało się drgać. Obrócił się i podniósł głowę, przesuwając rękę, aż mógł się wesprzeć na łokciu. U góry powoli rozsnuwała się chmura czarnego dymu, który który wznosił się i przesuwał, aż w końcu przesłonił słońce. Poczul woń palących się ciał i charakterystyczny zapach materiału wybuchowego.

Odzyskał słuch, gdy warthog zanurkował i odleciał. Z wysiłkiem podniósł się do pozycji klęczącej. Pośrodku wioski znajdował się wielki krater. Wyrzutnia zniknęła. Madrasa zniknęła. Zniknęły też dzieci – tak

przynajmniej chciał myśleć, dopóki nie powędrował spojrzeniem w prawo i nie spostrzegł czerwonych plamek na ziemi.

Piętnaście metrów dalej, na otwartej pustyni, plastikowa piłka toczyła się z wiatrem.

Milton nie pamiętał równie koszmarnego snu. Gdy się obudził, przesiąknięta potem pościel leżała zmięta na podłodze. Był otumaniony i nie myślał jasno. Wstał i jak zwykle poszedł pobiegać, nie znał lepszego sposobu na odpędzenie złych myśli. W okolicy panowała cisza, park świecił pustkami. Biegając wzdłuż linii drzew, zrobił dwa okrążenia. Na drugim zwiększył tempo, tak że gdy wrócił na ulicę, pocił się i ciężko dyszał. Z powrotem wybrał trasę obok klubu bokserskiego. Drzwi były otwarte, z wewnątrz dobiegały płasnięcia skakanki. Nie zatrzymał się i wrócił do domu, wziął prysznic i się ubrał. Stał przed lustrem i sprawdził, czy jego pistolet pod marynarką nie rzuca się w oczy.

Zamknął drzwi i poszedł do baru na śniadanie. Elijah już na niego czekał. Chłopak siedział w boksie.

- Oby to było coś dobrego – rzekł nieco opryskliwie.
- Wypałeś się trochę?
- Nie bardzo. Jestem wykończony.
- Gdzie twój zestaw?

Chłopak wskazał ruchem głowy na czarną sportową torbę Nike spoczywającą obok na ławie.

- Grzeczny chłopiec. Jesteś głodny?
- Trochę – przyznał Elijah.
- W porządku. Będziesz musiał jeść. Dziś rano czeka cię ciężka praca.
- Co będziemy robić?
- Zobaczysz. – Właściciel baru podszedł do stolika przyjąć zamówienie.

Milton zamówił dwa talerze jajecznicy z bekonem, porcję frytek i dwie szklanki soku pomarańczowego.

- Twoja matka dobrze się czuje?
- Co masz na myśli? To, że mnie przymknęli? Tak, nic jej nie jest.
- Martwi się o ciebie.
- Wiem – odparł Elijah. – Nie chcę jej denerwować.
- Zdaję sobie z tego sprawę. – Tego ranka chłopak był bardziej skłonny do rozmowy i Milton postanowił wykorzystać jego nastrój. – Jak sytuacja



w domu?

– Co przez to rozumiesz?

– Jak radzi sobie twoja matka?

– A jak myślisz? Nie ma taty, mama pracuje na trzech etatach, a i tak ledwie starcza na jedzenie i ubranie dla nas. Ja i mój brat... Znajdziesz się w takiej sytuacji i robisz to, co musisz robić. Moja mama wie, czym się zajmuję... Po prostu nie chce zadawać pytań.

– A posłuchałbyś jej?

Jedzenie pojawiło się na stole, zanim Elijah zdążył odpowiedzieć. Właściciel baru wręczył każdemu z nich talerz z jajecznicą i bekonem i zostawił frytki na środku stolika.

– Wiesz o Julesie? – zapytał chłopak, gdy właściciel zostawił ich samych. – Moim bracie?

– Niezupełnie.

– Jest ode mnie pięć lat starszy. Dorastaliśmy, nie mając nic. Chodzisz do szkoły i jesteś tym uczniem w dziurawym mundurku. Nigdy nie miałem nowych koszul, spodni ani niczego takiego... Dostawałem wszystko używane; mama po prostu łątała dziury. W końcu miałem łaty na łatach. Wiesz, jak się przez to czujesz?

Milton znowu pokręcił głową.

– Jak włóczęga. Inne dzieci śmieją się z ciebie, jakbyś był jakimś szczególnym przypadkiem. – Elijah wziął frytkę, posmarował ją keczupem i włożył do ust. Pogryzł ją trochę nerwowo, wciąż niepewny, czy słusznie robi, rozmawiając z Miltonem. – Potem widzisz gości w nowych ubraniach, parkujących fury przed mieszkaniami swoich mam. Widzisz takie rzeczy i wiesz, co jest możliwe. Oni nie mają połatanych mundurków. Ich buty nie mają dziur. Jules to widział. Trafił do LFB przede mną. Pewnego dnia wrócił z nowymi najkami i już wiedziałem. Potem kupił sobie nowe ubranie do szkoły, następne buty, telefon, porządną biżuterię. Zaczął wyrabiać sobie reputację. Chłopcy w szkole, którzy robili sobie z niego jaja, przestali mu dokuczać. Zyskał respekt. Któregoś dnia wraca i mówi, że muszę zejść z nim na ulicę. Robię, co każe, i proszę, pokazuje mi samochód, który sobie kupił. Nic specjalnego, używany nissan, niemiłosiernie pokiereszowany, ale kupił go za własne pieniądze i to jego wóz. Moim zdaniem nie ma w tym nic złego. Nieważne, skąd go wziął, jest uprawniony.

– Są inne sposoby, żeby kupić rzeczy, które chce się mieć – stwierdził Milton.

– Jakie? Szkoła? – Elijah się zaśmiał. – Uważasz, że mogę się stąd wyrwać, zdobywając wykształcenie? Ile twoim zdaniem dzieciaków z mojej dzielnicy ukończyło szkołę z jakimkolwiek... wykształceniem? – Wyrzucił z siebie to słowo z pogardą. Jego oczy na chwilę znieruchomiały, patrzył prosto na Milтона. – Nie zdobędę wykształcenia, które mi pomoże, siedząc w klasie i słuchając, jak nauczyciel nawija o historii lub geografii. Nauczyciele mają mnie gdzieś. Powiedzmy, że naprawdę uważałem i dostaję dobre oceny, żeby móc pójść na uniwersytet. Obecnie na studia trzeba wyłożyć grube tysiące... Skąd mam je wziąć? – Pokręcił głową z wyrazem absolutnej pewności. – Wykształcenie nie jest dla ludzi takich jak ja, nie tutaj. Pozwól, że wyjaśnię ci to prościej: mój brat nauczył mnie wszystkiego, co muszę wiedzieć. Jego nissan nauczył mnie więcej, niż dowiedziałem się w szkole. Wyniki egzaminów mi tego nie zapewnią.

Milton dostrzegł słaby punkt w tej argumentacji i przycisnął Elijaha.

– Gdzie teraz jest Jules?

Przez twarz chłopca przebiegł cień zakłopotania.

– Sprzedawał prochy, zgadza się... kokainę, sprzedawał ją kotom... Potem zaczął sam zażywać. Nie potrafił sobie z tym poradzić. Wpakował się w kłopoty, nie przekazywał szmalu szefom jak trzeba. Miał jakiś zatarg z Nestorami i w końcu dostał porządny łomot. Zauważ, że całkiem zasłużenie... Są zasady, których należy przestrzegać, a jeśli się nie przestrzega, to dostaje się za swoje. Tak czy owak, pewnego dnia nie wrócił do domu. Mama rozmawiała z nim przez telefon i powiedział jej, że musi uciekać. Odtąd widziałem go kilka razy... Kiedyś byłem w mieście, miałem zamiar kupić nowe najki w JJB, i widziałem go na Oxford Street, jak siedzi z czapką na ziemi, żebrząc o drobne. Jest narkomanem. To obrzydliwe. Nie zatrzymałem się. Nie odezwałem się do niego. Już go nie widzimy.

– I ty go podziwiasz?

– Już nie, człowieku, nie takim, jaki jest teraz. Ale przedtem?! Tak... oczywiście, to mój brat, jasne, że go podziwiałem. Widziałem, że zdobył, co chciał, widziałem też, że to działa lepiej niż szkoła i książki. Po prostu nie zamierzam popełnić tych samych błędów.

Po skończonym posiłku Milton zapłacił i ruszyli dalej. Klub znajdował się piętnaście minut pieszo od głównej ulicy i Milton skorzystał z okazji, by kontynuować rozmowę. Nakreślił sobie obraz miłego, bezbarwnego

życia i szybko zrozumiał, jak emocje i poczucie koleżeństwa na ulicy okazały się atrakcyjne dla tego chłopca. To nieuchronnie przywiodło mu na myśl jego wędrowne dzieciństwo, kolejne ambasady i konsulaty w Europie i na Bliskim Wschodzie, gdy jego ojca delegowano na różne placówki. Dla ich rodziny pieniądze nigdy nie były problemem, ale i tak dało się dostrzec analogie między jego młodością i dzieciństwem Elijaha. Samotność, brak korzeni, fundamentów, na których można by budować. Wojsko stało się rodziną Milтона, a później Grupa. Ale nawet to się skończyło. Pomyślał, że teraz znowu jest zdany na siebie. Chyba tak było najlepiej. Dla niektórych ludzi, ludzi takich jak on, być może stanowiło to naturalną kolej rzeczy.

Drzwi do dawnej sali parafialnej były otwarte na oścież, a odgłosy bokserskiej aktywności na tyle donośne, że wylewały się na trzypasmową jezdnię. Milton wszedł do środka, Elijah podążył nieco ostrożnie za nim. Tego rana w klubie było dwudziestu kilku chłopców, rozstawionych między ringiem a sprzętem treningowym. Czwórkę upchano na ringu, ćwiczyli w parach. Worek rozbrzmiewał od ciosów okładającego go pięściami muskularnego dryblasa, a gruszka terkotała, gdy uderzała w nią agresywnie jakaś żyłasta dziewczyna, której osłonięte rękawicami pięści poruszały się w szybkim, powtarzalnym rytmie. Inni ćwiczyli ze skakankami lub walczyli z cieniem, a dwaj starsi chłopcy bielili wałkami ścianę na drugim końcu sali.

– Boks?! – zawołał Elijah.

– Zgadza się.

– To mnie nie interesuje. Nabijasz się ze mnie.

Milton odwrócił się do niego i powiedział:

– Spróbuj. Tylko jeden ranek... Zobacz, jak dobie radzisz. Jeśli ci się nie spodoba, nie musisz tu wracać. Ale możesz się zdziwić.

Rutherford zauważył ich i przeszedł przez salę.

– To twój chłopak?

– Nie jestem żadnym jego chłopakiem – rzekł lekceważąco Elijah.

– Nie ma pewności, czy to sport dla niego – wyjaśnił Milton, cierpliwie ignorując zadziorną postawę podopiecznego.

– Nie byłby pierwszym, który to mówi przy pierwszej wizycie tutaj. Ile masz lat, synu?

– Piętnaście.

– Jesteś dużym chłopcem jak na swój wiek. Myślę, że możesz coś w sobie mieć. Nazywam się Rutherford. A ty?

– JaJa.

– No to w porządku, JaJa. Masz sprzęt?

Elijah wzruszył ponuro ramionami.

– Potraktuję to jako potwierdzenie. Szatnia jest z tyłu. Doprowadź się do porządku i wróć. Zobaczymy, co potrafisz.

Milton był zaskoczony, widząc, że chłopak zrobił, co mu kazano.

– Zostaw go ze mną na parę godzin – zaproponował Rutherford. – Myślę, że spodoba mu się to bardziej, niż myśli.

Milton przyjrzał się sali pod kątem niezbędnych robót. Jak mówił Rutherford, sporo tego było. Ściany miejscami się łuszczyły, na dużych powierzchniach pod wpływem wilgoci pod farbą tworzyły się bąble, od posadzki ciągnęły się w górę łaty ciemnego grzyba. Część desek podłogi zbutwiała, jedna z muszli klozetowych była rozbita, a dach przeciekał w kilku miejscach. Żeby zbierać kapiącą wodę, poustawiano wiadra. Milton spojrzał w górę, chcąc określić położenie tych miejsc na dachu, i wziął drabinę dostarczoną przez Rutherforda. Wyszedł na zewnątrz, oparł ją o mur i wspiął się, żeby się lepiej przyjrzeć. Brakowało kilku dachówek. Zszedł na ziemię, udał się do małego osiedlowego sklepu z narzędziami i kupił szeroką folię, młotek i garść gwoździ. Następne półtorej godziny spędził, mocując folię na dachu, tak że zasłoniła ubytki. Było to rozwiązanie prowizoryczne, ale miało wystarczyć do czasu, aż będzie mógł wrócić z materiałami niezbędnymi do odpowiedniego wykonania naprawy.

Gdy wrócił do sali, stwierdził, że chłopak sparuje na ringu. Miał na sobie kask, koszulkę i spodenki, nowiutkie najki lśniły czystością na tle brudnego brezentu. Jego przeciwnik wyglądał na parę lat starszego i był odrobinę wyższy oraz cięższy, a jednak Elijah dawał sobie z nim świetnie radę. Był zwinny, doskakiwał do przeciwnika i odskakiwał poza zasięg jego ramion, przyjmując powolne proste na rękawice i odpowiadając szybkimi ciosami. Milton był w wojsku całkiem dobrym pięściarzem i umiał dostrzec wrodzony talent. A że ten młodzieniec miał talent, to pewne.

Elijah pozwolił rywalowi zbliżyć się do siebie, opuszczając głowę tak, że była osłonięta ramionami i przedramionami. Chłopak rzucił się naprzód, a Elijah obrócił się w ostatniej chwili, tak że cios rywala odbił się od jego prawego ramienia. Gdy przeciwnik opuścił gardę i odsłonił podbródek, Elijah wystrzelił prawym prostym i jego pięść uderzyła w kask przeciwnika z wystarczająco dużą siłą, by wyrzucić mu ochraniacz z ust. Ten nagły cios zatrzymał go i oszołomił, a Elijah trafił go lewym i kolejnym prawym.

Chłopak zataczał się, gdy Rutherford uderzył w gong, żeby zakończyć sparing.

Elijah ruszył w stronę lin, ale że Rutherford stanowczo nakazał mu wrócić na środek ringu, podszedł do swojego przeciwnika i dotknęli się rękawicami.

– Tak jest lepiej – rzekł Rutherford, rozchylając dla nich liny. Wysłał obu bokserów do szatni. Spozrzegł Milтона i podszedł do niego.

– Przepraszam za to – rzekł Milton.

– Chłopak jest napalony. Musi się jednak nauczyć dyscypliny.

– I co myślisz?

– Jest potencjał. Bez wątpienia ma charakter, ale damy radę popracować.

– Więc może do ciebie wrócić?

– Na pewno. Przyrowadź go we wtorek wieczorem; ustalimy mu normalny plan ćwiczeń, zaczniemy go należycie trenować.

Milton zaproponował, że zafunduje Elijahowi kolację, gdzie ten tylko zechce. Chłopiec wybrał Nando's przy Bethnal Green Road i wskazał drogę do restauracji. Pojechali autobusem z Dalston Junction, siedząc razem na górnym pokładzie, Milton z kolanami wciśniętymi w fotel przed nim, a Elijah obok. W restauracji panował spory ruch, ale znaleźli stolik w głębi sali. Milton dał chłopcu banknot dwudziestofuntowy i kazał mu kupić jedzenie dla nich obu, a ten wrócił z tacą z kurczakiem, frytkami i napojami. Postawił tacę, zrzucił kurtkę i przesunął talerz na drugi koniec stolika.

– Co to jest? – zapytał Milton.

– Nigdy wcześniej nie jadłeś w Nando's?

– Nie przypominam sobie.

– Dostałeś kurczaka w sosie piri piri z frytkami – wyjaśnił Elijah. – Jeśli nie będzie ci smakował, to coś z tobą jest nie tak.

Milton uśmiechnął się, widząc jego entuzjazm, i ugryzł kawałek kurczaka. Rozejrzał się po restauracji: przy stolikach siedzieli młodzi chłopcy i dziewczyny, niektórzy z rodzicami, oraz grupy starszych nastolatków. Panowała żywa i hałaśliwa atmosfera. Zwrócił uwagę na młode małżeństwo z dwójką dzieci, nie starszych niż sześć lub siedem lat, i zaczął błądzić myślami. Od czasu do czasu odczuwał tęsknotę, ale przyłapał się na porzuconej dawno temu myśli o założeniu rodziny. Przy jego fachu ten pomysł był nierealny zarówno praktycznie, jak i etycznie. Nigdy nie zatrzymywał się w jednym miejscu na tyle długo, by zapuścić korzenie, a nawet gdyby je zapuścił, ryzyko związane z jego profesją uczyniłoby ten układ nieuczciwym wobec osoby, która postanowiłaby się

z nim związać. Stan spraw ustalił się wystarczająco dawno, by Milton wyrzucił z głowy marzenia o życiu rodzinnym. Nie było dla takich jak on.

– Gdzie nauczyłeś się tak boksować? – zapytał Elijaha.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chyba na ulicy. Mama twierdzi, że mam temperament. Pewnie ma rację, stale wdaję się w bójki.

– Temperament nie wyjdzie ci na dobre. Będziesz musiał nad nim panować.

Elijah zbył tę radę machnięciem udkiem.

– Wiem, dlaczego tak było. Gdy byłem młodszy, w podstawówce, grałem w piłkę w parku. I większy chłopak, Malachi, ukarał mnie za to, że strzeliłem gola jego drużynie. Uderzył mnie prosto w twarz, a ja nic z tym nie zrobiłem. Nie płakałem, ale gdy wróciłem do domu, mama zobaczyła, że mam skaleczenie, i zaczęła dopytywać, jak się skaleczyłem. Powiedziałem jej, co się to stało, a ona odesłała mnie z powrotem. – Elijah połknął to, co miał w ustach, i zaczął z przesadą naśladować głos matki: – „Posłuchaj, powiedziała, jestem twoją mamą. Wychowałam cię. Chroniłam. Nie robiłam tego po to, żeby inni ludzie mogli cię wykorzystywać. Idź i nie wracaj, dopóki nie dasz mu porządnego wycisku, a ja będę ci się przyglądać z okna”. Zrobiłem więc, co powiedziała, i rozprawiłem się z nim. Potem już nigdy nie dałem sobą pomiatać.

Milton roześmiał się mimowolnie i po chwili chłopak śmiał się razem z nim.

– Nic o tobie nie wiem, prawda? – powiedział, gdy przestali się śmiać.

– Co chciałbyś wiedzieć?

Chłopiec przyglądał mu się z zaciekawieniem znad wielkiego kubka z coca-colą.

– Czym się zajmujesz? Znaczący zawodowo?

– Tym i owym – odparł Milton.

– Bo wszyscy wiemy, że nie jesteś dziennikarzem.

– Nie jestem. Rozmawialiśmy o tym. Nie mam...

– Więc co takiego robisz? No, człowieku. Opowiedziałem ci o sobie masę rzeczy. Tylko szczerze. Chcesz mnie porządnie poznać, to jak możesz tego oczekiwać, skoro masz tajemnice i gównem o tobie wiem?

– To trochę trudne do wytłumaczenia – odparł ze skrepowaniem Milton.

– Spróbuj.

– Zajmuję się... – szukał odpowiedniego eufemizmu – rozwiązywaniem problemów. Od czasu do czasu bywają sytuacje wymagające zastosowania nieco niekonwencjonalnych rozwiązań. Jestem człowiekiem, którego się prosi o ich naprawienie.

– To nie jest jedna z tych sytuacji?

– Nie rozumiem.

– Ja, znaczy się. Nie chodzi o pracę?

– Nie. Powiedziałem ci, to co innego.

– W takim razie co? Jakiego rodzaju sytuacje?

– Naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Więc mówisz, że to tajemnica?

– Coś w tym guście.

Elijah uśmiechnął się do niego.

– Kim jesteś, jakimś tajnym agentem?

– Bynajmniej.

– Jakimś Jamesem Bondem, prawda? – Elijah uśmiechał się szeroko.

– Daj spokój – odparł Milton. – Spójrz na mnie... Czy ja wyglądam jak James Bond?

– Nie. Jesteś na to zdecydowanie za stary.

Milton uśmiechnął się, kończąc jeść jedno ze swoich skrzydełek.

– Więc powiedz mi, co takiego robisz.

– Nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Odczep się, dobrze?

Przez chwilę jedli w milczeniu. Elijah skupił się na posiłku, maczając kurczaka w sosie i skubiąc go aż do kości. Wytarł palce w serwetkę, a po jego twarzy przemknął wyraz zamyślenia.

– O co chodzi?

– Czemu pomagasz mnie i mojej mamie?

– Bo tego potrzebowała. Oboje tego potrzebowaliście.

– Świetnie sobie radzi. – Elijah machnął lekceważąco udkiem.

Najwyraźniej Sharon nie wyjaśniła synowi, w jakich okolicznościach się poznali. Prawdopodobnie słusznie zrobiła; nie było sensu go martwić, ale zarazem gdyby wiedział, do jakiej rozpaczyny ją doprowadził, być może chętniej skorygowałby swoje postępowanie sam, bez pomocy. W rzeczywistości nie miało to znaczenia. Teraz robił postępy i to od Sharon zależało, co powie swojemu synowi. Milton nie miał zamiaru nadużywać jej zaufania.



Elijah nadal uważnie mu się przyglądał. Milton uświadomił sobie, że chłopiec jest bystrzejszy, niż się wydawało.

– Żadnego innego powodu?

– Na przykład?

– Że na przykład chcesz być z moją mamą.

Milton pokręcił głową.

– Nie.

– Miała facetów – drażył Elijah. – Niewielu, ale zawsze. Żaden z nich nie był dobry. Wszyscy serwują jej gadki, dopóki nie dostaną tego, co chcą, ale kiedy przychodzi co do czego, gdy muszą to potwierdzić, łżą jak psy. Załamuje się, gdy odchodzą. Przeważnie jesteśmy we dwoje. Tak jest lepiej.

– Nie sądzisz, że jest samotna?

– Nie wtedy, gdy jestem przy niej.

– W końcu kogoś znajdzie.

Elijah zmarszczył nos i odparł:

– E, nie. Nie potrzebuje nikogo innego. Ma mnie.

Milton nabrał nieco otuchy. Podejście chłopca się zmieniało, stwardniały pancerz powoli odpadał. Przyglądał się, jak z zapalem dojada kurczaka, z kącikami ust usmarowanymi sosem, i przez tę chwilę Elijah wyglądał dokładnie jak ktoś, kim był: piętnastolatek, maskujący brawurą głębokie poczucie zagubienia, niecierpliwie próbujący znaleźć swoje miejsce w świecie. Milton zdał sobie sprawę, że zaczyna nabierać do niego sympatii.

Callan szedł zdecydowanym krokiem w górę ulicy, szeregowce ciągnęły się po jego lewej ręce. Minął dom, który zajął Milton, i zwolnił, zerkając szybko przez jedyne okno. Firana zasłaniała wnętrze, ale wydawało się, że w środku nikogo nie ma. Kontynuował marsz przez pięćdziesiąt metrów, skręcił i zatrzymał się. Na jezdni panował spory ruch. Kilku nastolatków szwendało się bez celu przed pasażem handlowym przy odległym skrzyżowaniu. Bloki z mieszkaniami socjalnymi z lat pięćdziesiątych wznosiły się leniwie za żelaznymi balustradami i fragmentarycznymi trawnikami.

Patrzył uważnie i oceniał.

Ruszył z powrotem w stronę domu, sięgając do kieszeni po wytrych. Jakaś para szła w jego stronę, trzymając się za ręce, i Callan zwolnił, starannie dostosowując tempo marszu, tak by tamci minęli drzwi domu Milтона, zanim on do nich dotrze.

Wyjął narzędzie i klęknął przed drzwiami. Wsunął wytrych oraz mały klucz dynamometryczny do zamka i kolejno podnosił bolce, aż zaskoczyły. Zajął mu to niecałe pięć sekund. Obrócił klamkę i wszedł szybko do środka.

Wyjął swój pistolet i trzymał go w obu dłoniach, przyjmując swobodną postawę. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. W domu panowała cisza.

Nie wiedział, ile ma czasu do powrotu Milтона, więc działał szybko. Naciągnął na dłonie lateksowe rękawiczki i nadal trzymając przed sobą broń, wędrował z pokoju do pokoju.

Dom był tandetnie umeblowany i wymagał remontu oraz malowania. Milton prawie niczego ze sobą nie przywiózł. Callan znalazł plecak, trochę ubrań powieszonych starannie w rozlatującej się szafie, jakieś przybory toaletowe w łazience, ale niewiele poza tym. W lodówce były półlitrowe butelki mleka i soku pomarańczowego oraz nadjedzony bochenek chleba i nic więcej.

Śledztwo przyniosło więcej pytań niż odpowiedzi. Co Milton robił tutaj, w takim lokum?

Callan wszedł do pokoju od ulicy i przerzucił leżące na stole koperty. Zawierały stare rachunki, zaadresowane do osoby, zapewne poprzedniego najemcy. Obejrzał rachunek za gaz i zauważył, że na odwrocie nabazgrano kilka słów.

SHARON WARRINER

BLISSETT HOUSE, MIESZKANIE 609

Wyjął telefon i zrobił zdjęcie notatki. Wsunął kopertę z powrotem między pozostałe i zostawił pokój nienaruszony.

Wsunął sig sauera do kabury, otworzył drzwi wejściowe i wyszedł z domu. Ulica była pusta. Zamknął drzwi, wetknął lateksowe rękawiczki do kieszeni i ruszył w kierunku stacji metra.

## 30

Elijah obijał worek treningowy, po czym zlany potem usiadł na ławce. Zdjął rękawice i bandaże, które ciasno oplatały pięści. Kłykcie podczas sesji popękały i pokryły się pęcherzami, a krew poplamiła białą tkaninę. Skręcił bandaże w ciasną kulę i wrzucił do kubła na śmieci. W sali panował spory ruch. Dwaj chłopcy toczyli sparing na ringu, a kolejny wymierzał serie ciosów w tarcze treningowe, które trzymał jeden z pomocników Rutherforda. Mężczyzna przesuwając je w górę i w dół oraz na boki, zmieniając cel uderzeń i wykrzykując lewa-prawa, a chłopak robił, co w jego mocy, by utrzymać tempo. Inni skakali ze skakanką, dźwigali ciężary lub walczyli z cieniem w przestrzeni wokół ringu.

Rutherford podszedł do Elijaha i usiadł.

– Jak się czujesz, młody?

– Dobrze.

– I dobrze wyglądasz. To była dobra sesja.

– Jak sobie radziłem?

– Dobrze. Musisz trochę popracować nad gardą. Zostawiasz odsłonięty podbródek i nie ma znaczenia, jak szczywany i szybki jesteś, komuś w końcu się poszczęści, trafi cię i będzie po walce... ale możemy zrobić z tym porządek. Masz spory potencjał. Jeśli nad tym mocno popracujesz, to kto wie?

– Co pan ma na myśli? Mógłbym z tym coś zrobić?

– Za wcześnie, by to stwierdzić, młody. Ale, jak powiedziałem, masz potencjał. – Rutherford przerwał na chwilę, błędząc wzrokiem po sali. – Zadajesz się z LFB, zgadza się?

Elijah potwierdził.

– Powiedział mi o tym twój przyjaciel. Wiesz, że nie pozwalamy tu na nic takiego? Na żadne emblematy, awantury, na nic. Pasuje ci to?

– Tak – odparł Elijah. – Nie jestem z nimi tak mocno związany. Znam niektórych, to wszystko.

– W takim razie nie będziemy mieli kłopotu. To dobrze.

– Pan był związany, prawda? Z gangami, znaczy się.

- Tak – przyznał Rutherford. – Dawno temu. To widać?
- Widzę, jak inni na pana patrzą. Nietrudno się domyślić. Z kim pan się zadawał?
- Z LFB.
- Co pan robił?
- Zwykle sprawy... Rabowałem, sprzedawałem narkotyki, kradłem różne rzeczy. Ale moją specjalnością było okradanie dilerów.
- Poważnie?
- Czemu nie? Wiadomo, że muszą nosić mnóstwo forsy, a jeśli ją zgarniesz, co zrobią? Przecież nie pójdą na policję. I wiesz co? Dobrze się z tym czułem, przynajmniej wtedy, gdy byłem z innymi chłopakami. Miałem pieniądze i władzę, więc w końcu przekonałem siebie, że nie ma w tym nic złego. Wmawiałem sobie, że to prawo dżungli, silni przeciwko słabym. A ja byłem silny, tak właśnie to wówczas widziałem. Ale myliłem się. Byłem zbirzem kryjącym się za dwudziestkądwójką i byłem głupi. Młody, dumny, zakłamany i głupi.
- Co się stało?
- W końcu? – Rutherford pokręcił głową i wciągnął powietrze przez zęby. – W końcu, młody, stało się tak, jak zawsze się działo. Obrobiliśmy melinę, tyle że tym razem chłopcy z Tottenhamu znali nasze plany. Mieli tam paru ludzi z giwerami, którzy na nas czekali. Gdy weszliśmy, zaczęli strzelać. Wyjąłem pistolet i też strzeliłem. Nie wiedziałem, do kogo strzelam. Wydarzyły się złe rzeczy.
- Zabił pan kogoś?
- Jak mówiłem, zdarzyły się złe rzeczy. Musiałem uciekać, więc zaciągnąłem się do wojska.
- Ile pan miał lat?
- Rutherford odwrócił pytanie.
- Mówiłeś, że ile masz lat?
- Piętnaście.
- Zgadza się. Miałem tylko pięć lat więcej od ciebie, młody. Teraz mam trzydzieści pięć. Wyszedłem sześć miesięcy temu. Odsłużyłem piętnaście lat. Więcej niż ty przeżyłeś na tym świecie. Zaliczyłem dwie wojny.
- Cholera.
- Taak, zgadza się... cholera. Rozumiesz, dlaczego robię to, co robię teraz, JaJa? Wiem, dokąd trafią nastolatkiwie tacy jak ty, jeśli nie będą uważać. Nie ma szans, by trafili gdzie indziej. Wiem, że pewnie czasem tak

się wydaje, ale nie próbuję traktować cię protekcjonalnie. Po prostu wiem. Podążaj dalej drogą, na której jesteś, a zabrniesz tak daleko, że nie będziesz nawet wiedział, jak z niej zejść. Zastrzelą cię lub zadźgają albo ty to komuś zrobisz i policja cię zamknie. Tak czy owak, to będzie koniec... twój koniec. Jeśli mogę pomóc paru z was wrócić do uczciwego życia, zejść z tej drogi, to... z mojej perspektywy... zaczynam trochę oddawać, spłacać dług, który zaciągnąłem.

Drzwi na ulicę otworzyły się i do klubu wszedł Pinky. Elijah zeszywniał.

– Znasz go? – zapytał Rutherford.

– Tak. On też tu przychodzi?

– Kiedyś przychodził, ale dawno go nie widziałem. Jesteście w dobrych stosunkach?

– Niespecjalnie.

– Nie dziwię się... Niełatwo się z nim dogadać. Ma całą masę kłopotów. – Gdy Pinky podszedł do nich, Rutherford wstał, rzucił do Elijah'a: – Spokojnie, młody – i zapytał: – Jak leci? Nie widziałem cię od paru tygodni.

– Byłem zajęty. – Pinky powiedział to z dumą i Elijah dokładnie wiedział, co miał na myśli.

– Czyżby? Ile zarobiłeś w tym tygodniu, ogierze?

– Co?

– Forsy. Wiem, że opychasz towar. Widziałem cię na galerii Blissett House. Ile?

Pinky spojrzał na Elijah'a i odparł z szerokim uśmiechem:

– Pięćset.

Rutherford zacmokał.

– Pięćset – powtórzył. – Nieźle.

– Nieźle? Lepiej niż ty zarobisz przez cały miesiąc.

Rutherford przyjął identyczną pozę i spojrzał na chłopca z lodowatą hardością, której Elijah nigdy wcześniej nie widział. Przez chwilę łatwo było sobie wyobrazić, jaką grozę musiał budzić, gdy był młodszy.

– Nie muszę znosić twoich uwag – powiedział. – Rób tak dalej i możesz odejść... możesz spierdalać. Jeśli jednak chcesz zostać, to musisz obiecać, że będziesz słuchał. Powiem ci, jak można zarobić takie pieniądze, ale legalnie, żeby nikt ci ich nie zabrał i cię nie zakatrupił.

Pinky szykował się do starcia i przez chwilę Elijah spodziewał się, że zaraz odpyskuje. Rutherford stał przed nim nieustępliwie, na jego twarzy

malowała się spokojna pewność siebie. Nie zamierzał się cofnąć.

– Wporzo – rzekł Pinky i napięcie opadło. Westchnął nagle i uśmiechnął się z przymusem. – Wyluzuj, człowieku. Ja tylko się z tobą drocę.

– Przebierz się – polecił mu surowo Rutherford. – Przez czas nieobecności zrobiłeś się kluchowaty. Masz sporo do nadrobienia.

– Zabawny jesteś. – Pinky zadarł koszulkę Las Vegas Raiders. Był chudy i żylasty, mięśnie odznaczały się na jego brzuchu równymi, zwartymi liniami. – Kluchowaty? Spójrz na to... na tę rzeźbę.

– Wchodź na ring. Mam kogoś, kto sprawdzi, czy nadal masz to, co trzeba.

– Czyżby? A kto to taki?

Rutherford odwrócił się do Elijaha.

– Wstawaj, młody. Załóż nowe owijki. Możecie sparować ze sobą. Trzy rundy.

Pinky spojrział na młodego i się roześmiał.

– On? – zapytał pogardliwie. – Poważnie?

– Gadać to każdy potrafi. Myślisz, że dasz mu radę? Zobaczmy w ringu.

– Piszę się na to – odparł Pinky, markując szybką kombinację ciosów, prawy-lewy-prawy. – Zgaszę małego jak świecę.

Pinky poszedł do szatni i wrócił odziany w luźne spodenki, które podkreślały chudość jego nóg. Elijah znowu owinął bandażami dłonie i zasznurował rękawice. Obaj weszli na ring i pod naciskiem Rutherforda dotknęli się rękawicami.

Pinky był starszy, ale mieli podobną posturę. Ruszył naprzód agresywnie, walcząc z nisko opuszczoną gardą i zasypując Elijaha gradem ciosów w gwałtownych kombinacjach. Zadawał je szybko, nieszczególnie mocno i celnie, więc Elijah był w stanie bez trudu odeprzeć ten szturm, przyjmując uderzenia na ręce i uchylając się przed nimi. Przez resztę rundy walczył w ten sposób, wytrzymując ataki i odpowiadając mocnymi ciosami, które błyskawicznie lądowały nad gardą na nosie lub podbródku Pinky'ego. Wiedział, że jego ciosy są raczej krótkie niż potężne, ale to w niczym nie przeszkadzało. Nie starał się zrobić Pinky'emu krzywdy, jeszcze nie teraz. Starszy chłopak wściekał się po każdym uderzeniu i nacierał ze zdwojonym zapalem. Elijah pozwalał mu na to, odskakując i tłumiąc ciosy rywala, gdy nie mógł ich uniknąć. Czekał, aż Pinky się zmęczy.

Gdy pierwsza dwuminutowa runda dobiegła końca, Rutherford uderzył w gong i chłopcy odeszli do przeciwległych narożników, żeby się napić.

– Wykończę cię, młody! – zawołał Pinky z drugiego końca ringu, sepleniąc z powodu ochraniacza na zęby.

– Nic mi nie zrobiłeś w pierwszej rundzie – odpalił Elijah. – Spójrz na mnie... nawet się nie spociłem.

Pozostali chłopcy przerwali ćwiczenia, by obserwować, co się dzieje. Dwóch podeszło, by stanąć obok Rutherforda, pozostali leniwie dołączali do nich.

Rutherford uderzył w gong. Znowu ruszyli do walki. Pinky wkroczył do akcji agresywnie, wyprowadzając kolejną kombinację gwałtownych uderzeń, prawych i lewych, z którymi Elijah z łatwością się uporał. Ponieważ Rutherford obserwował go z boku ringu, młody uznał, że nadszedł czas, by zademonstrować swoje umiejętności. Podkręcił tempo. Pinky znowu ruszył naprzód i Elijah uchylił się przed pierwszą lawiną uderzeń, zadając mocny prawy prosty, który ustawił jego rywala do pionu, lewy i prawy w nerki, a potem, gdy Pinky opuścił gardę, mocny, wyprowadzony z tyłu prawy. Pinky się cofnął, lecz Elijah nie przestał uderzać. Podążył za rywalem po ringu, bijąc sierpowymi w korpus. Pinky opadł na liny. Elijah obrócił się na lewej stopie i wymierzył mocny prawy, wkładając weń całą siłę i wykorzystując masę ciała. Pinky przyjął cios prosto na szczękę i padł na wznak.

Rutherford uderzył w gong i wdrapał się na ring. Pinky był czworakach, ochraniacz na zęby leżał na brezencie, z rozdziawionych ust zwisały mu nitki śliny. Rutherford pomógł mu wstać i rozchylił liny. Nie patrząc nawet na Elijah, w milczeniu ześliznął się na posadzkę i poszedł do szatni. Przyglądający się temu chłopcy głośno krzyczeli, będąc pod wrażeniem pokazu, jaki urządził Elijah. Jeden ze starszych wiekiem oświadczył, że młody sprął Pinky'ego na kwaśne jabłko. Elijah nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu.

Rutherford sprowadził go na bok i pomógł rozsnuować rękawice.

– Posłuchaj no, młody – powiedział. – Masz talent. Pozwoliłeś, żeby wyczerpał siły, prawda?

Elijah wzruszył ramionami.

– Wydawało się, że nie ma sensu wdawać się z nim w bijatykę. Jest większy ode mnie. Gdybym go od razu zaatakował, byłby za mocny. Pomyślałem, że lepiej będzie mu pozwolić, by się zagotował, osłabł, a potem wkroczyć do akcji i go zgasić.

Rutherford uśmiechnął się, gdy chłopiec wyjaśnił swoją taktykę.



– Sam to wszystko wymyśliłeś?

– Kiedyś grałem w ten sposób na PlayStation. Ali i Foreman, zgadza się?

To jest taktyka rope-a-dope 1.

– I nauczyłeś się tego z gry wideo?

– No.

– Czemu nie? – Rutherford się zaśmiał. – Słuchaj, mały, wiem, że dopiero zaczynasz, byłeś tu zaledwie kilka razy, ale myślę, że jesteś gotowy wejść na wyższy poziom. Zbliża się wieczorny mecz z klubem z Tottenhamu. Podobnym do naszego tutaj, prowadzi go mój przyjaciel. Zamierza przywieźć swoich chłopaków, żebyśmy mogli zobaczyć co i jak. Będzie miał pięciu najlepszych pięściarzy. Ja wybiorę pięciu swoich. Chciałbym umieścić cię w zespole. Co ty na to? Brzmi jak propozycja, którą mógłbyś być zainteresowany?

Serce Elijaha przepęłniała duma. Nikt nigdy mu nie mówił, że jest w czymkolwiek dobry. Żaden z jego nauczycieli, żaden z przyjaciół, właściwie nawet jego mama.

– Jasne – odparł. Nie wiedział, co dodać.

Rutherford położył mu na ramieniu dużą dłoń.

– Grzeczny chłopiec – powiedział. – Tak właśnie myślałem. A więc w czwartek wieczorem. Pogadaj z gościem, który cię przyprowadził. Z panem Miltonem. Dowiesz się, czy będzie chciał przyjść?

Elijah pomyślał o Miltonie. Czy przyszedłby, gdyby go poprosił? Z zaskoczeniem stwierdził, że po trosze na to liczy.

– Wporzo – odparł. – Dowiem się.

1 Technika walki polegająca na tym, że bokser opiera się plecami lub ramionami o liny ograniczające ring i szybkimi ruchami korpusu unika ciosów przeciwnika (przyp. tłum.).

## 31

Milton spojrział na okno w salonie mieszkania Sharon. Było zakratowane, ale szyba została stłuczona. Pośrodku okna ziała szeroka, poszarpana dziura. Wiatr wyciągnął zasłony na zewnątrz i teraz łopotały bezużytecznie, zahaczając o ostre krawędzie szkła. Kawałki szyby wypadły na galerię i teraz chrzęściły pod butami niczym lód.

Zadzwoił do Sharon pół godziny wcześniej, żeby zapytać o Elijaha. Była zdenerwowana, ledwie z trudem tłumiała szloch; przyszedł od razu. Na poduszce kanapy leżała cegła, absurdalna w tym miejscu, wokół niej połyskiwały odłamki szkła. Ktoś wybił nią szybę.

– To tylko nic nieznaczące, dziecięce wygłupy – stwierdziła żałośnie Sharon.

– Zdarzało się to przedtem?

Wzruszyła ramionami, lekko skrępowana.

– Czasami.

– Trzeba będzie to naprawić.

– Rozmawiałam z administracją. Twierdzą, że będą mogli to zrobić dopiero w przyszłym tygodniu.

– Nie możesz tego tak zostawić do tego czasu. Pozwól, że się tym zajmę.

– Nie mogę cię o to prosić.

– Żaden kłopot. Prosta robota. Muszę tylko kupić parę drobiazgów. Zajmie mi to pół godziny.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

– Pod jednym warunkiem... Ty pozwolisz, bym ugotowała ci kolację.

– Umowa stoi.

Milton zrobił pomiar, po czym poszedł do sklepu z narzędziami w centrum Hackney po niezbędny sprzęt i materiały.

Zanim wrócił, na łączniku zgromadziła się garstka nastolatków; opierali się o balustradę na końcu balkonu. Gdy odkładał zakupione rzeczy i zdejmował marynarkę, patrzyli na niego z posępną agresją w oczach. Odkręcił metalową kratę i postawił ją ostrożnie pod ścianą. Stare prześcieradło, które dała mu Sharon, rozłożył na balkonie pod oknem

i wybił z ramy największe kawałki szkła; do usunięcia tych mniejszych użył młotka i dłuta. Wydłubał kit z rowka w ramie i kombinerkami wyciągnął gwoździe bez główek. Wyszlifował nierówności, nałożył farbę do gruntowania, a potem wypełnił dziury i pęknięcia. Ugniótł kit w cienki wałek i wcisnął go w rowek w ramie, a następnie ostrożnie założył nową szybę, dociskając ją starannie, tak aby wyciśnięty kit szczelnie wypełnił luki. Wbił nowe gwoździe przytrzymujące szybę i upchał więcej kitu na styku szyby i ramy, nadmiar odcinając dłutem. Podniósł metalową kratę i przykręcił ją z powrotem. W końcu cofnął się pod balustradę i podziwiał dzieło swoich rąk. Robota była dobrze wykonana.

– Marnujesz czas! – zawołał jeden z chłopców. – Jej nikt nie lubi. Nie jest stąd. Powinna chyba zrozumieć aluzję, wynieść się gdzie indziej?

– Nigdzie się nie wyniesie – odparł Milton.

– Szyba znowu się stłucze, gdy tylko stąd znikniesz.

– Zostawcie ją w spokoju. Dobrze?

– A co zamierzasz z tym zrobić, staruszkę?

Wszystko, co mógł wymyślić, to nauczenie ich dobrych manier, wiedział jednak, że tylko on miałby z tego satysfakcję. Sharon nic by to nie dało. Nie mógł być u niej cały czas i ledwie by sobie poszedł, zostałaaby ukarana. Lepiej było ugryźć się w język.

Chłopcy zostali jeszcze przez dziesięć minut i wrzeszczeli na niego, żeby sprowokować jakąś reakcję, ale kiedy zdali sobie sprawę, że ich ignoruje, zarzucili go gradem kolejnych obelg i zwlekli się po schodach na parter. Milton obserwował, jak odchodzą.

Było tuż po siódmej, gdy ku swojemu zadowoleniu skończył pracę przy oknie. Uprzątnął narzędzia i wszedł do mieszkania. Telewizor w salonie był ustawiony na kanał informacyjny BBC. W Tottenham jakiś człowiek został zastrzelony przez policję. Prezenter powiedział, że handlował narkotykami i zgodnie z informacjami policji był uzbrojony. Milton oglądał przez chwilę, tak naprawdę nie zwracając uwagi na jego słowa, a potem znalazł pilota i wyłączył odbiornik.

Sharon odsunęła stół od ściany i nakryła do kolacji. Przyrządziła baraninę w curry, tradycyjne jamajskie danie. Gdy zjedli, Milton pomógł sprzątnąć ze stołu. Wyjął papierosy i zapytał:

– Mogę?

– Co to za marka? – powiedziała, patrząc na nieznaną czarno-niebiesko-złotą paczkę.

– Arktika. Rosyjskie.

– Nigdy dotąd ich nie widziałam. Gdzie je kupujesz?

– W Internecie. Każdy człowiek musi mieć co najmniej jedną słabość.

– Ruskie fajki?

– Kiedyś, dawno temu, poznałem jednego gościa. Był Rosjaninem. Znaleźliśmy się w kłopotliwej sytuacji i nie mieliśmy nic poza nimi. Trzy paczki. Wystarczyły nam na cztery dni. W końcu polubiłem ich smak. Wódkę też, ale tylko tę dobrą.

Otworzył paczkę i podał Sharon. Wzięła papierosa, Milton podał jej ogień. Potem zapalił swojego i przyglądał się, jak Sharon zaciąga się głęboko i wypuszcza dym ustami razem z długim westchnieniem.

– Jesteś dla mnie taki dobry – powiedziała po chwili milczenia. – Nie wiem dlaczego.

Milton zaciągnął się, tytoń zaskwierczał, gdy płomień powędrował w górę papierosa.

– Miałaś pecha – powiedział. – Życie nie zawsze jest sprawiedliwe. Ciężko pracujesz, zasługujesz na pomoc. Cieszę się, że mogę to robić.

– Ale czemu ja?

– A czemu nie ty? – odpowiedział, pozwalając, by znowu zapadła cisza, i delikatnie zwrócił myśli ku jej pytaniu. Czemu ona? Czy po prostu chodziło o to, że znalazł się w odpowiednim czasie we właściwym miejscu, czy też było coś jeszcze, coś w Sharon, co go w niej pociągało? Bezbronność? Bezradność? A może dostrzegł dzięki niej sposób na zadośćuczynienie za to, co kiedyś zrobił?

Za synów, których uczynił sierotami.

Za żony, które uczynił wdowami.

Nie znał odpowiedzi na to pytanie i nie sądził, by należało się nad tym rozwodzić.

Znowu zaciągnął się papierosem.

– Mogę ci podać coś do picia? Wódki nie mam, ale jest chyba trochę ginu i tonik.

– Już nie piję – odparł Milton. – Szklanka wody wystarczy.

Sharon poszła do kuchni. Milton stał sam w salonie i przyglądał mu się uważniej niż poprzednim razem. Zauważył drobne detale, które Sharon umieściła, próbując uczynić nijakie pomieszczenie bardziej przytulnym: haftowane poduszki na kanapie, rośliny doniczkowe, zasłony z Ikei skrywające kraty za oknem. Podszedł do komody. Sharon ustawiła na niej

zestaw oprawionych zdjęć swoich dzieci, dwóch chłopców w różnych okresach ich życia. Podniósł jedno i przyjrzał mu się; było to profesjonalne zdjęcie w rodzaju tych, jakie można było tanio kupić w galeriach handlowych, z Sharon na fotelu ze stojącymi po bokach synami. Milton domyślił się, że zrobiono je cztery lub pięć lat temu. Miała inną fryzurę, a na jej twarzy nie było nieustannego grymasu zmartwienia, który musiał pojawić się później. Elijah był ślicznym, pucołowatym dziesięciolatkiem, uśmiechającym się promiennie i bez znużenia w oczach. Jego starszy brat, Jules, pewnie w tym samym wieku co Elijah teraz, był do niego bardzo podobny. Miał szczerą twarz. Nic nie świadczyło o predyspozycji do samozniszczenia, ale zapewne już wtedy ruszył drogą, która ostatecznie doprowadziła go do ruiny.

Sharon wyszła z kuchni z dwiema szklankami w dłoniach.

– Moi chłopcy – powiedziała po prostu. – Zawiodłam w przypadku Julesa. Nie zamierzam pozwolić, by to samo stało się z Elijahem.

– Nie pozwolisz.

Uśmiechnęła się ze smutkiem, stawiając obie szklanki na stole. Milton przyglądał się, jak po jej policzku powoli spływała łza. Podeszedł, przyciągnął ją do siebie i trzymając w ramionach, prawą dłonią pogładził po włosach.

Sharon odsunęła się delikatnie i spojrzała mu w twarz. Jej oczy były wilgotne i jasne. Milton przycisnął ją do ściany i mocno pocałował w usta. Wyrwała się, a on się cofnął, by zrobić jej miejsce.

– Przepraszam – powiedział, lecz ona uniosła ręce, objęła go palcami w nadgarstkach i przyciągnęła z powrotem do siebie. Gdy ich ciała się zetknęły, przesunęła jego dłonie w dół, aż objęły jej szczupłą talię, i przechyliła głowę, by go pocałować. Milton przyciągnął ją jeszcze bliżej, napierając klatką piersiową na jej biust. Wydała z siebie stłumiony jęk, odrywając rozchylone usta od warg Milтона i przytulając policzek do jego policzka. Ustami muskała jego szyję. Pozostali przez chwilę w tej pozycji, oddychając ciężko.

Odchyliła się nieco, by móc spojrzeć Miltonowi w twarz. Delikatnie odgarnęła kosmyk czarnych włosów, który opadł mu na wilgotne czoło. Wsunęła dłoń do jego dłoni, ich palce splotły się, a potem pociągnęła go za sobą, prowadząc przez salon do drzwi swojej sypialni.

Elijah obudził się o ósmej, tak samo jak zwykle, i wstał z łóżka. Ciało miał obolałe od ćwiczeń, ale ten ból sprawiał mu przyjemność, był stabilny, świadczył o wykonaniu ciężkiej pracy. Myślał o swoich mięśniach, o drobnych uszkodzeniach tkanek, które zregenerują się i zgęstnieją, czyniąc go silniejszym. Myślał o Pinkym i sesji treningowej w ringu. Śnił o niej nocą, raz po raz odtwarzając dwie rundy walki. Był to jeden z tych przyjemnych snów, które sprawiały, że w końcu czuł się szczęśliwy, nie koszmary, które zazwyczaj miewał. Myślał o chłopakach, którzy obserwowali walkę. „Sprać Pinky’ego na kwaśne jabłko!”, zawołał jeden z nich, a w tym, jak na niego patrzył, jak oni wszyscy na niego patrzyli, było coś nowego. Gdy znowu o tym pomyślał, poczuł w piersi ciepło.

Zdjął koszulę, otworzył drzwi szafy i spojrział na swój tors odbity w długim lustrze. Był szczupły i silny, mięśnie na jego brzuchu zaczynały się rozwijać, ręce stawały się grubsze, ramiona szersze. Znikła dziecięca pulchność. Z nielicznych zdjęć, które znalazł w pokoju matki, wiedział, że jego ojciec był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną, zawsze też liczył, że odziedziczy to po nim. Chciał być jak Rutherford. Kto zechce zadzierać z mężczyzną o takiej posturze?

Znalazł czysty T-shirt i włożył dzinsy. Narzucił kołdrę z powrotem na łóżko, wygładził ją i wszedł do salonu. Był pusty. Zdziwił się, matka zwykle wstawiała na długo przed nim i szykowała mu śniadanie przed wyjściem do pracy.

– Mamo! – zawołał.

Nie było odpowiedzi.

Wszedł do kuchni i nalał sobie soku pomarańczowego, po czym stanął przed drzwiami jej sypialni. Były zamknięte.

– Mamo, nie mogę znaleźć mojego iPod’a. Nie śpisz już?

Usłyszał odgłos pośpiesznego ruchu i nie zastanawiając się, sięgnął do klamki i otworzył drzwi. Jego matka wstawiała właśnie z łóżka, zawiązując pasek szlafroka. Nie była sama. Milton siedział w łóżku, a nad zsuniętą kołdrą widać było jego muskularną pierś.

Elijah poczuł skurcz żołądka. Zrobiło mu się niedobrze.

– O nie – jęknął.

– Synku... – rzuciła bezradnie Sharon.

– Co? Co się dzieje?

– Elijahu.

Wycofał się za próg sypialni.

Matka ruszyła za nim, mamrocząc coś o tym, że musi się uspokoić, że nie powinien się denerwować, powinien jej wysłuchać, ale on ledwie słyszał jej słowa. Gdy weszła do salonu, szukał na podłodze butów, które tam zostawił, wróciwszy do domu poprzedniej nocy. Z sypialni wyszedł Milton w niedopiętych spodniach, pośpiesznie zapinający guziki koszuli.

– Daj spokój, Elijahu, porozmawiajmy – poprosił.

– Powiedziałeś, że nie jesteś taki jak inni.

– Nie jestem.

– Myślałem, że chcesz mi pomóc.

– Chcę.

– Nieprawda. Chcesz tylko, żeby tak myślała, i dzięki temu ją bliżej poznać. Co jest ze mną nie tak? Pewnie masz mnie za idiotę. Nie mogę uwierzyć, że dałem się na to nabrać.

– Nie jesteś idiotą i to wcale tak nie wygląda. Naprawdę chcę ci pomóc. To dla mnie bardzo ważne. To, co dzieje się między mną a twoją mamą, w niczym tego nie zmienia.

– Ją możesz oszukiwać, jeśli chcesz, ale mnie więcej nie oszukasz. – Wsunął stopy w swoje najki i w pośpiechu je zasznurował.

– Elijahu... – powiedziała Sharon.

– Zobaczymy się później, mamo.

Zawołała za nim, gdy zatrząskiwał za sobą drzwi. Stał w świeżym porannym powietrzu. Chłopcy na końcu galerii uśmiechali się szyderczo i gdy się odwrócił, zobaczył dlaczego: ktoś namalował sprayem na drzwiach mieszkania słowo ZDZIRA; farba była jeszcze mokra.

Elijah podszedł do nich. Znał ich ze słyszenia; byli parę lat starsi od niego. Od czasu do czasu przechodzili przez osiedle, żeby sprzedawać towar Biznessa.

– Myślicie, że to zabawne? – zapytał.

– Patrzcie na tego małego – odparł najstarszy z trójki. – Milcz, młody, wiesz, że ona jest zdzirą.

– Gdyby nie wiedział, nie byłby taki przewrażliwiony, prawda? Przecież wiesz, że twoja stara jest łatwa.

Elijaha zaślepił nagły, niepohamowany gniew. Prawą ręką wyprowadził potężny cios. Trafiony prosto w podbródek chłopak upadł na beton, uderzając głową w balustradę, i leżał nieruchomo. Elijah odwrócił się do pozostałych dwóch. Ci rozdziawili usta, a gdy ujrzeli wykrzywioną w gniewie twarz, cofnęli się. Pięść piekła go od zadanego ciosu i gdy otworzył i zacisnął dłoń, spostrzegł, że kłykcie ma usmarowane krwią chłopaka.

Otworzyły się drzwi mieszkania. Elijah odwrócił się i zobaczył, jak wychodzi z niego bosy Milton.

– Zaczekaj! – zawołał. – Proszę... porozmawiajmy.

Elijah przeskoczył bezwładne ciało i pobiegł ku schodom. Kopnięciem otworzył drzwi klatki i pokonywał po dwa stopnie naraz. Nim dotarł na dół, płakał; zanosił się gorącym, urywanym szlochem biorącym się z zawodu i rozczarowania oraz pewności, że przepadła wszelka szansa na wybranie innej drogi. Nie mógł ufać Miltonowi. Milton go wykorzystał, a on jak nieopierzony smarkacz bez reszty mu się oddał. Nie mógł mu ufać, a nikogo innego nie było. Zawsze wiedział, że jest sam. To była po prostu kolejna złudna nadzieja. Więcej nie da się tak łatwo nabrać.

Znalazł w kieszeni telefon i z listy kontaktów wybrał numer Biznesa.



Pops pojechał samochodem do Dalston i zaparkował obok tureckiej knajpki przy Kingsland Road. Zgasił silnik i siedział spokojnie, przyglądając się mijającym go przechodniom. Bizness zadzwonił do niego pół godziny temu i kazał przyjść do swojego studia. Nie wspomniał o Laurze, a Pops tego nie oczekiwał. Raper i tak nie czuł się winny z powodu tego, co zrobił. Uważał, że ma prawo brać to, na co ma ochotę. Kobieta nie różniła się w niczym od pieniędzy, czasu ani rzeczy. Jeśli Bizness czegoś chciał, to należało do niego.

Elijah siedział na fotelu obok. Bizness kazał Popsowi go przywieźć. Pops próbował wciągnąć młodego w rozmowę, ale ten milczał. Miał gniewny wyraz twarzy i całkowicie zamknął się w sobie. Coś mu się stało; to było oczywiste.

– Jesteśmy na miejscu. Nie wiem, czego Bizness od ciebie chce, ale bądź ostrożny, dobrze?

Elijah chrząknął, ale nie odpowiedział.

Pops ponowił próbę.

– Posłuchaj mnie, JaJa. Nie musisz robić nic, czego nie chcesz robić. Nic się nie zmieniło. Gdybyś wtedy zrobił to, czego sobie życzył, albo byś nie żył, albo siedział w więzieniu. Słyszysz mnie?

Elijah znowu nic nie powiedział. Pops ledwie znał chłopca, ale nigdy nie widział go w takim stanie. Wyglądał dojrzalej, poważniej, a jego zubożenie było nawet nieco przerażające. W nagłym olśnieniu Pops zdał sobie sprawę, że Elijah przypomina mu siebie sprzed pięciu lat. Emanował zeń gniew. Pops bał się o niego.

Elijah pociągnął za klamkę, wysiadł, zatrzasnął drzwi i przeszedł chodnikiem pod drzwi studia.

– Niech będzie – rzucił w ślad za nim Pops. Wysiadł, zamknął samochód i podążył za chłopcem.

Studio mieściło się na pierwszym piętrze budynku, nad restauracją. Pops przytknął kciuk do dzwonka i rzucił parę słów do domofonu. Zamek otworzył się z trzaskiem i weszli do środka. Pops znał historię tego miejsca.

Bizness kupił dwa mieszkania, które wcześniej się tu mieściły, i wydał pięćdziesiąt tysięcy, przekształcając je w jedną dużą przestrzeń. Weszli na górę po obskurnych schodach z postrzępionymi kwadratami wykładziny i oprawionymi plakatami BRAPPPP! na ścianach z obu stron. Powieszono je w porządku chronologicznym i te bliżej parteru, z czasów zanim członkowie zespołu odkryli, że popularność nierozzerwalnie wiąże się ze złą sławą, wydawały się nawet trochę naiwne. Ostatni plakat przed drzwiami na szczycie schodów przedstawiał Biznessa stojącego samotnie, z obnażoną piersią, i trzymającego półautomatyczny pistolet MAC-10 w jednej ręce oraz zapalonego skręta w drugiej. Pops pamiętał moment, gdy ujrzał ten plakat po raz pierwszy. Patrzył nań wówczas z podziwem – silny czarnoskóry mężczyzna, który nie boi się demonstrować lekceważenia konwenansów; teraz uważał to wszystko za przewidywalne i przygnębiające. Nie było w tym przesłania, nie było celu. Siła była iluzoryczna. Chodziło tylko o forszę.

Z pomieszczenia na szczycie schodów dobiegał głuchy basowy odgłos. Wewnętrzne drzwi były otwarte i Pops je pchnął. Przestrzeń za nimi składała się z małej kuchni usłanej pudełkami po jedzeniu na wynos i części zastawionej pluszowymi kanapami i niskim stolikiem. Po drugiej stronie budynku znajdowało się samo studio z kabiną nagraniową i pomieszczeniem do miksowania, szczelnie odgrodzone szklanym ekranem od reszty lokalu. W pozostałej części roiło się od ludzi i panował tam kakofoniczny zgiełk; przez system nagłaśniający odtwarzana była najnowsza płyta BRAPPPP!, monotonne buczenie zlewało się z okrzykami ludzi, wszyscy chcieli, żeby ich słyszano. Pops rozpoznał kilku członków zespołu oraz pochlebców, którzy wszędzie za nimi łazili. Bizness siedział oparty plecami o poręcz, z nogami wyciągniętymi na kanapie i stopami na kolanach Laury. Był bez koszuli, wystawiał na pokaz tatuaże, które rozciągały się na jego ciele. Słowo GANGSTER zostało wytatuowane na brzuchu Biznessa gotykiem, a jego litery układały się leniwie w długi łuk nad pępkiem. Na grzbietach dłoni, po dwa słowa na każdej, napisano IN GUNS WE TRUST.

Na widok Popsa Laura podniosła oczy, jej spojrzenie pomknęło ku jego twarzy. Zanim jej niewidzący wzrok przesunął się w dół, przez chwilę wydawało się, że go rozpoznała. Mięśnie na jej twarzy były luźne i zwiotczałe. Pops próbował przykuć jej uwagę, ale tracił tylko czas. Laura zwróciła twarz w stronę niskiego stolika, na którego powierzchni usypało

kilka kresek kokainowego proszku. Zignorowała je, sięgając ospale po fajkę do cracku, z której ku sufitowi ciągnęły się smugi kokainowego dymu. Chwyciła ją palcami i przytknęła do ust, zaciągnęła się, po czym zamknęła oczy. Popsowi zamarło serce. Laura sztachnęła się, dym wydobywał się z jej nozdrzy i snuł po policzkach, przesłaniając pozbawione wyrazu oczy. Zupełnie nie zwracała na niego uwagi. Jakby go tam nie było.

Bizness uśmiechnął się do nich szeroko, prezentując swoje złote zęby. Sięgnął po pilota i ściszył muzykę, żeby łatwiej było go usłyszeć.

– Patrzcie, kogo tu mamy: Pops i mały JaJa.

Pops poczuł, że zaciskają mu się dłonie.

– Bizness – odparł, uśmiechając się z przymusem. Nie mógł się powstrzymać przed ponownym spojrzeniem na Laurę, tylko przez chwilę, i Bizness to zauważył. Nic nie powiedział – nie było takiej potrzeby – ale jego usta wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu, złote koronki zaśniły w świetle lamp. Wszyscy obecni wiedzieli, co się stało, że raper pstryknął palcami i odebrał mu ją, robiąc to bez skrpułów, jakby nie miało to większego znaczenia. Najbardziej obraźliwy był fakt, że nawet nie powiedział mu tego prosto w twarz. Świadczył on o tym, że Bizness miał go gdzieś. Że reakcja Popsa była nieistotna i nic nie mógł na to poradzić. Pops czuł coraz silniejszy gniew, ale zmusił się do stłumienia emocji. Nie miał pola manewru w tej grze. Laura odeszła. Była teraz z Biznessem i będzie tak długo, jak długo będzie ją chciał. Gdyby okazał gniew, zrobiłby się szum i potem skutek mógłby być tylko jeden.

Bizness zwrócił się do Elijaha.

– I mój mały żołnierz. Jak się masz, młody?

– Dobrze – odparł Elijah. Podszedł do Biznessa i uniósł zaciśniętą dłoń.

Bizness rozejrzał się z ustami rozdziawionymi w wyrazie radosnego zdziwienia.

– Patrzcie na tego małego rabusia! – zawołał.

Elijah pochylił głowę i wzruszył ramionami.

– Ma poważną minę. – Bizness przybił zółwika z chłopcem. – Cóż to się z tobą stało przedwczorajszej nocy, żołnierzu?

– Przepraszam za tamto – odparł Elijah. Przechylił odrobinę głowę, wystarczająco, by skierować spojrzenie na Popsa, i z jego miny wyraźnie wynikało, że to jego obwinia za niewykonanie poleceń Biznessa. – Ta bójka... Straciłem nad sobą panowanie. To się nie powtórzy.

– Naprawdę? Nadal chcesz się zaangażować?

– Tak. Na pewno.

– Bo ten problem nie zniknął. Wyraziliśmy swoją opinię, ale ten mały cykor nie chce słuchać. Wczoraj wieczorem zamieścił kolejny komunikat dla nas. Widziałeś?

Elijah znowu wzruszył ramionami. Na stoliku leżał otwarty laptop. Bizness wyciągnął się i w otwartych oknach kliknął zakładkę YouTube. Film, który chciał pokazać, był już wybrany i Bizness przesunął tylko kursor, po czym kliknął odtwarzanie. Pops znał pliki wrzucane przez Wileya T i ten pasował do zwykłego schematu. Chłopiec rapował na ulicach Camden, a jakiś znajomy filmował go z trzymanej w ręku kamery. Wszystkie wersy, które kładł na bit, dotyczyły Biznessa oraz burdy na imprezie. Bizness miał rację: jego rywal nie dawał za wygraną, jeśli już, to ten incydent sprawił, że stał się jeszcze bardziej bezczelny. To była eskalacja, bezpośredni i niedwuznaczny diss. Wiley T kwestionował dziedzictwo Biznessa, jego prawowitość oraz męskość, a wszystko to w umiejętnie rymowanych dwuwierszach. Zakończył wyzwaniem do walki, wątpiąc, by Bizness przyjął zaproszenie. Był dobry, o wiele lepszy od Biznessa i Pops wiedział, że właśnie to, a nie treść jego melorecytacji, tak strasznie zdenerwowały rapera.

Elijah oglądał film z coraz bardziej pochmurną twarzą.

– Ma tupet – rzekł, gdy nagranie dobiegło końca – prawda?

– Racja, kurwa, że ma. Wszyscy wiedzą, że gdybyśmy walczyli, tobym go załatwił, więc jaki to ma sens? Nie, stary. Nie ma na to innego sposobu... Trzeba go sprzątnąć. Mogę na ciebie liczyć, młody? Jesteś gotów do występu?

JaJa znowu odwrócił się do Popsa, w jego oczach płonąła determinacja.

– Tak – powiedział. – Facet musi dostać kosą. Z przyjemnością zrobię to dla ciebie.

Bizness zaśmiał się chrapliwie i reszta towarzystwa, idąc za jego przykładem, szybko mu zawtórowała.

– Mały odnalazł jaja, co? Brawo... brawo. Nadal masz tego gnata?

– W swojej sypialni.

Bizness poderwał się z kanapy, przeciągając się. Wziął skręta od stojącego obok chłopaka i głęboko się zaciągnął. Ukłęknął, chwytając Elijahą za ramiona, i dmuchnął mu dymem w twarz.

– Zrobimy z ciebie niegrzecznego chłopca, JaJa. Dobrego małego żołnierza.

Milton siedział w wytartym fotelu w pokoju od frontu, wpatrując się w plamy na ścianie i rozmyślając. Opuścił Blissett House niedługo po Elijahu. Sharon była zmartwiona poranną konfrontacją i przepraszając go, powiedziała, że chyba będzie lepiej, jeśli wyjdzie. Dodała, że nie żałuje tego, co się stało, ale musi dbać przede wszystkim o syna. Milton zrozumiał. Nie planował takiego rozwoju wieczornych wydarzeń i był zaskoczony swoją reakcją. Sharon miała w sobie coś, co go pociągało, być może to ujmujące połączenie bezbronności i spokojnej godności. Była atrakcyjną kobietą, ale żałował, że nie wykazał się większą powściągliwością. Elijah robił postępy, a teraz aż trudno było ocenić skalę wyrządzonych szkód.

Telefon komórkowy leżał na stole. Właśnie zaczął dzwonić. Milton podniósł aparat i sprawdził wyświetlacz. Nie rozpoznał numeru.

– Słucham.

– Halo? – powiedział jego rozmówca.

– Kto mówi?

– To ty byłeś w parku?

– Kto mówi?

– Spotkaliśmy się przed tygodniem. Szukałeś Elijaha.

– Którym z tej grupy jesteś?

– Dałeś mi swój numer.

Milton pamiętał tego chłopaka: starszy niż pozostali, tęższy, z dziwną mieszanką wyciszenia i groźby w wyrazie twarzy.

– Pamiętam – powiedział. – Jak masz na imię?

– Mów mi Pops.

– Nie... podaj prawdziwe imię.

Nastąpiła chwila wahania, gdy chłopak rozważał, czy powinien je wyjawić. W końcu powiedział:

– Aaron.

– W porządku, Aaronie. Mam na imię John. W czym mogę pomóc?

– Szukałeś JaJi, prawda? – zapytał ściśniętym, pełnym napięcia głosem Aaron. – Chciałeś mu pomóc.

W tonie jego głosu było coś, co wzbudziło obawy Milтона.

– O co chodzi?

– Jest w tarapatach. Prawdziwych tarapatach. Poważnych. – Aaron zawahał się. – Cholera, ja też mam kłopoty. Obaj mamy.

– Lepiej mi o tym opowiedz. Co się stało?

– Tak z ciekawości, nie jesteś dziennikarzem, prawda?

– Nie.

– Policjantem też nie jesteś?

– Nie.

– Czym w takim razie się zajmujesz, skoro masz taką pewność, że możesz pomóc?

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Wystarczy ci wiedza, że jeśli jesteście w tarapatach, to mogę wam pomóc. Poza tym będziesz musiał mi zaufać. – W słuchawce zapadła cisza i Milton zauważył, że wstrzymuje oddech. – Jesteś tam jeszcze?

– Tak – odparł chłopak. – Jestem.

– Wygląda na to, że musimy porozmawiać.

– Owszem. Możemy się spotkać?

– Oczywiście.

– Teraz? Jestem w parku, przy fontannie. Jesteś w pobliżu?

– Mogę być.

– W takim razie zostanę tu jeszcze przez trzydzieści minut.

Aaron zakończył rozmowę, nie mówiąc nic więcej.

Niewielki dystans do parku Wiktorii Milton pokonał pieszo. Skierował się do fontanny. Był kolejny duszny dzień, trawa uschła w miejscach, gdzie wcześniej rozłożono na niej piknikowe koce. Wieczorny mrok gęstniał, między bursztynowymi stożkami światła nieregularnie rozmieszczonych latarni rozciągała się ponura ciemność. Jakiś jumbo jet prześliznął się po mrocznym niebie, migając czerwono światłami w locie na zachód. Wielkie osiedlowe budynki na południowych obrzeżach parku, dwudziestopiętrowe, przytłaczające i przygnębiająco masywne bloki z betonu, pochylały się nad drzewami i balustradami. Następowąła zmiana wart: ostatni biegacze, rowerzyści i spacerujący z psami zbierali się na ławkach pod latarniami, by zapalić i pożartować ze sobą. Milton odnotował obecność ich wszystkich ze zwykłej ostrożności tak głęboko w nim

zakorzenionej, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, ale nie zwracał na nich uwagi. Obszedł rondo, po czym ruszył ścieżką prowadzącą na skos do pomnika i okalających go szklistych tafli wody. Na jednej z ławek siedział bezdomny mężczyzna, masując uszy chudemu chartowi, który przycupnął obok. Nikogo innego nie było. Milton powoli obszedł pomnik, udając, że bacznie mu się przygląda, po czym usiadł na pustej ławce, by poprawić sznurówkę, która nie wymagała wiązania. Tuż pod powierzchnią nieruchomego i idealnie gładkiego lustra wody unosiła się łupina księżyca.

Podniósł wzrok i zobaczył, że ktoś skręca z zewnętrznej ścieżki i zmierza w stronę pomnika. Mimo wieczornego skwaru na bluzie z kapturem naciągniętym na głowę niczym maska przybysz nosił kurtkę pilotkę. Nieskazitelnie białe trampki niemal świeciły w mroku.

Milton wstał z ławki i leniwym krokiem ruszył w stronę pomnika. Gdy chłopak podszedł bliżej, rozpoznał twarz pod kapturem. Skórę miał czarną i idealnie gładką, jego oczy i zęby lśniły.

– Wporzo – powiedział cicho, przechylając na powitanie głowę.

– Witaj, Aaronie.

– Możemy pójść tam, w kierunku stawu. O tej porze nikogo tam nie ma.

Ruszyli ramię w ramię. Milton przyglądał się młodzieńcowi kątem oka. Był tęgi, niewiele niższy od Milтона, ale cięższy, i chodził, kołysząc się, zgarbiony i z pochyloną głową. Ubierał się jak cała reszta: bluza z kapturem, dzinsy z krokiem w okolicy kolan, nowiutkie trampki, droga biżuteria. Był to uniform tego gangu, dopełniony purpurową bandaną zawiązaną na szyi. Nosił to wszystko naturalnie. Był spokojny i opanowany, oczy miał zwrócone na ścieżkę. Szli tak przez minutę, Milton spokojnie czekał, aż chłopak będzie gotów przemówić.

Zbliżali się już do stawu, kiedy wreszcie się odezwał.

– JaJa potrzebuje pomocy. Zadaje się ze złym człowiekiem. Próbowałem go trzymać od tego z daleka, ale on już mnie nie słucha. Nic więcej nie mogę dla niego zrobić.

– To Bizness?

– Znasz go?

– Elijah rozmawiał ze mną po tym, jak go zatrzymano. Trochę o nim wiem. Jest niebezpieczny?

– Naćpałeś się, człowieku? Niebezpieczny?! Bizness to psychol. Zawsze był zły, ale odkąd jego ego urosło do obecnych rozmiarów, zmienił się w potwora.

- A ty?
- Co ja?
- Powiedziałaś, że też potrzebujesz pomocy.

Pops chrząknął z zakłopotaniem.

– Biznes jest w moim wieku. Chodziliśmy razem do szkoły. Kiedyś byliśmy sobie bliscy, ale to już przeszłość, u mnie jest skończony. Sam nie wiem, przez ostatnie kilka tygodni jakby mnie prowokował, rozdmuchiwał problemy, jakby chciał uzyskać jakąś reakcję. Widziałem to już przedtem. Nie pozwala, by ktokolwiek zdobył zbyt duże wpływy, ubiegł go, a gdy tak się dzieje, gdy myśli, że ktoś może mu zagrozić... – Pops pstryknął palcami – ...pozbywa się go. W taki lub inny sposób.

– I ty mu zagrażasz.

– Nie, człowieku. Ja taki nie jestem. Chcę odejść, ale on o tym nie wie.

– To mu powiedz.

Pops zaśmiał się gorzko.

– To tak nie działa, człowieku. Wchodzisz w to, to jesteś do samego końca. Kończysz dopiero wtedy, gdy on ci powie. I nie ma z nim żadnej dyskusji.

Milton pomyślał, że wie, jakie to uczucie. Milczał.

– Słuchaj, tutaj nie chodzi o mnie, naprawdę. Ja odejdę bez względu na to, czy mu się to podoba, czy nie. To młody potrzebuje pomocy.

Dotarli nad staw. Tablica z opisem okolicznej flory i fauny została zamazana graffiti – Milton domyślił się, że 925 to identyfikator konkurencyjnego gangu – a wspornik, który miał podtrzymywać sprzęt asekuracyjny, został zdewastowany; połamane drewno bielą pod warstwą kreozotu niczym rozłupana kość. Pops usiadł na ławce i wyjął z kieszeni skręta.

– Przychodzę tu od czasu do czasu – powiedział, odpalając go zapalniczką. – Wiem, że to brzmi żałośnie, ale gdy byłem młodszy, należałem do skautów. Pieprzeni skauci. Raz w roku przychodziliśmy tutaj i czyściliśmy cały staw. Nie uwierzyłybyś, co ludzie do niego wyrzucali... pralki, wózki na zakupy, a wszystko pokryte szlamem i wodorostami. Zartowaliśmy, że któregoś dnia wyciągniemy czyjeś zwłoki. Wiedząc to, co wiem teraz, trochę się dziwię, że nigdy do tego nie doszło. W stawie są noże i broń palna. To wiem na pewno.

Pops zaproponował Miltonowi skręta. Ten pokręcił głową. Chłopak wzruszył ramionami i mocno się zaciągnął.



– Więc powiedz mi o Elijahu.

– Wiesz o tym, co się stało na imprezie?

– Powiedział mi.

– Jest jeden człowiek, którego Bizness chce zastrzelić. JaJa wspominał o Wileyu?

– Trochę.

– Bizness jest z nim skonfliktowany. Chce, żeby zniknął. O to chodziło w całej aferze w klubie. Bizness chce, żeby zrobił to JaJa. Tamtego wieczoru młody miał broń. Myślałem, że go przekonałem. Kiedy zobaczyłem, co się dzieje, wysłałem go do domu. Sądziłem, że usłucha. Musiało się potem coś wydarzyć. – Umilkł. Milton nic nie powiedział. – Wczoraj zadzwonił do mnie Bizness, żeby powiedzieć, że muszę odebrać JaJę i przywieźć go do studia. Nigdy przedtem nie widziałem młodego w takim... Był zły, człowieku, jakby miał, kurwa, eksplodować. Bizness oczywiście bardzo się z tego cieszył i zapytał go, czy jest gotów zrobić z Wileyem to, co on chce z nim zrobić.

Jakiś człowiek z psem okrążał staw z drugiej strony. Jego czworonóg, pitbull z grubym kołnierzem mięśni, przegonił kaczki do wody.

– I Elijah powiedział, że to robi?

Pops skinął głową.

Milton poczuł, że zbiera mu się na wymioty.

– Kiedy?

– Nie znam szczegółów. Bizness mi ich nie zdradzi. Nie jestem z nim tak blisko, a zresztą chyba już mi nie ufa.

– To wszystko?

– Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. – Zawahał się. – Oprócz...

– Mów dalej.

Chłopak tak mocno zacisnął zęby, że silnie zarysowana żuchwa zaczęła wystawać z twarzy.

– Moja dziewczyna też się z nim związała. Jest bezbronna. Ma słabość do prochów, a on nie będzie się o nią troszczył tak, jak ja się troszczyłem. Kiedy ją ostatnio widziałem, paliła z nim crack. Potem przyjdzie kolej na heroinę. Skończy przez niego na ulicy; też to już wcześniej widziałem. Albo ją zgwałcą lub zabiją.

Milton siedział w milczeniu.

– Więc co masz zamiar zrobić?

– Nie wiem.

- Powiedziałeś, że możesz mi pomóc, człowieku.
- Pomogę, ale musisz ze mną współpracować.
- Jak?
- Wszystko po kolei: musisz porozmawiać z policją.

Pops wciągnął powietrze przez zęby.

– Wiesz, co by się ze mną stało, gdyby Biznes odkrył, że kapuję? Skończyłbym w tym stawie z kulką między oczami. – Pops gwałtownie wstał z ławki. – Jeśli na nic lepszego cię nie stać, to skończyliśmy. Policja nie zrobi nic, dopóki JaJa nie będzie miał krwi na rękach, a moja dziewczyna nie będzie, kurwa, martwa. Marnuję czas, słuchając tych bzdur.

– Dorośnij, Aaronie – powiedział Milton. Jego głos był wyzbyty emocji, mocny jak stal i niezmiernie władczy. – Usiądź.

Chłopak uczynił, co mu kazano, i rozczulając się nad sobą, zapytał:

– Jaki to ma sens?

– Mam zamiar wyeliminować go z gry – wyjaśnił Milton. – Powiedz im, co się wydarzyło w klubie. Ten chłopak, który został pobity, widziałeś to wszystko?

Pops spojrział pod nogi.

– Jasne, człowieku, widziałem.

– To dobrze – stwierdził Milton. – Będą musieli potraktować to poważnie.

– Co zamierzasz zrobić?

– Porozmawiać z Biznessem.

Pops się roześmiał.

– Porozmawiać? Nie obraż się, człowieku, ale on nie zechce cię słuchać.

– Posłucha.

Milton wstał i ruszyli z powrotem do głównej ulicy.

– Oto, co zrobimy... Ty pójdziesz na policję i opowiesz im, co się wydarzyło w klubie. Pomiń w tym Elijaha, ale powiedz całą resztę.

– To nic nie da. Będzie moje słowo przeciwko ich.

– Być może. Ale doprowadzenie Biznesa do szału będzie przydatne.

– I potem co?

– Wyprowadzisz swojego przyjaciela z równowagi dokładnie wtedy, gdy ja dam mu do myślenia o czymś innym. Gdy będziemy rozmawiać, chcę, by potraktował mnie poważnie. Będę potrzebował od ciebie paru informacji

o tym, jak organizuje swoje poczynania... kto dla niego pracuje, jak zarabia pieniądze, gdzie je trzyma. Możesz mi w tym pomóc?

– Taa.

Milton zadał szereg pytań, a Pops dostarczył nieporadnych, ale wystarczająco zrozumiałych odpowiedzi. Milton zapamiętał te informacje, filtrując je i porządkując, gdy tworzył obraz firmy rapera. Ten człowiek miał liczne interesy w miejscowym światku przestępczym, a jego szkodliwe macki sięgały od handlu narkotykami do prostytutki i kradzieży. Jego twórczość muzyczna najwyraźniej przynosiła dochód, ale wpływy z niej z pewnością były znikome w porównaniu z zyskami osiąganymi z nielegalnej działalności. Dobrze, że działał na różnych polach. To oznaczało mnóstwo potencjalnych słabych punktów, które Milton mógłby wykorzystać.

– Jak się porozumiewa z wszystkimi?

Pops spojrział na niego drwiąco.

– A jak myślisz, człowieku? Sygnałami dymnymi? Na Facebooku, komunikatorem, esemesami. Jednorazówkami. Wszystkim, co jest nieuchwytnie dla policji. Gdy musi się spotkać, żeby porozmawiać o interesach, każe komuś innemu umówić spotkanie telefonicznie, a potem spotyka się gdzieś w terenie, gdzie policja nie może założyć podsłuchu. Jest ostrożny. I precyzyjny. Planuje wszystko, jakby był w wojsku. Policja sądzi, że jej stare sposoby ciągle się sprawdzają, ale ludzie... prawdziwi gracze jak on... Człowieku, oni działają na tyle długo, że widzieli wszystkie okoliczności, które prowadzą do wpadki, i mają to wszystko w pamięci.

Dotarli do rzędu drzew, których liście tworzyły baldachim nad ścieżką biegnącą na obrzeżach parku. W pubie przy skrzyżowaniu robiło się coraz tłoczniej, hałaśliwi goście wylewali się do ogródka piwnego udekorowanego kolorowymi światełkami.

– W porządku. To na razie wystarczy. Jutro idź na policję, dobrze?

– Dobrze – odparł Pops z ponurą miną.

– Nie zawieź mnie. To ważne.

– Wporzo. Jutro. Kiedy się dowiem, że coś zdziałałeś?

– Dowiesz się.

Milton pojechał metrem do Oxford Circus i wyszedłszy na powierzchnię, zmrużył oczy, chroniąc je przed jaskrawym słońcem kolejnego dusznego dnia lata. Temperatura kontynuowała swój nieubłagany wzrost do trzydziestu kilku stopni, teraz jednak zrobiło się wilgotno, a ta wilgoć szybko zebrała mu się pod pachami i sączyła się po plecach. Ciężkie powietrze zalegało nad miastem, wprawiając je w odrętwienie, które mogła złagodzić jedynie nieuchronna burza z piorunami, zapowiadana na dalszą część dnia.

Sig sauer w zamszowej kaburze tworzył ciężki, ciepły guz pod jego ramieniem. Powietrze w metrze było gęste, przesycone mdłą wonią i Milton był zadowolony, gdy wy dostał się ze stacji. U zbiegu Regent Street i Oxford Street tłoczyli się niemrawi turyści i sfrustrowani pracownicy biurowi korzystający z przerwy na lunch. Ruch uliczny korkował się na światłach, taksówkarze liczyli, że dźwięk klaksonów ponagli autobusy, które zatrzymywały się na dłużej, by zabrać pasażerów. Nerwy były napięte jak struna fortepianu, wybuchały kłótnie, a do konfrontacji mogło dojść w każdej chwili.

W kieszeni Milтона zaczął wibrować telefon.

– Halo?

– Czy to John?

– A kto mówi?

– Rutherford. Wszystko w porządku?

– Jestem trochę zajęty.

– Jest sobotnie popołudnie, spodziewałem się, że twój chłopak przyjdzie na trening, ale się nie pojawił. Co się dzieje?

– Nastąpiły pewne komplikacje – odparł Milton, przechodząc przez ulicę na światłach. – Zajmuję się tym. Muszę kończyć.

Rozłączył się. Skręcił w stronę wysokiego palca Centre Point. HMV znajdował się niespełna pięćdziesiąt metrów dalej, pulsujący dźwięk mocnych basów dobiegał z otwartych na oścież drzwi i ogromnej przestrzeni za nimi. Milton zmierzył wzrokiem wewnątrz sklepu: regały

z muzyką i filmami, T-shirty, czasopisma oraz, na scenie, którą wzniesiono pośrodku, stół na kozłach, wysoka sterta płyt i plakaty. Długa kolejka nastolatków – w większości chłopców, ale była też garstka dziewcząt – wiła się niczym wąż od stołu przez przejścia między regałami i z powrotem prawie do samego wejścia. Za stołem siedziało sześciu członków BRAPPPP! – tych lepiej znanych: MC Mafia, Merlin, Icarus, Bredren. Wokalistka zespołu, Loletta, główna atrakcja dla dojrzewających chłopców, którzy czekali, by się jej przedstawić, siedziała pośrodku, wyniośle obnosząc się ze swoją niezwykłą urodą.

Milton rozpoznał Biznessa ze zdjęć zamieszczonych na jego profilach na Facebooku i Twitterze. Raper nosił koszulkę Chicago Bulls odsłaniającą kościsty tułów oraz długie, chude ręce z ostro zarysowanymi łokciami i ramionami. Skórę miał wytatuowaną, a złote zęby lśniły przy rzadkich okazjach, gdy uśmiech mącił wyraz wystudiowanej obojętności na jego twarzy. Siedział u szczytu stołu, podejmował fanów jako ostatni członek kolektywu, niczym król lub głowa mafijnej rodziny przyjmujący hołd swoich poddanych. Podchodzili do niego z wybałuszonymi oczami i rozdziawionymi ustami, kupione przez nich płyty CD wędrowały wzdłuż stołu, a na końcu on dodawał swój podpis i ich odprawiał. Z niektórymi rozmawiał, z innymi przybijał żółwiki, ale wszyscy odchodzili uszczęśliwieni spotkaniem ze swoim idolem. Milton dość wyraźnie widział wpływ, jaki ten człowiek – i uosabiany przez niego styl życia – na nich wywierał. Był wzorem, żyjącym dowodem, że sukces, o którym rapował, można odnieść. Milton nie darzył go przez to szacunkiem, ale widział to i zapamiętał sobie na przyszłość.

Z przodu sklepu ustawiono duże stoisko wypełnione płytami z nowym albumem zespołu, plakatami i różnymi innymi towarami. Milton wziął egzemplarz płyty oraz T-shirt i dołączył do czekających. Kolejka posuwała się powoli i zrozumiał, że dotarcie na przód zajmie mu pół godziny. Nie miał do tego cierpliwości, więc wykorzystując fakt, że trudno byłoby sobie wyobrazić, by ktoś taki mógł wepchać się przed innych, ruszył do stolika.

– Jedna minuta – powiedział do dwóch chłopców, którzy już mieli posunąć się naprzód. – Muszę zamienić z nim słowo. Nie każę wam długo czekać.

Stół był odgradzony barierkami ochronnymi i przy wejściu za nie stało na straży dwóch tęgich bramkarzy. Spiorunowali Milтона wzrokiem, gdy

ich mijał. Przeszedł wzdłuż stołu, ignorując pozostałych członków zespołu i kierując się prosto do Biznessa.

Staął przed raperem i rzekł:

– Dzień dobry.

Bizness odstąpił zęby w dzikim uśmiechu, błysnęły złote koronki.

– Patrzcie no. – Roześmiał się, wskazując brodą Milтона. – Pomyliłeś działy, człowieku. Muzyka dla staruszków jest tam.

– Nie, to właśnie z tobą chcę się zobaczyć.

Bizness wyrzucił w górę ręce i znowu zachichotał.

– Świetnie, w takim razie gdzie masz swoją płytę? Dawaj ją tu. Co mam napisać?

– Nie przyszedłem tutaj w sprawie muzyki.

– Daj spokój, człowieku, dość tego pieprzenia. Jeśli nie masz niczego do podpisania, to się, kurwa, odsuń. Wiele braci i sióstr czeka, żeby się z nami zobaczyć, i jeśli nie przestaniesz spowalniać kolejki, w końcu wywołasz pierdolone zamieszki.

– Muszę z tobą porozmawiać. A ty wysłuchasz, co mam do powiedzenia.

– Co, do kurwy...?

Milton zignorował go. Utkwił w raperze nieruchome, lodowate spojrzenie, w którym nie było empatii ani życia, aż wyraz dezorientacji na twarzy młodszego mężczyzny znikł i zastąpił ją gniew.

– Poproszę cię grzecznie o dwie rzeczy – powiedział Milton. – Po pierwsze, zadaje się z tobą kobieta o imieniu Laura. Przestaniesz się z nią widywać. Jeśli przyjdzie do ciebie z wizytą, odprawisz ją.

– To ta pierwsza rzecz? Wporzo, mów dalej, zabawny z ciebie skurwiel. Jaka jest druga?

– Wiem, jakie masz plany wobec młodego chłopaka, którego znam. Elijaha Warrinera. Nazywasz go JaJa. To się nie stanie. Z nim też masz się przestać widywać. Jeśli usłyszę, że widziano cię z nim, będzie kłopot. Jeśli włos spadnie mu z głowy, odbędziemy kolejną rozmowę. Ale wtedy nie będę już taki uprzejmy.

– Słyszycie tego skurwysyna? – krzyknął Bizness do pozostałych. Wszyscy przyglądali się tej rozmowie. – Grzecznie mnie prosisz, zgadza się? Lepiej mi powiedz, staruszkule, po prostu żebyś wiedział, co zrobisz, jeśli ci powiem, byś wsadził sobie swoje prośby w dupę? Powiesz mi nie tak grzecznie? Podniesiesz głos? Wynoś się stąd, zanim stracę panowanie nad sobą. Nie mam na to czasu.

Bramkarze zrobili krok w stronę Milтона, ale Bizness powstrzymał ich niecierpliwym ruchem dłoni.

Milton nie spojrział na nich i nie odsunął się od stołu.

– Teraz nie chcesz mnie potraktować poważnie, ale dziś wieczorem zademonstruję ci, co się stanie, jeśli zlekceważysz moje polecenia. Coś ci popsuje interesy i chcę, żebyś pomyślał o mnie i o tym, co ci powiedziałem, gdy się o tym dowiesz. Rozumiesz?

Bizness poderwał się z krzesła tak szybko, że odsunęło się z łoskotem.

– Czy ja rozumiem?! – Raper porzucił wszelkie pozory wcześniejszej jowialności, jego oczy pałały gniewem. – Przyłazisz tu i w obecności moich ludzi zaczynasz grozić? Cholera, człowieku, jesteś najdurniejszym skurwysynem, jakiego poznałem. Powiem ci jeszcze raz: wynoś się, kurwa, z tego sklepu, bo sam cię stąd wyrzucę. Rozumiesz?!

Bizness obszedł stół i zbliżył się do Milтона. Ten się nie cofnął i tylko utkwiał bezlitosne spojrzenie w twarzy rapera.

– Powiedziałem, co musiałem powiedzieć. Mam nadzieję, że rozumiesz. Mam nadzieję, że zapamiętasz. Zrób, co ci kazałem, bo inaczej następnym razem już nie będzie tak miło.

Bizness cofnął zaciśniętą dłoń. Zanim zdążył wyprowadzić cios, Milton chwycił pięść rapera na wysokości jego ucha i wbił swój kciuk i palec wskazujący we wrażliwy punkt. Bizness krzyknął z nagłego, rozdzierającego bólu i zatoczył się do tyłu, potrącając stół. Sarta plakatów rozsypała się i podłogę pokrył wachlarz z błyszczącego papieru.

– Dziś wieczorem – przypomniał Milton, posyłając raperowi zimny, całkowicie wyzbyty humoru uśmiech. – Uważaj dziś wieczorem. Chcę, żebyś o mnie pomyślał.

To powiedziawszy, ruszył do wyjścia ze sklepu.

# **CZĘŚĆ IV**

## **RISKY BUSINESS**



## 36

Milton zatrzymał samochód, wyłączył światła i silnik. Radio zostawił włączone, żeby wysłuchać do końca wiadomości. Poinformowano w nich, że protest przed komisariatem policji w Tottenhamie przerodził się w zamieszki. Do krewnych mężczyzny, który dwa dni wcześniej został zastrzelony przez policję, dołączyli inni i zgromadzony tłum zaczął obrzucać policjantów butelkami i cegłami. Pojawiły się doniesienia, że podpalono samochody oraz autobus. Milton zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym przez okno. Noc była upalna, duszna i wilgotna. Coś wisiało w powietrzu, słyszeć było szmer agresji. Niewiele było trzeba, by doszło do jej wybuchu.

Wyłączył radio, otworzył schowek, wyjął nóż w pochwie i podciągnął prawą nogawkę spodni. Owinął taśmy pochwy wokół łydki i zapiął rzepy. Sprawdził w lusterkach, czy na chodniku na zewnątrz nikogo nie ma, i zadowolony, że nie będzie obserwowany, wyjął z kabury swój sig sauer i sprawdził magazynek. Był pełny. Wprowadził nabój do komory, tak by pistolet był gotowy do strzału. Potem wsunął go z powrotem do kabury pod pachą.

Znowu się rozejrzał. Tę część Dalston Lane tworzyły szeregowe dwupiętrowe domy w stylu georgiańskim z witrynami wiktoriańskich sklepów, które zbudowano w ogrodach od frontu, gdy przed stu laty pojawiły się koleje. Domy za sklepami wykorzystano niedawno na budownictwo socjalne, ale w miarę upływu czasu i przeprowadzek najemców do wysokich bloków, które dominowały na tle nieba, pozwolono, by rozpoczął się długi proces ich niszczenia. Te, które pozostały puste, pozamykano na głucho. Uszkodzone dachy nie były naprawiane. Okna zostały rozbite i nie chroniły przed deszczem. Cztery domy strawił pożar, odsłonięte cegły pokryły się osadem z sadzy i popiołu, a drewniane belki wyglądały niczym popękane i połamane kości. Te budynki przeznaczono do rozbiórki i wyburzono, wyrwijając dziury w szeregowej zabudowie niczym zęby z rakowatych ust. Wokół szerniałych pozostałości dobudówki wzniesiono ogrodzenie z desek, te zaś

zostały pokryte graffiti i oklejone plakatami reklamującymi nielegalne imprezy.

W wiktoriańskich dobudówkach mieściły się lokalne firmy. W budynku przy skrzyżowaniu działała przychodnia lekarska z kratami na drzwiach i oknach zaklejonych plakatami poświęconymi chorobom wenerycznym i prawidłowemu odżywianiu. Obok przychodni znajdowała się hinduska restauracja, za nią sklep z instrumentami muzycznymi, pralnia, firma sprzedająca używany sprzęt kuchenny, a dalej kiosk z gazetami. Fasada sąsiedniego lokalu zapowiadała Star Bakery, ale żaluzje piekarni były opuszczone od tak dawna, że rdza przytwierdziła kłódki do łańcuchów. Dobudówkę w budynku obok zajął jakiś dziki lokator. Rok wcześniej mieścił się tam sklep z rowerami; mimo wybarwienia od deszczów i słońca oraz spalin z ruchliwej ulicy nadal były widoczne wielkie litery napisu na jego oryginalnym frontonie. Szerokie panoramiczne okna przesłonięto płachtami gazet, a do drzwi przyklejono drukowane obwieszczenie, że dzicy lokatorzy skorzystali z praw do zajęcia lokalu i nie mogą być eksmitowani bez nakazu sądowego.

Milton szybko to wszystko zlustrował. Szeregowy budynek za squatem był jedną z najbardziej dochodowych melin Biznessa. Pops wszystko mu wyjaśnił. Heroinę i kokainę sprzedawano tam przez całą dobę, choćby się waliło i paliło. Klientami byli w większości ubodzy tubylcy z okolicznych osiedli, ale ich znaczącą mniejszość stanowili biali, często ludzie wolnych zawodów i z klasy średniej.

Milton wysiadł z auta. Obszedł je, otworzył bagażnik i wyciągnął kanister, który wcześniej napełnił benzyną na stacji przy Mare Street. Nie było sensu wchodzić od frontu, drzwi wyglądały na zamknięte na klucz, więc musiałby się liczyć z decydującym opóźnieniem w razie policyjnego nalotu. Milton miał inny pomysł. Budynek figurował w rejestrze zabytków i jego plany były dostępne w sieci. Odwiedził bibliotekę i pobrał je z archiwum. Przed wyjazdem przeanalizował rozkład pomieszczeń i wiedział, że jest jeszcze jedno wejście. Doszedł do skrzyżowania, skręcił w prawo, a potem, zanim dotarł do kiczowatego pubu, ponownie w prawo. Wąski zaułek prowadził na tyły szeregowej zabudowy. Pod ścianą stały przepełnione pojemniki na śmieci i nikomu nie przeszkadzało, że odpadki gromadzą się w ścieku. Każdy dom miał tylne wejście, a to do meliny było szeroko otwarte. Głupki.

Milton wyciągnął pistolet i wszedł do budynku. W pierwszym pomieszczeniu była kiedyś kuchnia. Stare sprzęty pozostawiono na pastwę rdzy, a wszystko, co dało się bez trudu usunąć, już dawno sprzedano na złom. Ściany były częściowo ogołoczone i pokryte strupami farby ołowiowej, a resztki pretensjonalnej tapety przedstawiającej alpejską scenerię pozostawiono, by odłaziła jak płaty martwego, łuszczącego się naskórka. Na podłodze leżały porozrzucane puste tekturowe pudła i opakowania po daniach z baru szybkiej obsługi. Pod ścianą spoczywał wycieńczony i wychudły mężczyzna. Był nieprzytomny, a Milton nie byłby w stanie stwierdzić, czy żyje. Usłyszał cichą rozmowę dobiegającą od frontu domu i ruszył w tę stronę. Ręka ćpuna zatoczyła gwałtownie łuk i mężczyzna przewrócił oczami w pijackim odrętwieniu, ale zignorował przechodzącego przez kuchnię Milтона.

Milton posuwał się korytarzem ze schodami prowadzącymi na piętro. Na wzorzystym linoleum wały się przybory do wstrzykiwania narkotyków. O ścianę opierał się brudny materac. Kolejny ćpun spał na podłodze. Obchodząc go ostrożnie, Milton zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu.

Hałasy dolatywały z dobudówki na froncie budynku. Milton przystanął w cieniu przy drzwiach, żeby ocenić sytuację. Jedynymi sprzętami w dobudówce były kanapa i wielki telewizor kineskopowy – włączony i źle dostrojony; ze zniekształconego zakłóceniami obrazu od czasu do czasu wyłaniały się sceny z jakiegoś serialu. Milton miał przed sobą frontowe drzwi zabarykadowane starą komodą. Unoszący się od miesiący dym pokrył tapetę na ścianie żółtymi plamami. Wskutek braku wentylacji powietrze było gęste i ciężkie, narkotyczne wyziewy przyprawiały o mdłości i zawroty głowy.

W pokoju znajdowało się kilkanaście osób. Mężczyzn i kobiet, przeważnie leżących na wznak, z głowami zwieszonymi nieprzytomnie i niewidzącymi oczami leniwie sunącymi po ekranie telewizora. Wszyscy byli czarni, w tandetnych ubraniach, słabi i chudzi. W równych rzędach stały plastikowe butelki, każda napełniona moczem. Kolekcja butów, wybranych na chybił trafił i nie do pary, została upchnięta w jednym kącie. Puste fiolki po kokainie, zmiażdżone pod stopami, chrzęściły jak świeży śnieg, gdy narkomani, powłócząc nogami, wędrowali przez pokój do dwóch mężczyzn, którzy siedzieli na kanapie. Oni mieli jasne spojrzenia i wymieniając fiolki z kokainą na zmięte banknoty swoich klientów, poruszali się z wyraźną świadomością celu. Byli młodszy od nabywców

towaru; Milton przypuszczał, że mają po osiemnaście, dziewiętnaście lat, jeszcze niedawno chodzili do szkoły. Odziani w dżinsy z obniżonym krokiem wiszącym między kolanami, mieli brylantowe kolczyki i złote łańcuchy, obaj też nosili na szyjach kolorową bandanę LFB. Byli dilerami, stopień wyżej w hierarchii od handlarzy, przedstawiciele Biznesa na ulicy. Sprzedawali prochy, a także chronili dom, żeby klienci mieli gdzie odlatywać, by potem znowu je od nich kupować.

Milton wzdygnął się z obrzydzeniem.

Ocecił sytuację. Ćpuny były zbyt mocno odurzone, by stanowić jakikolwiek problem, więc ich pominął. Dwaj dilerzy wyglądali na sprawnych i silnych, a na poręczy kanapy spoczywał kuchenny nóż. Gdyby zdołali do niego dotrzeć, zanimby ich unieszkodliwił, napytałby sobie biedy. Nie mógł również wykluczyć, że są uzbrojeni.

Podjął decyzję.

Skoczył przez pokój i rzucił się na nich z pistoletem w dłoni. Większego uderzył kolbą w skroń; oszłamiający cios powalił go na kolana. Drugi diler sięgnął ku poręczy kanapy, lecz Milton przewidział ten manewr i kopnął go w pierś, wydobywając z ust jęk bólu. Mężczyzna nie chwycił noża, który podczas tej próby spadł na podłogę. Milton złapał mężczyznę za koszulkę i pas spodni, podniósł go z kanapy i cisnął na ziemię. Ostre brzożki rozgniecionych fiolek i strzykawek wbiły mu się w twarz i szyję, gdy próbował się pozbierać. Milton rzucił się za nim na podłogę i przygwoździł go do niej kolanem wciśniętym między łopatki. Lufę pistoletu przycisnął do czubka głowy dilera porośniętej splecionymi w cienkie warkoczyki włosami.

– Słuchaj uważnie – powiedział. – Chcę, żebyś dostarczył Biznessowi wiadomość. Powiedz mu, że właśnie o tym go uprzedziłem. Powiedz, że jeśli nie zrobi tego, co mu kazałem, będzie więcej takich wydarzeń. Jedna melina na raz. Rozumiesz? Kiwnij głową, jeśli tak.

Mężczyzna niezdarnie poderwał głowę.

– W porządku. A teraz wstaniesz i usuniesz stąd tych ludzi. Potem podniesiesz swojego przyjaciela i jego też wywleciesz na zewnątrz. Jeśli zrobisz coś głupiego, zastrzelę cię. Rozumiesz?

Milton wstał i się cofnął. Wziął kanister i rozlał benzynę na podłogę oraz kanapie, rozchlapując ją po zasłonach. Jeśli chłopak potrzebował motywacji, był nią oczywisty plan intruza. Zrobił, jak mu kazano,

wyprowadzając narkomanów tylnym wyjściem, a potem wrócił po przyjaciela i służąc mu jako podpora, pomógł wyjść.

W pokoju od razu zaczęło śmierdzieć benzyną. Milton wyjął zapalniczkę i kciukiem wykrzesał ogień. Przesunął nią nad szmatą, a niebiesko-biały płomień ogarnął ją zachłannie. Upuścił szmatę na kanapę i tkanina obicia z cichym sykiem zajęła się ogniem. Płomienie rozprzestrzeniły się szybko, sięgając coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zaczęły osmalać sufit. Pomknęły nienasycone po podłodze do ścian, a cichy trzask błyskawicznie przemienił się w głośny szum. Kłęby czarnego dymu wzbiły się pod dach, po czym buchnęły w dół.

Milton wyszedł z posesji w zaułek z pistoletem w dłoni i dopiero gdy zobaczył, że obaj młodociani dilerzy uciekli, wsunął go z powrotem do kabury. Szedł szybko, zmierzając z powrotem do samochodu zaparkowanego przy głównej ulicy. Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą.

Po drugiej stronie jezdni gwałtownie płonął squat.

Callan przystanął przed drzwiami mieszkania numer 609, po czym, przekonany, że to właściwy adres, zapukał mocno trzy razy. Usłyszał wewnątrz odgłosy aktywności: brzęk składanych naczyń stołowych, otwierające się na zardzewiałych zawiasach drzwi, a potem zbliżające się kroki. Otworzyła mu jakaś kobieta. Callan przypuszczał, że ma trzydzieści parę lat. Czarne włosy, gładka skóra, duże oczy, szczupła sylwetka. Miała na sobie uniform sieci barów szybkiej obsługi.

– Tak?

Callan uśmiechnął się.

– Pani wybacz. Przepraszam, że przeszkadzam. Czy pani Sharon Warriner?

Zmrużyła oczy.

– A kto pyta?

– Detektyw Travis.

Zrzedła jej mina.

– Chodzi o Elijaha, prawda?

– Elijaha?

– Mojego syna... Co przeszkrobał?

– Nie, pani Warriner, to nie to. Nie ma to żadnego związku z Elijahem. Mógłbym na chwilę wejść?

– O co chodzi?

Callan zrozumiał, że kobieta przejawia zwyczajną podejrzliwość wobec policji. W takim miejscu należało się tego spodziewać. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął zdjęcie Milтона z akt.

– Zna pani tego mężczyznę?

Przyglądając się uważnie zdjęciu, Sharon zmieszala się.

– To John.

– John Milton?

– Tak. Nie rozumiem. Co on zrobił?

– Mogę wejść? Tylko na pięć minut.

Sharon niechętnie odsunęła się i wpuściła go za próg. Krótkim korytarzem przeszli do salonu. Był to duży pokój, ze starą kanapą, stołem z czterema krzesłami, telewizorem płaskoekranowym i grami na PlayStation rozrzuconymi na podłodze. Sharon stała sztywno; Callan widział, że jej podejrzenia nie zmalowały i nie zaproponuje mu, by usiadł. W porządku. I tak nie zabawiłby długo. W pewnym sensie zobaczył już wystarczająco dużo.

– Skąd pani zna pana Milтона?

– To przyjaciel.

– Jak pani go poznała?

Kobieta zawahała się, na twarzy przez chwilę odmalowało się przykre wspomnienie.

– Poznałam po prostu – odparła. – Proszę powiedzieć, o co chodzi?

– Co on tutaj robi?

– Powiedziałam panu, to przyjaciel. Pomaga mi przy synu.

– Jak?

– Przepraszam, detektywie, ale nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. Co złego zrobił?

– Niestety, nie mogę pani tego powiedzieć. Proszę... W jaki sposób pani pomaga?

Sharon machnęła ręką ze wzburzeniem.

– Mój syn, Elijah, potrafi być trochę niesforny. I krnąbrny, jak oni wszyscy w jego wieku. Pan Milton... – przerwała, szukając odpowiedniego słowa, a potem jeszcze raz powtórzyła: – Pomaga mi przy nim, jak mówiłam. Nie rozumiem, dlaczego mnie pan wypytuje... Czy zrobił coś złego? Powinam się martwić?

Czy miała powód do niepokoju? Callan stłumił uśmiezek. Ta kobieta nie miała o niczym pojęcia. Zupełnie.

– Nie – odparł – nie ma powodu do zmartwień. Przykro mi, że nie mogę powiedzieć nic poza tym.

Ruszyła do drzwi.

– W takim razie mnie też jest przykro, detektywie. Jeśli nie może mi pan powiedzieć, co takiego zrobił pan Milton, to nie bardzo wiem, w czym jeszcze mogę panu pomóc. – Otworzyła drzwi salonu. – Pozwoli pan? Muszę się szykować do snu. Wcześniej rano zaczynam pracę.

– Oczywiście – rzekł Callan. – Dziękuję pani za pomoc. Jeszcze raz przepraszam za zakłócenie spokoju.

Gdy pozwolił zaprowadzić się do drzwi, jeszcze raz się rozejrzył. Niezapłacone rachunki. Łuszcząca się na ścianach farba. W oknach kraty. Co Numer Jeden robił w takim miejscu, z taką kobietą? Callan sądził, że jest, do pewnego stopnia, ładna, ale to nie był dostateczny powód, by wszystko tłumaczyć. Jedynym, co miało jakikolwiek sens, było twierdzenie Nadzorcy, że w głowie Numeru Jeden coś zaczęło szwankować i że, jeśli to prawda, nie wyjdzie mu to na zdrowie. Grzecznie życzył kobiecie dobrej nocy i gdy zamknęła za nim drzwi mieszkania, znalazł się na balkonie. Wsparł się łokciami o balustradę i spojrzał na londyński East End. Był upalny wieczór, powietrze niemal zastygło w bezruchu. Na pobliskich ulicach wyły syreny, a na otwartej przestrzeni poniżej zebrała się grupa młodych ludzi; ich rechotliwy śmiech docierał do Callana. Wszystko to było dla niego niepojęte.

Miał za zadanie zgromadzić dowody, a nie wyciągać wnioski. Mimo woli jednak zadawał sobie pytanie: co, u licha, stało się Numerowi Jeden?



Komisariat policji w Stoke Newington był nowoczesnym trzypiętrowym budynkiem z szerokimi oknami na parterze. We wszystkich paliło się światło. Pops podszedł do wejścia, ale nie przestąpił progu. Na ścianie budynku wisiała staroświecka niebieska latarnia i Pops nie zatrzymał się pod nią. Podążał dalej, po czym zatrzymał się, przeszedł na drugą stronę jezdni i zawrócił. Powtarzał ten schemat od ostatnich trzydziestu minut, wędrując wysadzaną drzewami ulicą i myśląc o tym, jaką ma alternatywę, oraz o konsekwencjach każdego wyboru. To, co miał zaraz zrobić, wszystko by zmieniło. Nie było sensu udawać, że tak się nie stanie, i przerażał go przytłaczający ciężar tego, co zamysła. Gdyby uczynił to, o co został poproszony, nie miałby już odwrotu. Jego życie zostałoby zepchnięte z obranego kursu i skierowane w inną stronę.

Naprzeciw komisariatu znajdował się turecki zakład fryzjerski. Pops usiadł, opierając się plecami o witrynę, i wyciągnął zza ucha niedopalonego skręta. Trzymał go w płomieniu zapalniczki, dopóki się nie zapalił, po czym wciągnął w płuca wielką porcję dymu. Trzymał go tam przez dłuższą chwilę i wypuścił. Musiał się uspokoić, odprężyć. Przyciągnął kolana do piersi i pochylił się, wspierając na nich głowę. Był na skraju załamania nerwowego.

Wybór. Wpatrywał się w oświetlone okna komisariatu po drugiej stronie jezdni z wolno poruszającymi się pojazdami. Wiedział, że rozmowa z policją to sprawa niebagatelna. Uczyniłaby z niego kapusia. Był na rozdrożu; każdy wybór rodził konsekwencje. Myślał o tym wystarczająco długo, zanim poznał Elijahę, zanim Biznes odwrócił się od niego, przed Laurą, przed spotkaniem z Johnem w parku. Zawsze miał wybór, nawet wtedy, gdy wydawało się, że nie ma. To on zdecydował się wstąpić do LFB, zacząć napadać i kraść, sprzedawać prochy. Miał wybór w każdym momencie, ale kłopot polegał na tym, że te inne drogi były trudniejsze lub mniej intratne albo nie tak fajne jak życie, które mógł wieść na ulicy. Pojawiającym się w gangu nastolatkom mówił, że łatwa droga jest najlepsza, zawsze jednak wiedział, iż serwowane im opowieści to

kłamstwa. Zawsze. Okłamywał ich i siebie. Przekonał siebie, że ma rację, ale teraz, cóż, nie pozostało nic innego, jak zmierzyć się z prawdą.

Ponieważ tak naprawdę zawsze była możliwość wyboru.

Właściciel salonu miał nad ladą niewielki telewizor i Pops słyszał go przez otwarte drzwi. Dziś wieczorem w Tottenhamie doszło do burd, bracia zebrali się i zdewastowali to miejsce. Słyszał relację reportera z miejsca wydarzeń, w tle wrzaski i odgłosy dewastacji. Przez chwilę słuchał tego z roztargnieniem, właściwie nie zwracając uwagi, zaciągając się skrętem i powoli wypuszczając dym nosem.

Dopalił skręta do samego końca i rzuciwszy go na ziemię, rozgniół butem.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, pchnął drzwi i wszedł do komisariatu.

Dyżur pełniła jakaś policjantka.

– W czym możemy pomóc?

– Chcę porozmawiać z kimś na temat Israela Browna.

Kobieta spojrzała na niego krzywo.

– A kto to taki?

– Przypuszczalnie znacie go jako Biznessa. Tego rapera. W zeszłym tygodniu w Chimes pobił do nieprzytomności jednego chłopca. Byłem tam. Wszystko widziałem.

Bizness spoglądał przez przyciemnione szyby bmw na spalony dom. Wóz strażacki jeszcze nie odjechał, jakiś strażak polewał wodą dymiące szczątki. Strop przybudówki zawalił się, a okno się odkształciło i roztrzaskało pod wpływem gorąca, ukazując szerniały obraz nędzy i rozpacz. Nie był właścicielem tego domu i nie miał on żadnej wartości, ale nie o to chodziło. Była to jego nieruchomość. Spełniała swoje zadanie i przynosiła spory dochód. Teraz musiał znaleźć inne miejsce, rozpuścić wieści, znowu wszystko rozkręcać. Straci przez to czas i pieniądze.

– Skurwysyn – warknął, uderzając dłonią o kierownicę.

Na fotelu obok siedział Mouse.

– Mamy kłopot, Bizness.

– Tak sądzisz? Zamknij ryja, Mouse. Gównu wiesz.

Levelz i Tookie, dwaj chłopcy, którzy obsługiwali squat, opowiedzieli mu o tym, co się stało. Ten człowiek dokonał napaści tuż po północy, działając z zaskoczenia. Obu pobił, przekazał wiadomość, usunął ćpunów i podpalił melinę.

Będzie musiał za to zapłacić.

Drzwi z tyłu się otworzyły i na kanapie usiadł jakiś mężczyzna. Bizness zerknął w lusterko wsteczne. Inspektor Wilson z wydziału dochodzeniowo-śledczego spojrzał mu gniewnie w oczy.

– Co jest grane, chłopaki? Kto to zrobił?

– Ktoś, kto pożałuje, że ze mną zadarł. Nie musisz się tym przejmować.

– Jesteś tego pewien? Bo ja jestem całkowicie pewien, że gdy straż pożarna potwierdzi, że powodem było podpalenie, to rozpocznie się śledztwo.

– Nie przejmuj się, dobrze? Wiem, kto to zrobił. I zamierzam to załatwić.

– Lepiej tego dopilnuj. Musisz panować nad sytuacją. Skacze mi ciśnienie, gdy jeden z twoich lokali eksploduje, jakby to była noc fajerwerków. Chcesz tutaj działać bez problemów z mojej strony, to załatwiaj wszystko po cichu.

– Nie, człowieku, moje działanie tutaj zależy od tego, czy co piątek dostaniesz swoją dołę.

Wilson zignorował jego słowa i dźgnął palcem szybę.

– Takie rzeczy nie dają mi zbytnej pewności, synu. Przymykam na was oczy, bo nie mam czasu na martwienie się o przysparzających kłopotów chłopaków z innych dzielnic. Jeśli ty nie potrafisz, to jest mnóstwo innych, którzy mogą zapanować nad sytuacją.

– Grozisz?

– Nie, mówię ci, że jeśli chcesz pozostać na rynku, to od teraz będzie cię to kosztowało dziesięć kawałków.

– Kurwa, człowieku, przestań pieprzyć. Podwajasz takse?

– Masz z tym jakiś problem?

Bizness chwycił mocno kierownicę.

– Nie – odparł. – Może być dziesięć.

– Ze współpracy ze mną masz inne korzyści – zauważył policjant.

– Tak? Na przykład jakie?

– Wczesne ostrzeżenie. Czekają cię następne kłopoty. Pops to twój chłopak?

– Co z nim?

– Wczoraj wieczorem przyszedł na komisariat. Twierdzi, że chce złożyć zeznania przeciwko tobie.

– Przeciwko mnie?!

– Tak twierdzi.

– Za co?

– Pobicie tego dzieciaka w Chimes.

– Człowieku, to było nic.

– Powiedz to jego rodzicom. Jeszcze nie wyszedł ze szpitala.

– Pops gównem na mnie ma.

– Twierdzi, że tam był.

– I ma zamiar sypać?

– Tak słyszałem.

Bizness patrzył spode łba przez przyciemnioną przednią szybę i obserwował, jak przejeżdżające samochody zwalniają, żeby ich kierowcy mogli się pogapić na dymiące szczątki meliny. Najpierw kłopoty z człowiekiem, który to zrobił, a teraz to? To był zły moment. Moment okropny, ale czasem tak właśnie bywało, takie dostawało się karty. Były to

dwa drobne problemy i oba można było rozwiązać. Zaczął kalkulować, obmyślać taktykę.

– Musisz trzymać rękę na pulsie, synu – dodał Wilson. – Mam powód do niepokoju?

– Nie – odparł Bizness, zaciskając zęby. – Żadnego. Ze wszystkim się uporam.

## 40

Pinky dotarł do drzwi studia i nacisnął guzik domofonu.

– Słucham?

– Przyszedłem zobaczyć się z Biznessem.

– Nie ma go. Spływaj.

– Nie wciskaj mi kitu. Widziałem, jak wchodził.

– Spieprzaj, młody.

– Chodzi o to, co się stało wczoraj w HMV. Mam pewne informacje.

– Możesz przekazać je mnie.

– Nie sądzę. Powiem mu sam albo nie będę sobie zawracał głowy.

Rozległ się trzask wyłączanego domofonu. Pinky zawahał się, wstrzymując oddech. Domofon znowu ożył z trzaskiem.

– W porządku. Wchodź na górę.

Rozległo się brzęczenie i zamek w drzwiach puścił.

Pinky wszedł po schodach obwieszonych z obu stron oprawionymi zdjęciami BRAPPPP! Był zdenerwowany. Biznes cieszył się złą sławą, wszyscy to wiedzieli, a na tę sławę składała się głównie jego nieprzewidywalność. Pinky przypomniawszy sobie wszystkie opowieści, jakie o nim słyszał. Nie był głupi, wiedział, że wiele z nich wymyślono w trosce o wizerunek rapera, ale były i inne, w których prawdziwość nie wątpił, i to o nich właśnie teraz myślał.

Wszedł do dużego pomieszczenia na piętrze. Biznes siedział na kanapie, z nogami wspartymi na niskim stoliku. Do ściany przymocowany był telewizor z płaskim ekranem, ustawiony na Sky News. Pinky już wcześniej dowiedział się wszystkiego o zamieszkach, które ubiegłej nocy wybuchły w Tottenhamie. Podniecała go myśl o plądrowaniu sklepów. Teraz wydawało się, że zadyma rozszerzyła się na Enfield i Brixton. W materiale filmowym ze śmigłowca pokazano płonący radiowóz.

– Jak masz na imię, chłopcze?

– Pinky.

– Dobra, Pinky, obyś miał uzasadniony powód do przyjścia tutaj. Jestem człowiekiem zajęтым, mam dużo na głowie. Brak mi czasu na rozdawanie

autografów.

– Nie przyszedłem tu po autograf – odparł Pinky.

– W takim razie powiedz, po co tu jesteś.

– Mam pewne informacje. Ten starszy mężczyzna, który wdał się w awanturę z tobą podczas podpisywania płyty... widziałem to na YouTube.

– Co?

Pinky wyciągnął telefon. Przygotował już film do odtworzenia i teraz kliknął przycisk play. Nagranie ruszyło; ktoś w sklepie sfilmował rozmowę między Biznessem a starszym mężczyzną. Kamera znajdowała się wystarczająco blisko, by widać było wyraz ich twarzy, nieustępliwość mężczyzny i rosnący gniew Biznessa. Ich kłótnia osiągnęła apogeum i Bizness stracił równowagę, zataczając się do tyłu. Gdy leżał wśród rozsypanych plakatów i płyt, rozległ się śmiech.

– Kto, do kurwy nędzy, to wysłał? – prychnął Biznes, wyrywając Pinky'emu telefon z dłoni. Do filmu dołączonych było kilka stron komentarzy, przeważnie z żartami z rapera, i Pinky miał nadzieję, że Bizness nie będzie ich czytał. Nie zrobił tego; odtworzył wideo jeszcze raz, a potem rzucił telefon Pinky'emu. Jego oczy pałały gniewem.

– Chodzi o tego człowieka – rzekł Pinky.

Biznes zmrużył oczy, wyraz ożywienia zniknął z jego twarzy. Pinky zdał sobie sprawę, że będzie musiał ważyć słowa.

– W takim razie kontynuuj... Nie siedź tak, powiedz mi, co wiesz.

– Na osiedlu mieszka jeden chłopak, prosiłeś go, by robił dla ciebie różne rzeczy... JaJa?

– Owszem. Co z nim?

– Przedwczoraj stałem przed budynkiem, w którym mieszka jego mama. To było rano. Wcześniej... Przez całą noc sprzedawaliśmy to gównu kotom, właśnie mieliśmy kończyć. Tak czy owak, widziałem, jak Elijah wychodzi z mieszkania, cholernie zdenerwowany, a potem, tuż za nim, wyszedł ten mężczyzna. To na pewno, na sto procent, był on. Był rozebrany, bez koszuli.

– Co ty mówisz? To stary Elijaha?

– Nie, jego stary siedzi w więzieniu.

– Więc kto to jest?

– Nie wiem. Jego matka to dziwka... Myślę, że jakiś facet, którego poderwała.

Bizness wyłączył się, próbując sobie przypomnieć, co ten człowiek mu powiedział.

– Kazał mi trzymać się z daleka od chłopca.

– Od niego i od tej suki Popsa – przypomniał Mouse.

– Wiesz coś jeszcze? – zapytał raper.

– Nie, to wszystko. Pomyślałem, że to może się przydać, więc przyszedłem.

– Przyda się, młody. Doceniam to, że się starasz. Dobrześ zrobił.

– Miałem jeszcze jeden powód, żeby tu przyjść – rzekł Pinky. Rozmowa przebiegła po jego myśli i teraz pojawiła się sposobność, na którą liczył.

– Mów – odparł Bizness.

– Zastanawiałem się... Wiem, że prosiłeś JaJę, by zrobił dla ciebie parę rzeczy. – Nie sprecyzował, o jakie „rzeczy” chodziło, ale wiedział wszystko o incydencie na imprezie z okazji wydania płyty. – Tak między nami, ten chłopak nie jest wiele wart. To jeszcze dzieciak, wszystkiego się boi.

– Sam jesteś niewiele starszy.

– Nie jestem, to prawda, ale nie mamy ze sobą nic wspólnego. Zrobiłbym wszystko, o co byś mnie poprosił. Wiesz, o czym mówię? Powinieneś popytać, ludzie ci powiedzą. Na mnie można polegać. Z nikim nie pogrywam. Kiedy mówię, że coś zrobię, to robię to. Nie musisz się tym przejmować, to się załatwi, wiesz, o czym mówię?

– Naprawdę?

– Tak. Chodzi o to, że szukam czegoś nowego. Jestem ambitny i nudzę się, pałętając się z ciągle tą samą ekipą. Pops nie ma już do tego serca. Po prostu wałęsamy się po okolicy, robiąc dzień po dniu te same oklepane rzeczy. Moim zdaniem mógłbym robić takie rzeczy u ciebie.

Bizness spojrział na Mouse'a i uśmiechnął się szeroko.

– Ten to ma jaja, co? Przypomina mi to, jaki kiedyś sam byłem.

– Wystarczy, że dasz mi szansę... Obiecuję, że cię nie zawiodę.

– Nie dajesz za wygraną, co?

Pinky pokręcił głową.

– Wporzo, coś ci powiem, młody. Mógłbyś zrobić dla mnie jedną rzecz.

– Tak?

– Owszem. – Bizness sięgnął do kieszeni i wyciągnął zmięty banknot dziesięciofuntowy. – Przede wszystkim jednak jestem głodny... skocz do Maccy D's i kup mi Ready Meal, dobrze? Proszę. – Gdy wręczał Pinky'emu banknot, pozostali chłopcy zaczęli się śmiać.



Pinky czuł, że się rumieni. Udał jednak, że się tym nie przejmuje.

– W porządku.

– Big maca i colę. I uwijaj się, bo przez cały dzień nic nie jadłem.

Pops wyszedł z knajpy z kubelkiem smażonego kurczaka. Chłopcy czekali na zewnątrz, ustawieni wokół ławki naprzeciwko ciągu sklepów. Little Mark czyścił swoje nowe najki chusteczką; Kidz, Chips i Pinky ryczeli na dwójkę ładnych dziewczyn przed pralnią, a JaJa siedział na wpół odwrócony od nich z grymasem niezadowolenia na twarzy. Pili piwo z sześciopaku, który Little Mark upchnął pod kurtką w minimarkecie, gdy wcześniej weszli tam po czekoladę. Pops postawił kubelek na ławce i zdjął pokrywkę. Poczęstował się pierśią i wgrzył się w mięso. Było kruche, z odpowiednią ilością tłuszczu. Pozostali też wzięli po kawałku.

– Głodny jestem – stwierdził Little Mark.

– Jesteś gruby – odpowiedział Chips.

– Odwał się – warknął Little Mark, oczy mu lśniły. Nie obchodziło go, czy dokuczają mu z powodu tuszy. Wiedział, że jest gruby; nie mógł temu zaprzeczyć i się tym nie przejmował. Lubił być w centrum uwagi.

– Nudzi mi się – powiedział Chips.

Kidz podniósł wzrok.

– Co w takim razie zrobimy?

– Nie wiem.

– Pójdziemy obejrzeć jakiś film?

– Nieee. Nic nie ma. Grają tylko jakieś gównno.

– Więc co?

– Zobaczymy, czy te piękne dziewczyny mają ochotę spędzić z nami czas? – powiedział podniesionym głosem Chips.

Dziewczęta usłyszały go, prychnęły pogardliwie i zniknęły w pralni.

– W takim razie coś innego.

– Nie wiem.

Pops spojrzał na Elijaha. Ten z ponurą miną spiorunował go wzrokiem tak przenikliwym, że Pops zastanawiał się, czy chłopak mógł się jakoś dowiedzieć o jego wizycie na komisariacie. Po chwili uznał, że to niemożliwe. Przecież był ostrożny. W końcu wszyscy się dowiedzą, ale jeszcze nie teraz.

Little Mark zaproponował z pełnymi ustami:

– Moglibyśmy obejrzeć tę melinę... Widzieliście to?

– Ten lokal, który należał do Biznessa?

– Tak mówią – odparł Chips.

– W Dalston? – upewnił się Kidz.

Chips skinął głową.

– Co się stało?

– Spalony doszczętnie – odparł Little Mark, a z kącika ust wypadły mu kawałki kurczaka. – Zjawia się jakiś gość, pierze na kwaśne jabłko dwóch chłopaków, którzy opiekowali się tym miejscem, rozlewa benzynę i podpala. – Rozcapierzył palce. – Szust!

– Kto to był?

– Któż to, kurwa, wie. Pewnie jakiś kot nie miał forsy na swoją działkę i dostał szału czy coś.

– Kimkolwiek jest ten kot, nie chciałbym być w jego skórze, gdy dorwie go Bizness.

– To będzie fantastyczne.

– Jak w Grze o tron.

– Powinien to sfilmować i zamieścić na YouTube.

– I powstrzymać kolejne próby.

– Nie – zdecydował Little Mark. – Nie możemy się tym martwić. Dalston jest daleko, a ja nadal jestem głodny.

– Ty zawsze jesteś głodny, grubasie.

– Tego nie zrobił żaden kot – stwierdził Chips. – Słyszeliście, co się stało podczas podpisywania płyt BRAPPPP!? Jakiś starszy facet pojawił się w kolejce i dosłownie wyzwał Biznessa na pojedynek.

– Widziałeś to?

– Ktoś wrzucił na YouTube. Starszy człowiek, zimny jak kamień, podchodzi do niego, kłóć się i wtedy chwyta jego dłoń w żelazny uścisk. Bizness ląduje w końcu na tyłku, na oczach wszystkich. Z tego co słyszałem, oni podejrzewają, że facet, który to zrobił, to ten sam, co spalił metę.

– Jest już trupem – zauważył Kidz.

– Masz rację.

Elijah westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Słyszałeś o tym, JaJa? – zapytał Chips.

– No.

– I co myślisz?

– Myślę, że żaden z was nie ma pojęcia, o czym mówi.

Pops przyglądał się, jak spokojnie stroją sobie w piątkę żarty. Tylko JaJa milczał, a reszta zwyczajnie się przekomarzała i dokuczała sobie nawzajem. Byli sobą: chłopcami zaskoczonymi w niewygodnej roli ni to dzieci, ni to dorosłych. Na chwilę się wzruszył. Dorastał z nimi. To byli jego chłopcy, a jednak teraz dni Popsa jako jednego nich były policzone. Gdy się dowiedzą, że zamierza zeznawać przeciwko Businessowi, z pewnością będą go unikać, jakby to im samym zagrał na nosie. Zostanie uznany za kapusia i będą mieli ze sobą na pieńku, zrobi się wielki szum i potem już wszystko będzie musiało się zmienić.

– Pops, człowieku, co zrobimy? – zapytał Kidz z usmarowanymi tłuszczem ustami, zabierając się do ogryzania drugiej piersi.

Rozmyślenia wprawiły Popsa w przygnębienie.

– Nie wiem – odparł beznamietnym głosem. – Róbcie, co chcecie.

– Moglibyśmy obrabować jakiś autobus?

– To zależy od was.

– A ty co zrobisz?

– Różne rzeczy.

Little Mark spojrział w ekran swojego BlackBerry i powiedział:

– Słuchajcie. Właśnie otrzymałem wiadomość od mojego kumpla z Hackney. Wiecie o tych zamieszkach i burdach w Tottenhamie?

– I w Brixton.

– Tak, teraz to się rozprzestrzenia. Na High Street zbiera się wielki tłum. Jest tam już setka dzieciaków i nigdzie nie widać policji. Zaczyna się.

– Na co, kurwa, czekamy? – zapytał Chips. – Właśnie to będziemy dziś wieczorem robić, prawda? Zbierajmy się.

Wszyscy wstali.

– Idziesz, Pops? – zapytał Little Mark.

– Nie, stary. Mam robotę.

Pinky zatrzymał się i spojrział na niego z lekkim zdziwieniem.

– Dokąd idziesz?

– Do Homerton.

– Przez park?

Pops potwierdził.

– Pójdę z tobą.

– Nie idziesz z pozostałymi?

– Nie. Nie bawią mnie zamieszki i burdy. To strata czasu.

Pops wzruszył ramionami. Wolałby iść do college’u sam, ale już się tego nie wstydził. Kogo to obchodziło, czy się dowiedzą? A Pinky, bardziej niż reszta grupy, musiał zobaczyć, że ulica to nie jest jedyna możliwość. Może to skłoni go do robienia czegoś innego. A gdyby nie skłoniło, gdyby przez to miał o nim gorsze zdanie, cóż, Pops już się tym nie przejmował.

– Wporzo – rzekł do pozostałych. – Do zobaczenia później.

Przybili żółwiki i Pops doświadczył kolejnej chwili uczuciowej więzi z nimi wszystkimi. Szybko przypomniał sobie niektóre rzeczy, które razem robili. Długie, upalne wieczory lata, palenie zioła w parku, przyglądanie się pędzącej obok rzeczywistości. Uśmiechnął się do tych wspomnień. Inny świat. Teraz wszystko to skończyło się i odeszło.

Z Pinkym krocącym z wolna obok ruszył w stronę parku.

Dochodziła siódma, ale nadal było jasno i ciepło.

– No to gdzie w takim razie się wybierasz? – zapytał go Pinky.

– Jak mówiłem, mam spotkanie.

– Tak?

– Zgadza się.

– Z kim?

Pops westchnął,

– Z nikim, Pinky. Idę do college’u.

– Oczywiście – odparł Pinky, zdobywając się na szeroki uśmiech.

– Mówię poważnie.

– Pierdoły sadzisz, człowieku.

– Dwa razy w tygodniu. Zajęcia wieczorowe.

– Nie żartujesz?

Pinky miał się znowu roześmiać, ale zobaczył, że Pops patrzy na niego ponuro, i stłumił śmiech.

College, pomyślał. Jaki to ma sens? Nauka, książki, nauczyciele – nic z tego go nie interesowało. W szkole zawsze był trochę mało pojętny. Nie żeby w ogóle się nie starał. Gdy był młodszy, próbował, ale wydawało się, że nie ma znaczenia, co robił; inni zawsze byli lepsi z czytania, arytmetyki i w ogóle i wreszcie lądowanie raz za razem na dole klasyfikacji dało mu się we znaki. W końcu po prostu przestał się przejmować. I chodzić do szkoły. Szkoła nic z tym nie zrobiła, jego matce było to obojętne i chyba nikt za nim nie tęsknił. Można by do tego podejść filozoficznie. Nie da się być dobrym we wszystkim. Koncentrował się na tym, z czym dobrze sobie radził: rabowaniu, sprzedaży narkotyków i zastraszaniu ludzi. To były jego umiejętności. Popracuje nad nimi, stanie się w tym lepszy. To właśnie zapewniało forszę. Oraz władzę i szacunek.

– Czemu cię to tak śmieszy? – zapytał Pops.

– Nie wiem. Po prostu... No cóż, po prostu nie wyobrażam sobie, by kogoś z nas to interesowało, i tyle.

– Czyli to zły pomysł, ponieważ reszty to nie interesuje? – odburknął Pops.

– Nie wiem – odparł Pinky, zaskoczony podnieceniem wyczuwalnym w głosie Popsa.

– Jaki jest więc twój plan? Pewnie masz jakiś. Czy też zamierzasz całe życie spędzić na ulicy?

– Tak naprawdę nie zastanawiałem się nad tym. Ale to nie takie złe, prawda? Mogę spędzać czas z kumplami, a w tydzień i tak zarabiam więcej pieniędzy niż moja mama w miesiąc.

Pinky widział, że Pops miał zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale tylko westchnął i pokręcił głową.

– Nieważne. Masz rację. Szkoła nie jest dla każdego.

Szli Old Ford Road i przy sklepach przeszli na drugą stronę ulicy. Z błyskiem świateł i wyciem syreny minął ich pędzący radiowóz. Doszli do ronda i tam też przecięli jezdnię, przechodząc przez bramę parku i kierując się na północ. W parku było mniej ludzi niż na ulicy. Pinky się rrozejrzał. Wokół panował spokój. Poczuli, że zaczęły mu drzeć palce.

– Możesz się z tym nie zgodzić, ale jeśli chcesz radzić sobie w życiu, musisz mieć świadectwa.

– I to właśnie robisz? Zdajesz egzaminy i w ogóle?

– Tak.

– Po co?

– Żeby mieć posadę. Pracę.

Pinky wskazał ruchem ręki na park i ulice za nim.

– Nie chcesz już tego robić?

– Wszystko kiedyś się kończy.

Gdy Pinky trafił na ulicę, patrzył na Popsa z podziwem. Pops był wpływową postacią, święcił sukcesy i budził strach. Nie bał się atakować, żeby zdobyć to, czego chciał. Był dla Pinky'ego wzorem. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo się mylił. Bizness pokazał mu, że w Popsie nie ma czego podziwiać. Chciał odejść. Nie potrafił zatrzymać przy sobie swojej kobiety. Był tchórzem. Sprzedawczykiem, oszustem, który nie zasługiwał na niczyj szacunek. Decyzja o powrocie do szkoły była tylko kolejnym przykładem. A jeśli prawdą było to, co powiedział Bizness? Że poszedł na policję? Zrobiło mu się niedobrze, gdy pomyślał, jak marzył, żeby być taki jak on. Jak mógł tak bardzo się mylić? Nie było czego podziwiać. Pops był nikim.

- Tak – potwierdził. – Przypuszczam.
- Co zamierzasz zrobić ze swoim życiem?
- Palić sporo trawy. – Pinky się roześmiał. – Popracować nad reputacją, dopilnować, by wszyscy wiedzieli, kim jestem.
- Nie można tego robić bez końca, człowieku.
- Czemu nie?
- Po prostu się nie da.
- Nie – rzekł Pinky, którego nagle ogarnęła chęć usadzenia Popsa. – Gadasz bzdury, człowieku. To, że nie masz już do tego odwagi, nie oznacza, że reszta z nas ma uważać tak samo.

Nigdy przedtem nie odzywał się do Popsa w taki sposób. Tydzień temu nie miałby czelności, ale teraz wiedział więcej. Nie było powodu się go bać. Nie musiał też słuchać jego świętoszkowatych bzdur.

Pops pokręcił delikatnie głową, ale nie odniósł się do tego.

Szli dalej.

Podczas marszu plecak Pinky'ego ocierał się o jego biodro. Przytrzymał go prawą dłonią; był ciężki i sprawiał wrażenie masywnego.

– A tak w ogóle to dokąd się wybierasz? – rzekł Pops. – Wleciesz się za mną jak smród.

– Po prostu miałem ochotę się przespacerować.

Pinky przystanął, zaczekał, aż Pops zrobi kilka kroków naprzód i znajdzie się obok parkowej ławki.

Otworzył plecak, sięgnął do środka i wyjął broń, którą dał mu Business. Był to rosyjski pistolet Makarowa. Poćwiczył z nim w bardziej zacisznej części parku, oswajając się z ciężarem pistoletu i tym, jak leżał w dłoni.

– Oi – powiedział. – Pops.

Pops zatrzymał się i odwrócił.

– O co chodzi?

Pinky podniósł broń i wyprostował rękę, podtrzymując ją drugą dłonią, żeby zamortyzować odrzut.

– To od Businessa – powiedział dokładnie tak, jak mu kazano.

Pops otworzył usta, ale głos mu uwiązł w gardle. Być może zamierzał wyjaśnić, przeprosić, błagać o życie, ale to, co zobaczył w oczach Pinky'ego, sprawiło, że uznał wszystko za bezużyteczne. Może po prostu się z tym pogodził. Z pistoletu wydobyły się cztery gwałtowne trzaski – jeden za drugim – po czym umilkł. Pops opadł na ławkę i siedział na niej przez



chwile, patrząc na ciemniejące niebo. Gdy chwycił się kurczowo za serce, palce rozwarły się w spazmie. Potem głowa opadła mu na bok, prawe ramię się osunęło, a w końcu cała górna część ciała poleciała przez poręcz ławki, jakby miał zamiar wymiotować. Rozległo się jednak tylko krótkie szuranie obcasów o ziemię i już więcej nie wykonał żadnego ruchu.

Pinky się rozejrzył. W pobliżu nikogo nie było. Zaczął chichotać, najpierw nerwowo, a potem coraz szybciej i głośniejsze, nie był w stanie nad tym zapanować. Naciągnął kaptur na twarz i ruszył, pokonując otwartą przestrzeń truchtem, a potem przedzierając się przez wybujały żywopłot ku kępie krzaków. Tam przystanął, przez chwilę łapiąc oddech.

Serce mu waliło. Zrobił to. Stracił cnotę, zabił człowieka.

Oddychając głęboko i równo, lecz drżąc pod wpływem zastrzyku adrenaliny, przelazł przez płot i opadł na znajdujący się za nim chodnik. Kiedy ruszał z powrotem w stronę osiedla, słyszał w oddali policyjne syreny.

Milton siedział w pokoju od frontu z częściami sig sauera rozłożonymi przed nim na stole. Ilekroć musiał pomyśleć, często rozkładał i czyścił broń; w tym procesie było coś z medytacji. Usunął magazynek i odciągnął zamek, wyrzucając nabój z komory. Rozłożył pistolet, wyjmując zamek, lufę, sprężynę powrotną i komorę. Usunął kurz z lufy wyciorem, a następnie wycisnął maleńkie krople oleju na części ruchome pistoletu. Tę rutynową czynność zakodował sobie podczas długiej kariery zawodowej. Widział ludzi, którzy ginęli od kul po tym, jak zacięła im się broń; dwie z jego ofiar pogrzyżyły złe nawyki, bez których miałyby zapewne nad nim przewagę.

Podczepił się pod wi-fi sąsiada i odbierał sygnał radiowy w swoim telefonie. Zamieszki rozprzestrzeniły się także na Hackney. Milton pomyślał o Elijahu i miał nadzieję, że jest wystarczająco rozsądny, by trzymać się od tego z daleka. Wcześniej Aaron zostawił mu wiadomość: nie zauważył żadnej zmiany w zachowaniu chłopca; Elijah nadal spędzał czas z innymi członkami gangu, chociaż zdaniem Aarona był bardziej milczący niż zwykle. Wydawało się, że jest o coś zły, ale nie rozmawiał z nim, by to potwierdzić. Z tego co wiedział, nie doszło do nowego kontaktu z Biznessem.

Milton wyjął z paczki rosyjskiego papierosa i zapalił go. Myślał o raperze. Wiadomość z ostatniej nocy z pewnością do niego dotarła i gdyby miał odrobinę rozsądku, na pewno wyciągnąłby wnioski. Być może poszedł za jego radą i będzie trzymał się od Elijaha z daleka. Może. Milton zwilżył patyczek do uszu rozpuszczalnikiem i wkładając go do lufy od tyłu, wyczyścił komorę naboju i stożek przejściowy. Może nie. Nie, Bizness nie był człowiekiem, który by się wycofał. Milton powiedział swoje, ale przewidział, że będzie musiał podkreślić wagę swoich słów. Potrzebna będzie kolejna demonstracja. Popatrzył na skrawek papieru leżący na poręczy kanapy. Aaron dostarczył mu adres drugiej kokainowej mety. Milton miał zamiar zlikwidować ją dziś wieczorem.

Usłyszał dolatujący z samochodowej aparatury stereo huk mocnych basów, który stopniowo narastał. Szyby okienne zabrzęczały od tego

łomotu. Odsunął firanki, żeby sprawdzić, skąd dobiega ten hałas. Jakiś samochód z przyciemnionymi szybami sunął powoli wzdłuż chodnika. Gdy Milton mu się przyglądał, szyba od strony pasażera zjechała w dół. Auto podjechało przed dom. Z okna wychyliła się jakaś postać z długim karabinkiem automatycznym. Z uczuciem bliskim zawodowej ciekawości połączonej z trwogą Milton rozpoznał charakterystyczny kształt AK-47. Samochód wjechał w złoty stożek światła ulicznej latarni i Milton zobaczył twarz podekscytowanego Biznessa wykrzywioną w dzikim uśmiechu.

Gdy z kałasznikowa padły strzały, rzucił się na ziemię. Kilka pierwszych pocisków rozbiło szybę, której kawałki posypały się koło głowy i ramion Milona i roztrzaskały się o podłogę. Kule wbiły się w cienkie ściany działowe, z których przy każdym uderzeniu wzbijały się obłoki tynku. Lustro nad kominkiem, trafione jedną z nich, pękło pośrodku i każda połowa opadła oddzielnie na gzyms. W suficie wydziobany został zygzakowaty ślad po pociskach, które kolejną porcję tynku rozniosły w drobniuteńki śnieżny pył. Kula wyrwała również dziurę w drzwiach z taniej płyty MDF.

Na zewnątrz ktoś krzyknął. Milton przeczołgał się za kanapę i skulił się. Stół z kawałkami rozłożonego pistoletu był poza jego zasięgiem; nie miał odwagi spróbować go stamtąd zabrać, a jeśli nawet zdołałby go ściągnąć i złożyć, i tak byłby o wiele gorzej uzbrojony niż napastnik. Kałasznikow Biznessa był wyposażony w magazynek bębnowy i jeśli był pełny, zawierał siedemdziesiąt pięć naboji. Przy standardowej szybkostrzelności zostałyby opróżniony w ciągu piętnastu sekund.

Kiedy o tym myślał, strzały umilkły.

Pozostał na miejscu i czekał. Resztki szyby wypadły ze zniszczonej ramy okna, roztrzaskując się z brzękiem na podłodze. Oddychał szybko i się nie ruszał.

Usłyszał głośny okrzyk radości, odgłos otwierających się drzwi auta, a potem – ogarnięty panicznym strachem – ujrzał, jak mały metaliczny przedmiot wlatuje przez rozbite okno, odbija się od ściany i ląduje z cichym, głuchym odgłosem na kanapie. Minęła sekunda. Milton wiedział, co to takiego, i rozpaczliwie próbując znaleźć oparcie dla stóp, rzucił się przez drzwi do holu. Pierwszy granat wybuchł z ogłuszającym hukiem, wyrwijąc drzwi z zawiasów i miotając po całym pokoju setki ostrych jak brzytwa odłamków. Drugi eksplodował parę sekund później. Odłamki przecięły ścianę działową i wpadły do holu, wbijając się w mur niczym

małeńkie sztylety. Milton osłonił głowę rękami; czuł, jak odbijają się od niego kawałki gruzu.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi auta, głośny ryk zwiększającego obrotu silnika, a potem pisk, gdy opony tarły o asfalt. Otworzył posiekane pociskami frontowe drzwi i wyszedł przed dom. Bmw pędziło w kierunku Bethnal Green, po czym skręciło za rogiem i zniknęło z pola widzenia. Przechodnie na drugiej stronie ulicy gapili się osłupiali na rozgrywającą się na ich oczach scenę. Mieszkańcy bloku naprzeciwko wychylili się z okien. Dom został zasypany gradem pocisków. Większość przeleciała przez okno, ale pozostałe utkwiły w murze. Dziesiątki zużytych łusek, rozgrzanych do czerwoności mosiężnych cylindrów, lśniły na jezdni i chodniku, wiele z nich toczyło się wciąż w kierunku rynsztoka.

Miltona nie interesowała dyskusja z policją o tym, co się stało, i nie widział powodu, by zostać na miejscu. Szybko wrzucił swoje ubrania do torby i pozbierał części pistoletu. Zamknął drzwi, wsiadł do volvo i odjechał.

Mouse prowadził nową furę, bmw. Bizness siedział obok niego, a Pinky z tyłu. Samochody sunęły żółwym tempem po Kingsland Road. Wszędzie byli młodzi, setki młodych, chłopcy z gangów z zasłoniętymi twarzami oraz białe dzieciaki, których normalnie nie widywało się w samym centrum Hackney. Widział w tłumie osoby różnego rodzaju: profesjonalistów w garniturach, starszych ludzi, mnóstwo dziewczyn, które nie tyle obserwowały młodocianych gangsterów, co same były głęboko zaangażowane. Z przodu ujrzeni dwóch chłopców w dresach z kapturami naciągniętymi na czapki, ciągnących kontener z odpadami przemysłowymi na środek jezdni. Kolejny chłopak wlał coś do środka, a potem wrzucił zapaloną zapałkę. Ogień zapłonął szybko i w ciągu paru sekund potężny płomień sięgał do dachów dwupiętrowych budynków po obu stronach ulicy. Naprzeciw nich, pośrodku zdemolowanego sklepu obuwniczego stał wśród rozrzuconych pustych pudełek i trampków nie do pary zakapturzony chłopak. Jakiś starszy, pewnie siedemdziesięcioletni mężczyzna chwycił kapelusz i rzucił się do ucieczki. Z magazynu wyszedł jakiś dzieciak, niosąc osiem pudełek z butami. Mikrobus z naklejką dla niepełnosprawnych zatrzymał się i czekający na jego przyjazd dorosły mężczyzna wypełnił go koktajlami białkowymi ze sklepu Holland & Barrett. Dwie dziewczyny pchały pojemnik na kółkach pełen ubrań, które zabrały z jednego z miejscowych butików. Bizness przez całe popołudnie śledził bieg zdarzeń na Twitterze: dzieciaki wywoływały rozruchy w Tottenhamie, Brixton, Enfield, Edmonton, Wood Green, w całym Londynie. I nigdzie nie było policji.

Samochód stanął.

– Spójrzcie na to, kurwa! – zawołał Mouse. – Istny obłąd.

Bizness nie mógł oderwać oczu od rozgrywającej się przed nim sceny: grupa chłopców zebrała się z jednej strony forda mondeo i podnosili go razem, aż oparli go na dwóch kołach, po czym resztką sił przechylili na bok. Krzyknęli z zadowoleniem, po czym ruszyli do zaparkowanego przed fordem vauxhalla. Bizness uśmiechnął się, widząc to wszystko.

– Policja zastrzeliła członka gangu, to czego się spodziewali? To musiało się wydarzyć. Ludzie nie mają pieniędzy i nie mają nic do roboty. Od miesiący czekali tutaj na pretekst do zamieszek.

Odwrócił głowę, żeby móc spojrzeć na Pinky’ego.

– Dziś wieczorem dobrze się spisałeś, młody. Zrobiłeś dokładnie to, co ci kazałem. Nikt nie będzie w stanie powiązać tego z nami, wszystko się zgubi w tym bezsensie.

– Prawda – potwierdził dumnie Pinky. – Dzięki.

– Pierwszy raz, zgadza się?

– Owszem.

– I jak było?

– Super – odparł Pinky. – Powinieneś widzieć jego minę, gdy wycelowałem w niego broń. – Zachichotał. – Omal się nie zesrał. A potem... – ułożył palce na kształt pistoletu – bang, bang, bang, bang.

Bizness patrzył na Pinky’ego. Na jego twarzy odmalował się uśmiech, ale w pozbawionym wyrazu i pustych oczach nie było cienia emocji. Ten chłopak zabił z zimną krwią. Było to nieco niepokojące. Widział, że nie należy do najbystrzejszych dzieciaków, i zdawał sobie sprawę, że w końcu sam zostanie załatwiony, ale do tego czasu będzie go trzymał blisko. Takich ludzi jak on, pozbawionych empatii, niełatwo było znaleźć. Byli też przydatni. Ludzi, których przydałoby się usunąć z drogi, nie brakowało. Na początku Wiley T. Zakończyć robotę, której JaJa nawet nie zaczął.

– Więc to rozwiązało twój problem?

Chłopiec, jak oni wszyscy, pragnął jego aprobaty. Roześmiał się pogardliwie.

– Bez Popsa nie ma sprawy. Jest zakończona.

– Nie zaszkodzi też w sprawie tego filmu na YouTube – odpowiedział Mouse.

Nastrój Biznessa nieco się zwarzył. Przypomniawszy sobie, że ktoś nagrał jego konfrontację ze starszym mężczyzną podczas podpisywania płyty i zamieścił klip w sieci. Na jego facebookowym profilu też zrobił się ruch i pojawiły się szyderstwa z tego powodu. Mouse miał rację: gdy rozejdzie się wieść, że kazał sprzątnąć Popsa i ostrzelał dom tego starszego mężczyzny, wszystko szybko stanie się na powrót takie, jakie być powinno. Teraz nikt nie będzie na tyle głupi, żeby mu się postawić. Bizness nie był tym, kim go nazywali. Nie był cwelem. Nie był dzieciakiem, którego można

było po prostu zastraszyć. Był graczem. Gangsterem z reputacją, której bronił. Stuprocentowym Prawdziwym Gangsterem.

– Jasne – zgodził się. – To dobrze wpłynie na interesy.

Interesy. To mu uprzytomniło, że łatwo było znaleźć lokal zastępczy za metę przy Dalston Lane spaloną przez starszego mężczyznę. W Hackney nie brakowało pustostanów i dziesięć minut temu Levelz oraz Tookie znaleźli nowe miejsce. Znowu się urządzali i rozpuszczali wici. Bizness nie znosił crackowych melin i ich klientów, ale one przynosiły kupę forsy, a on wiedział, co zrobić, by interes się kręcił. Nie różniło się to od innych branż; po prostu trzeba było się zareklamować, stworzyć popyt i to wszystko. W tym wypadku dawałeś znać, że można kupić tani crack, a potem czekałeś na przybycie klientów. Łatwizna. Niczym rozrzucanie nawozu i czekanie, aż urosną grzyby.

– Tędy nie da się przejechać – zauważył Mouse. – Będziemy musieli zrobić objazd. – Jechał beemką dalej, aż mogli skręcić w boczną uliczkę. Wcisnął pedał gazu i pomknęli naprzód z piskiem łapiących przyczepność opon. Bizness patrzył przez okno, gdy mijali rzędy szeregowych domów, a potem paskudne klocki osiedla.

Młodzi stali na skrzyżowaniach, wodząc oczyma za samochodem. Bizness zastanawiał się, czy wiedzą, do kogo należy. Niektórzy wiedzieli, można było to poznać po ich twarzach; uwielbiał, gdy tręcali przyjaciół i mówili im, że to on, uwielbiał widok rozdziawionych ust i zaskoczenie na ich twarzach. Poprawiało mu to samopoczucie. Kiedyś był jednym z nich, wystawał beczynnie na ulicach, sprzedając trochę towarów, jeśli zdołał coś zdobyć, wdając się w awantury z innymi chłopakami i szukając rozgłosu wśród młodych ludzi z innych dzielnic. Lubił sobie przypominać, jak daleko zaszedł, jak bardzo ich zdystansował. Teraz był graczem; to nie budziło wątpliwości. Był Twarzą i wszyscy o tym wiedzieli. Niektórzy zaczęli nazywać go Bogiem Hackney. Z pewnością nieźle to brzmiało. BRAPPPP! nie mógł działać w nieskończoność, a przecież, dla większości ludzi, i tak to on był BRAPPPP!

– Wstępujemy teraz po JaJę? – zapytał Pinky.

– Tak. Wiesz, co mu powiedzieć?

– To, co widziałem. Żaden problem.

Chłopiec stanowił ostatnią trudność, którą Bizness musiał rozwiązać. Czekał na nich obok wejścia na kąpielisko w London Fields. Mouse skontaktował się z nim wcześniej i kazał czekać. Zwolnił i zatrzymał

samochód. Elijah usiadł obok Pinky'ego, zamknął drzwi, a Mouse znowu ruszył z dużą prędkością.

– Dobra, młody. Jak się masz?

– W porządku – odparł z wahaniem Elijah.

Bizness z zadowoleniem stwierdził, że chłopiec wciąż się denerwuje w jego obecności. To dobrze.

– Co on tutaj robi? – zapytał Elijah, wskazując ruchem głowy Pinky'ego.

– Jest teraz w ekipie – odparł Bizness. – Słyszałeś o Popsie?

Chłopak popatrzył na swoje nowe najki złączone na podłodze samochodu.

– Taa.

– Co słyszałeś?

– Zastrzelono go.

– Inni też o tym wiedzą?

– Ludzie mówią.

Bizness skrzyżował ręce.

– Zasłużył sobie na to. Gościu coś kombinował. Zasada numer jeden... nigdy, przenigdy, nie donosisz policji. Zrobisz to, jesteś gorszy niż pies. Wiem, że zdajesz sobie z tego sprawę, ale warto o tym pamiętać. Pops zapomniał, rozumiesz? Tak więc dostał to, na co zasłużył. Nie ma powodu się tym przejmować.

– Ty to zrobiłeś?

– Nie. Ale ja sprawiłem, że to się stało.

– Więc kto?

– Siedzi obok ciebie.

Elijah spojrzał na Pinky'ego z rozdziawionymi ustami.

– On?!

– Owszem. Chłopak dobrze się spisał, zrobił to, co kazałem mu zrobić. Wpakował w niego cztery kule. Z zimną krwią. Powinieneś uważać. Musisz się sporo nauczyć.

– Co masz na myśli?

– Nie zapomniałem, co się stało z Wileym T, mały. Musisz to nadrobić.

Elijah nie odrywał wzroku od podłogi. Tak, pomyślał Bizness, chłopak naprawdę się boi – jego, a teraz również Pinky'ego. Na tym właśnie mu zależało. Kogoś, kto się boi, można było zmusić do spełnienia niemal każdego żądania.

Zmienił temat.



– Jesteś tu dlatego, że chcę z tobą o czymś porozmawiać. Ten człowiek, cwel, który spalił moją nieruchomość... Wiesz, co dzisiaj mu zrobiliśmy?

Elijah pokręcił głową.

– W bagażniku jest kałasznikow. Ostrzelaliśmy jego dom.

– Zabiliście go?

– Nie... Widzieliśmy, jak wychodził, ale prawdopodobnie został postrzelony. Albo postrzelony, albo dostał odłamkami granatów, które wrzuciliśmy mu przez okno. Rozpieprzyliśmy mu dom. Nie będzie już nas niepokoił. – Na myśl o tym uśmiechnął się szeroko. – Tak samo jak w przypadku Popsa, rozumiesz? Nie mogę pozwolić, by ludzie podważali moją pozycję, okazywali mi brak szacunku. Tacy ludzie muszą służyć za przykład. Rozumiesz?

Elijah skinął głową. Był to nieznaczny, nieśmiały ruch.

– Chodzi o to – ciągnął Business – że usłyszałem coś, co mi nie daje spokoju. Usłyszałem, że ty wiesz, kim on jest.

– Ja...

– Tylko mnie nie zwódź w tej sprawie, młody. To ważne. Pinky?

– W zeszłym tygodniu byłem w pobliżu mieszkania twojej mamy. Widziałem, jak wychodzi. Sprawa HMV, rozpoznałem go dzięki temu. Mam pamięć do twarzy, chyba wiesz, co mam na myśli? To był ten sam starszy facet, jestem tego pewien.

– Więc mów, młody, jak on się nazywa?

– Milton.

– Wiesz, czym się zajmuje?

– Nie powiedział mi – odparł cicho Elijah. – Ale zapewnił, że nie jest z policji.

Business cmoknął. Policja zazwyczaj nie puszczała melin z dymem, więc ucieszył się, że facet nie skłamał.

– Jeśli to nie policjant, to czy wiesz, dlaczego wtyka nos w moje sprawy?

– Nie wiem... naprawdę.

– Ale nocuje u twojej mamy, zgadza się?

Na twarzy chłopca odmalował się strach.

– Nie nocuje. Raz został.

– Jako przyjaciel?

– Nie wiem.

– To ma jakiś związek z nią?

– Nie wiem.

– Daj spokój, młody. Nie musisz się martwić. Tobie ani twojej mamie nic się nie stanie. Muszę po prostu wiedzieć, co się dzieje, żeby dopilnować, by nie narobił więcej szkód. Pomaga jej?

– Myślę, że chyba poprosiła go, by miał na mnie oko. Ale nic mu nie powiedziałem, przysięgam. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

– Wporzo, młody. To wszystko, co musiałem wiedzieć. Na razie to wystarczy. Zatrzymaj się, Mouse... Tutaj go wysadzimy.

Znajdowali się teraz w pobliżu Bethnal Green, daleko od miejsca, w którym go zabrali. Zgromadziła się tam kolejna duża grupa zakapturzonych dzieciaków, zmierzających Mare Street w kierunku High Street w Hackney. Minęli przyciemnione okna beemki, niektórzy wpatrywali się w nie z ogniem w oczach. Autobusy nie kursowały i JaJa musiał wrócić do domu pieszo. Biznessa to nie obchodziło. Wziął telefon i przewijał swoje kontakty w poszukiwaniu numeru, który chciał wybrać. Gdy uzyskał połączenie, patrzył, jak Elijah odchodzi ze zwieszoną głową, powłócząc nogami.

– Jesteś tam? – zapytał.

– Taak, człowieku – odparł Tookie.

– Zrób to.

Milton zatrzymał się na tankowanie, po czym ruszył do Blissett House. Ruch był duży i dojazd zajął mu więcej czasu niż zwykle. Spory tłum nastolatków z twarzami zasłoniętymi chustami i kapturami nagle wtargnął na ulicę, blokując ją całkowicie. Milton zacisnął zęby i czekał, aż zejdą z drogi. Trzy samochody za nim stało jakieś audi; widział w lusterku wstecznym, jak od dachu i maski silnika zaczynają się odbijać cegły. Przednia szyba zapadła się, gdy w samym jej środku wylądował ceglany pocisk. Za audi znajdowała się policyjna furgonetka; jadący nią funkcjonariusze nie byli w stanie nic zrobić. Jakiś dzieciak z twarzą owiniętą purpurową bandaną LFB podbiegł do radiowozu, kijem golfowym grzmotnął w bok karoserii i walił tak raz po raz, aż cały błotnik był powgniatany.

Milton uderzył pięścią w deskę rozdzielczą. Stawka została podbita i zrobił się nerwowy. Nie liczył, że Business się wycofa, ale też nie spodziewał się, że zrobi to, co zrobił. Raper działał bez skrępowań, bez jakichkolwiek zahamowań. Milton obawiał się, że zrobi coś jeszcze, coś gorszego.

Sięgnął po komórkę i zadzwonił do Aarona. Uzyskał połączenie po szóstym dzwonku.

– Halo?

Milton nie rozpoznał tego głosu.

– Mogę rozmawiać z Aaronem?

– Kto mówi?

Zawahał się.

– Jestem znajomym Aarona. Kim pan jest?

– Detektyw Wilson, wydział dochodzeniowo-śledczy Stoke Newington.

Kto mówi?

– Gdzie jest Aaron?

– Niestety, Aaron został zastrzelony, proszę pana.

– Postrzelony? porządku?

– Nie, Niestety, zastrzelony. Nie żyje. Proszę...

Milton przerwał połączenie i cisnął telefon na fotel pasażera. Nadal paliły się czerwone światła. Poczuł ucisk w żołądku, zimny węzeł strachu. Uderzył dłońmi o kierownicę.

No dalej, dalej, dalej!

Światła się zmieniły i nadepnął na pedał gazu; gdy gwałtownie skręcił w prawo, rozległ się pisk opon. Ruch zmniejszył się trochę i teraz mógł szybciej posuwać się naprzód, zajeżdżając drogę i wymuszając pierwszeństwo na jadących z przeciwka, ilekroć samochód przed nim zwalniał.

Zrozumiał, że coś nie gra, gdy tylko dotarł na osiedle. Pióropusz gęstego dymu wznosił się ku ciemniejszemu niebu. Gdy podjechał bliżej, zobaczył, że pełznący w górę i wyrzucany w niebo w postaci brudnej chmury dym spowija ścianę Blissett House oświetloną reflektorami punktowymi zamontowanymi na rogach budynku. Skręcił na podwórko przed blokiem. Zebrał się tam tłum ludzi wpatrzonych w piąte piętro. Gęsty dym wydobywał się z jednego z mieszkań. Rozległ się trzask szyb w oknie i dymu przybyło. Milton spojrział na jego źródło i spostrzegł pomarańczowoczerwony blask pożaru.

Mieszkanie Sharon.

Pobiegł sprintem przez dziedziniec do klatki schodowej, odepchnął ramieniem skrzydło drzwi i biegł dalej, pokonując po trzy stopnie naraz. Dotarł na piąte piętro i wpadł przez drzwi na łącznik. W grupie osób, które zebrały się na jego końcu, rozpoznał sąsiadów Sharon. Chwycił staruszkę, która mieszkała za ścianą, i odciągnął ją na bok.

– Ona wciąż tam jest? – zapytał.

– Nie widziałam, by wychodziła. Jej chłopca też nie.

Milton puścił jej rękę i pobiegł korytarzem. Temperatura rosła, aż poczuł ścianę gorącego powietrza, które objęło go, utrudniało oddychanie i zaczęło opalać mu brwi. Zdjął kurtkę i owinął ją wokół dłoni, sięgnął do rozgrzanej do czerwoności klamki i otworzył drzwi. Za nimi czekało piekło: wydawało się, że palą się dywany, meble, a nawet ściany i sufit. Płomienie zachodziły na siebie na suficie jak fale. Dym był gęsty i dławiący, a szum zachłannego ognia brzmiał groźnie.

Milton usłyszał jedno, szybko zdławione, wołanie pomoc.

Nałożył kurtkę na głowę i wszedł do pokoju.

Rutherford wyszedł z domu, zamykając drzwi na klucz. Zaczynał się kolejny parny wieczór. W oddali słyhać było dźwięk syren, narastające i cichnące zawodzenie, które wydawało się niemal bezustanne i na pozór dolatywało z kilku stron naraz. Zatrzymał się przy drzwiach swojego samochodu, zdjął kurtkę i rzucił ją na fotel obok kierowcy. Tego wieczoru w powietrzu było coś jeszcze, niemal namacalne napięcie. Nie potrafił tego określić, ale budziło to jego niepokój. W tej części Hackney zawsze wyczuwało się odrobinę zagrożenia, zwłaszcza wieczorem, ale to uczucie było inne. Coś było nie tak.

Milton zadzwonił do niego pięć minut wcześniej. Sprawiał wrażenie zatroskanego. Rutherford ledwie go znał, ale Milton nie należał do osób, które kojarzyły mu się z zatroskaniem. Wyjaśnił, że miał miejsce wypadek i matka Elijaha jest w szpitalu w Homerton. Rutherford zapytał, co dokładnie się stało, ale Milton zignorował pytanie, prosząc, by odnalazł chłopca i jak najszybciej przywiózł go do szpitala. Rutherford jadł właśnie curry kupione na wynos i oglądał film, ale natychmiast odstawił talerz i włożył buty.

Usiadł za kierownicą. Wcześniej zapytał, gdzie mógłby znaleźć Elijaha. Milton odparł, że na pewno nie w domu, a nic więcej nie wie. Nie była to informacja przydatna, ale Rutherford obiecał, że zrobi, co w jego mocy.

Uruchomił silnik, wrzucił bieg i pojechał na zachód.

Na ulicach było więcej dzieciaków niż zwykle, stali w grupach na skrzyżowaniach i przed sklepami. Mieli naciągnięte kaptury, a niektórzy zakrywali twarze szalikami i bandanami.

Włączył radio. O tej porze w Capital FM normalnie puszczałyby muzykę z list przebojów, ale zamiast muzyki był serwis informacyjny. W całym Londynie dochodziło do poważnych zakłóceń, a w Hackney było ponoć szczególnie źle. Rutherford czytał wcześniej w gazetach doniesienia o gangsterze, który zginął od kul, i wydawało się, że protesty w Tottenhamie i Enfield przybrały znacznie większe i groźniejsze rozmiary.

Gdy skręcił z głównej ulicy, z naprzeciwka nadjechał szybko i niepewnie autobus. Rutherford zdążył zauważyć, że nie ma w nim pasażerów. Szyby we wszystkich jego oknach zostały wybite. Rutherford jechał dalej, dopóki nie dotarł do Mare Street; musiał zwolnić i wlekł się, ponieważ zebrany na chodniku tłum zaczął wylewać się na jezdnię. Przed nim motłoch tworzył zwartą masę. Rutherford patrzył w osłupieniu, jak grupa nastolatków rozbiła szybę w zaparkowanym policyjnym radiowozie. Jeden z nich sięgnął do środka z czarnym workiem na śmieci i rozłożył go na tylnym siedzeniu. Zapalił worek i ten natychmiast zajął się ogniem, tapicerka stanęła w płomieniach, a te szybko znowu spływały w dół z sufitu.

Tłum wiwatował radośnie. Szyby, które pozostawiono nietknięte, pociemniały, a potem zaczęły pękać. Ktoś nakazał zadymiarzom się cofnąć i wtedy, jak na zawołanie, eksplodował bak furgonetki. Dziesiątki telefonów komórkowych filmowały tę scenę.

Rutherford widział już takie rzeczy w Bagdadzie, ale przecież to był Londyn!

Znalazł jakąś boczną ulicę i wjechał tyłem na otwarty parking. Ruszył dalej szybkim krokiem. Nie wiedział, gdzie jest Elijah, ale wiedział, jak zareagowaliby nastolatki, gdyby coś takiego działo się w ich najbliższym otoczeniu. Zwabiłoby ich to tak, jak darmowy crack zwabia ćpunów. Jego największą szansą było po prostu podążanie w ślad za chaosem.

Właściciele zamykali sklepy przed czasem, ściągając metalowe żaluzje, by zasłonić drzwi i okna. Ludzie z niepokojem rozglądali się po okolicy.

Rutherford zatrzymał się przy stoisku, przy którym lubił napić się rano kawy.

– Wie pan, co się tu dzieje? – zapytał właściciela.

– Zamieszki – odparł mężczyzna. – Już rozpętało się szaleństwo, a mówią, że będzie jeszcze gorzej. Zamykam.

Obaj odwrócili się i obserwowali, jak jakiś chłopiec, nie więcej niż dwunastoletni, pędzi chodnikiem w ich stronę. Z trudem dźwigał duże pudło przyciśnięte do piersi.

Rutherford szedł dalej. Teraz wszystkie sklepy były już pozamykane.

Na głównej ulicy zgromadził się spory tłum. Czterdziestu lub pięćdziesięciu osobników, z twarzami zasłoniętymi bandanami bądź kapturami, szturmowało zakryte żaluzjami witryny sklepów. Kolejnych dwustu lub trzystu przyglądało się szturmowi, śmiejąc się i wskazując na

to, co oglądali, bliscy przyłączenia się do napastników. Duży kontener na śmieci został wtoczony na środek jezdni, obok przystanku autobusowego, i podpalony. Gdy znajdujące się w kontenerze odpady zajęły się ogniem, wydobył się zeń gęsty czarny dym. Tłum ryczał, gdy młodzi ludzie na zmianę kopali w witrynę Dixons. Szyba była twarda i wytrzymała, ale pod naporem kopniaków zaczęła ustępować. Pojawiła się i powiększała pajęcza sieć pęknięć, szkło powoli wygięło się do wewnątrz.

– Odsuńcie się! – krzyknął jeden z zadymiarzy, trzymający nad głową gaśnicę. Podbiegł do sklepu i rzucił nią w środek szyby. Gdy ta w końcu pękła z chrzęstem szkła, gaśnica wpadła do środka. Tłum rzucił się na zdemolowaną witrynę jak szakale, kopiąc w pozostałe fragmenty szyby i usuwając odłamki dłońmi osłoniętymi rękawami kurtek. Zaczęto wynosić znajdujące się w sklepie telewizory, niektóre wkładano do czekających samochodów, inne wywożono w wózkach na zakupy. Szabrownicy włązili przez witrynę i znikali w sklepie. Inni ruszyli do następnego.

Uwagę Rutherforda przyciągnęła bijatyka u wyjścia z zaułka pięćdziesiąt metrów dalej. Czterech roślących chłopaków otaczało jakiegoś mężczyznę; jego twarz była zakryta T-shirtem, który naciągnęli mu na głowę niczym kaptur, i to, że jest policjantem, można było stwierdzić tylko dzięki mundurowi. Chłopcy ciągnęli go w zaułek, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby go kopnąć lub uderzyć. Kolejny rozwałił płot, żeby zdobyć deski; Rutherford wiedział, do czego zostaną użyte. Zmienił kierunek marszu, by przyspieszywszy kroku, pójść w ich stronę, odpychając blokujących mu drogę.

– Oi! – krzyknął. – Wystarczy. Puśćcie go.

Jeden z chłopców odwrócił się, gotowy bezczelnie odpowiedzieć, ale mina mu zrzędała, gdy zobaczył, z kim ma do czynienia. Rutherford był tęgim mężczyzną, a w oczach miał ogień. Chłopiec zawołał do pozostałych i wszyscy rozplnęli się w tłumie.

Rutherford ściągnął koszulkę z głowy policjanta. Ten miał pewnie dwadzieścia parę lat: nowy rekrut rzucony na głęboką wodę podczas najgwałtowniejszych zamieszek, jakie widziano w Londynie od lat. Z nosa lała mu się krew i Rutherford użył koszulki, żeby wytrzeć najbardziej uwalone nią miejsca na brodzie i szyi.

– Nic ci nie jest, synu?

Mężczyzna miał przerażony wyraz twarzy.

– Jesteśmy bezradni – powiedział napiętym od hysterii głosem. – Oni są jak zwierzęta.

Rutherford chwycił go za ramiona i spojrzał mu prosto w twarz.

– Nie powinieneś tu być – powiedział, rozluźniając paski, którymi była przypięta jego kamizelka ochronna. – Porzuć sprzęt i wracaj. Nie trzeba wiele, żeby zrobiło się jeszcze gorzej. Lincz... Wiesz, co mam na myśli. No... więcej stąd, człowieku.

Tłum porwał Rutherforda w górę ulicy. Coś podobnego widział jedynie podczas zamieszek, które przetoczyły się przez Londyn kilka lat wcześniej. Nigdzie nie było policji i tłum nadal się powiększał. Atmosfera była szalona i wydawało się, że rozruchy nabierają rozmachu, żyją własnym życiem. Szyby pękały i roztrzaskiwały się, odłamki szkła spadały na asfalt pod stopy zadymiarzy. Alarmy były bezradnie, dźwięk syren niknął w ogłuszającym zgiełku tłumu. Na drugim końcu głównej ulicy ktoś podpalił kolejny kontener i pióropusze ciemnego dymu wzbijały się w wieczornym zmroku. Policyjny śmigłowiec krążył nad miastem, unosząc się bezsilnie w powietrzu, smuga światła z jego reflektora sięgała w dół niczym palec głaszczący tę tłuszczę.

Rutherford był wystarczająco wysoki, by rozglądać się ponad tłumem, ale nie widział śladu chłopca. Jakaś nastolatka wpadła na niego, obróciła w lewo i wtedy go zobaczył: z grupką chłopaków, którzy po kolei próbowali sforsować barkiem drzwi kiosku.

– Elijah!

Odwrócił się. Na jego twarzy malowało się radosne podniecenie, ale osłabił je wyraz zawstydzenia, gdy rozpoznał Rutherforda.

– Czego chcesz, człowieku? – zapytał z udawaną brawurą na użytek swoich przyjaciół.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Nie, nie sądzę.

Rutherford wyciągnął rękę i chwycił za poję jego kurtki.

– Musisz pójść ze mną.

– Odwal się ode mnie! – Elijah zobaczył minę Rutherforda i ten nagły gniew osłabł. – Co się stało?

– Chodzi o twoją mamę.

– Co z nią?

– Lepiej chodź ze mną.



Elijah zbladł. Rutherford ruszył z powrotem przez tłum rozwścieczonych zadymiarzy, trzymając go mocno za połą kurtki. Chłopiec nie stawiał oporu.

Rutherford zostawił samochód na parkingu i poprowadził ich do wejścia do szpitala. Jeszcze na terenie zamieszek Elijah spytał, o co chodzi. Rutherford wyjaśnił, że nie wie, że otrzymał wiadomość od Milтона i to wszystko. Podczas jazdy chłopiec milczał i teraz też zachowywał milczenie. Rutherford wyciągnął wielką dłoń i rozluźniwszy palce, objął rękę chłopca tuż nad bicipsem.

Zatrzymał się w recepcji i cichym głosem zapytał o oddział, na którym umieszczono Sharon Warriner. Jedno spojrzenie na nastolatka u boku Rutherforda skłoniło recepcjonistkę do sprawdzenia na izbie przyjęć; po chwili skierowała ich na oddział oparzeń. Szpital był rozległy i źle zorganizowany i potrzebowali dziesięciu minut, by pokonać trasę przez labirynt korytarzy, zanim znaleźli właściwy oddział. Za kontuarem siedziała pielęgniarka.

- Sharon Warriner?
- Jesteście z nią spokrewnieni?
- To jej syn.

Pielęgniarka spojrzała na Elijaha, po jej twarzy przemknął blady uśmiech współczucia.

- Pokój numer osiem.

Szli szybko i w milczeniu, podeszwy ich butów pischwały na wyłożonej linoleum podłodze. Drzwi prowadzące na oddział były zamknięte, tabliczka na nich wskazywała, że odwiedzający powinni skorzystać z interkomu, żeby zgłosić swoje przybycie.

Rutherford się zatrzymał.

- Nic ci nie jest? – zapytał Elijaha.

Chłopiec z trudem przełknął ślinę.

- Nie – odparł drżącym głosem.

– Teraz może to kiepsko wyglądać, ale twoja mama wyzdrowieje. Słyszysz mnie? Nic jej nie będzie.

- Tak...

- I jestem tu, jeśli będziesz mnie potrzebował.

Rutherford nacisnął dzwonek interkomu i otworzył drzwi. Wszedł do środka, nie spuszczając dłoni z ramienia Elijaha, gdy szli w głąb oddziału. Z korytarza można było się dostać do poszczególnych pomieszczeń, a przed drzwiami na końcu stał Milton. Odsunął się, gdy podeszli.

Było to małe pomieszczenie, ledwie mieszczące łóżko oraz tanie i liche meble rozstawione wokół niego. Okno wychodziło na skrawek ogrodu; pośrodku tej przestrzeni porośniętej chwastami stało ozdobne drzewo ze śmieciami usidlonymi w martwych gałęziach. Na łóżku leżała kobieta. Niemal całe ciało miała owinięte bandażami. Skóra z jednej strony jej twarzy była pomarszczona; rozognione bąble i pręgi zaczynały się na skórze głowy i zniekształcały rysy aż po samą szyję. Głowę miała ogoloną, a prawa brew została spalona. Na usta założono jej maskę tlenową, płytkiemu oddechowi towarzyszył delikatny i żalorny szmer. Oczy miała zamknięte.

Rutherford poczuł skurcz w gardle. Ścisnął Elijaha za ramię.

Wydawało się, że twarz chłopca rozpada się w zwolnionym tempie. Malująca się na niej wrogość stopniała, maska przedwczesnej dojrzałości opadła i znowu wyglądał na kogoś, kim rzeczywiście był: piętnastoletnim dzieckiem, dezorientowanym, bezradnym i rozpaczliwie potrzebującym matki. Dłoń Rutherforda zsunęła się z jego ramienia, gdy chłopiec podbiegł do łóżka.

Rutherford cofnął się, by dać Elijahowi trochę przestrzeni, i się odwrócił. Milton stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Jego mina wyrażała mieszane uczucia: troskę o tę kobietę, współczucie dla chłopca i przede wszystkim wyraźny ogień strasznego gniewu. Rutherford świetnie znał to uczucie; jako młody człowiek wpakował się przez nie w kłopoty i nauczył się gasić ów ogień, ilekroć zaczynał migotać i płonąć. Widział, jak tli się teraz w oczach Milтона. Jego dłonie zaciskały się raz po raz, a twarz zastygła w wyrazie żelaznej nieustępliwości. Trudno mu było nad tym zapanować. Nie wyglądało też, by tego pragnął. Gdy Rutherford patrzył w ciemność, która błyskała w tych zimnych, beznamiętnych oczach, czuł obawę.

- Co się stało?
- Podpalenie.
- Wiesz...
- Wiem.

Rutherford ściszył głos jeszcze bardziej i ruchem oczu wskazał na Elijaha.

– Mówiłeś, że jest w tarapatach... Czy to z powodu czegoś, w co był zamieszany?

Milton skinął głową.

– Powiedziałeś o tym policji?

– To zaszło za daleko – odparł Milton obojętnym głosem.

– Więc?

Milton położył dłoń na ręce Rutherforda.

– Musisz mi wyświadczyć przysługę. Zaopiekuj się chłopcem. Miej go na oku, dopilnuj, żeby trenował. Potrzebuje czegoś takiego w życiu, a obaj wiemy, że ma talent.

– A ty?

Milton zignorował pytanie.

– On potrzebuje silnej postaci w swoim życiu. Kogoś, na kogo spojrzy z podziwem. Ja nią nie jestem... i nigdy nie miałem być. Nie potrzebuje takiego wzorca.

– O czym ty mówisz, człowieku?

– To bez znaczenia. Po prostu obiecaj, że będziesz o niego dbał.

– Oczywiście, że będę.

– Dziękuję ci.

Rutherford nie dawał za wygraną.

– A co z tobą?

Z twarzy Milтона nagle znowu zniknęły uczucia. Stała się zimna, beznamiętna i przerażająca.

– Muszę coś zrobić.

– Pozwól mi pomóc.

– Nie w tym.

– Daj spokój, człowieku. Nie wiem, co zamyślasz, ale cokolwiek to jest, pójdzie lepiej, jeśli będziesz miał kogoś, kto cię osłoni.

– Zaopiekuj się chłopcem.

– Będziesz ich ścigał, prawda?

– Zaopiekuj się chłopcem. To w zupełności wystarczy.

Milton wyruszył do Dalston. W radiu mówili, że zamieszki przybierają na sile, a na własne oczy widział, że to prawda: ulice były zapełnione ludźmi, grupy nastolatków zmierzały do centrum Hackney. Na skrzyżowaniu stała dziewczyna w szortach i staniku, z T-shirtem owiniętym na twarzy i środkowymi palcami obu dłoni wystawionymi w kierunku pędzącego obok radiowozu. Sklepowe witryny były rozbite: uszkodzone telewizory porzucano gdzie popadnie, niepotrzebne T-shirty walały się na jezdni zasłanej pustymi pudełkami po grach i telefonach komórkowych. Milton przyglądał się, jak mały chłopiec niosący jedno pudełko został pobity przez dwóch starszych chłopaków, a towar skradziony tym razem jemu. Od czasu do czasu przejeżdżała policyjna furgonetka, ale było ich zadziwiająco mało.

Minął komisariat policji otoczony przez spory tłum; na oczach Milтона ustawieni w gęstej kolejce szabrownicy ruszyli naprzód, po czym wtargnęli do środka przez rozwalone drzwi. Zapalone zostały światła i po paru chwilach przez okna zaczął wydobywać się gęsty dym. Buntownicy znowu się pojawili, niektórzy w policyjnych kamizelkach ochronnych i hełmach. Czy władze na pewno nie zostały zaskoczone? – zastanawiał się Milton, ostrożnie omijając tłum. Nie przeszkadzało mu to. Odwróci uwagę od tego, co zamierzał zrobić.

Główna ulica została w końcu zablokowana przez zgromadzonych ludzi, wybrał więc drogę do studia Biznesa zaułkami, jadąc powoli i omijając z daleka grupki zadymiarzy o twarzach zasłoniętych szalikami i kapturami, transportujących towary, które zagrabili w zdemolowanych sklepach. Przypatrywały mu się grupy osób stłoczonych na skrzyżowaniu. U ich stóp spoczywały kartonowe pudła: konsole, sprzęt odtwarzający i telewizory.

Zaparkował w odległości dwustu metrów od studia i obszedł samochód. Lampka w bagażniku oświetlała jego wnętrze słabym blaskiem; koc leżał na przedmiotach tworzących wyraźne zarysy. Milton rozejrzał się ostrożnie. W pobliżu nie było nikogo, kto by go zobaczył.

Wyjął lateksowe rękawiczki z tekturowego pojemnika i założył je starannie. Znowu zerknął na ulicę i usatysfakcjonowany ściągnął koc. Na

dnie bagażnika leżał obrzyn, a obok półautomatyczny sig sauer kaliber 9 mm. Wyciągnął szmatkę i porządnie wytarł jedną i drugą broń. Sprawdził, czy sig ma pełny magazynek, i wsunął go pod koszulę za pasek dzinsów. Czuł ucisk metalowego przedmiotu na krzyżu. Upchał w kieszeni garść naboí z pudełka leżącego obok strzelby. Wytarł obrzyn szmatką, pieczołowicie usuwając wszystkie odciski palców, i owinął go kocem. Strzelba mierzyła czterdzieści pięć centymetrów od czubka lufy do krawędzi kolby; wsunął ją pod połę kurtki z lufą skierowaną w dół. Miał tuzin naboí do obrzyna i siedemnaście naboí w pistolecie. W sumie dwadzieścia dziewięć. Oby wystarczyło. Wrzucił do kieszeni dwa granaty hukowe i zamknął bagażnik.

Dźwięk alarmów, głośny i wyrazisty, wypełniał powietrze, a od czasu do czasu ich wycie uzupełniał brzęk tłuczonego szkła oraz zgiełk krzyków i pisków zadymiarzy. Policyjne wozy bojowe mknęły w kierunku Hackney Central, a równocześnie dziesiątki nastolatków z szalikami na twarzach biegły w innym kierunku, śmiejąc się i wrzeszcząc.

Milton ruszył w stronę głównej ulicy.

## 49

– Ależ tam wciąż się dzieje! – piał Mouse. – Widziałeś tamtego brata? Właśnie wpakował kubeł na śmieci przez okno Poundlandu.

– Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby plądrować pieprzony Poundland.

Pinky rozmawiał przez telefon.

– W centrum handlowym też się dzieje – poinformował. – Wdarli się przez główne wejście i nigdzie nie ma ochrony ani policji. Nic z tym nie robią. Tam jest Foot Locker. Zresztą co my tutaj robimy? To może poczekać. Chcę sobie sprawić nowe air jordany, człowieku. No dalej, weźmy w tym udział. To tylko pięć minut stąd.

Bizness spojrzał na Pinky'ego. Ten chłopak był niedojrzały. Zapalony i pełen energii, ale jeśli nie wyluzuje, będzie działał mu na nerwy.

– Gorąco tu, człowieku. Nigdy nie otwieracie okien?

– Napij się piwa. Zapal coś. I po prostu, kurwa, przestań mnie wkurzać, dobrze?

Siedzieli w tym pokoju od dwóch godzin i śmierdziało w nim prochami, potem i papierosami. Mouse wyszedł zasięgnąć informacji i wrócił, by donieść, że ciało Popsa zostało znalezione w parku, a mieszkanie matki Elijaha doszczętnie spalone. Bizness się nie martwił. Był ostrożny i nic go nie łączyło z żadnym z tych przestępstw. W takiej sytuacji najlepszym sposobem było nie ruszać się przez kilka godzin z miejsca, dopóki nie minie początkowe zamieszanie. Gdyby policja chciała z nim rozmawiać, to wiedziała, gdzie jest. Zeznaliby, że przez cały dzień przebywał w studiu.

Powiedział sobie, że nie zażyje kokainy, ale czekał już bardzo długo. Mieli jej sporo, a nie było nic innego do roboty. Czuł się podenerwowany, żyła na jego skroni pulsowała raz za razem i ten tik zaczynał go irytować.

Mouse wyciągnął telefon.

– Idę zadzwonić do mojej kobiety.

– Zrób to stąd – rzekł Bizness.

– Tu śmierdzi, człowieku – odparował Mouse. – Przysięgam, że zemdleję, jeśli nie zaczerpnę odrobiny świeżego powietrza. Porozmawiam z nią

trochę, rozejrzę się, zobaczę, co się dzieje na ulicy, a potem wrócę. To nie potrwa długo.



Milton podszedł zwawo do wejścia do studia. Basowy łomot rozbrzmiewał w murach budynku, aż drzwi brzęczały w futrynie. Szybko się im przyjrzał. Gdyby miał na to czas, przygotowałby staranny plan dostania się do środka i załatwienia Biznesa. Znalazłby sposób odwrócenia uwagi, na przykład awarią instalacji elektrycznej. Albo, gdyby miał karabin, mógłby się włamać do budynku naprzeciwko i wystrzelać ich z drugiego piętra. Ulica miała tylko dwadzieścia metrów szerokości i zdołałby to zrobić z zamkniętymi oczami. Odrzucił oba pomysły. Na żaden z nich nie było czasu, a zresztą i tak nie miał ochoty bawić się w subtelności.

Spróbował obrócić klamkę: drzwi były zamknięte. Zrobił krok w tył i szykował się do wyważenia ich kopniakiem, gdy rozległ się trzask zamka, klamka się obróciła i drzwi zostały otwarte. Stał w nich jakiś mężczyzna z zaszokowaną miną i niezapalonym papierosem przyklejonym do wargi. Milton zwolnił uchwyt, żeby koc zsunął się z obrzyna, i uderzył gangstera kolbą w twarz. Ze zmiążdżonego nosa bluznęła krew. Mężczyzna stracił równowagę i zatoczył się do tyłu. Milton ruszył za nim, machając kolbą niczym pałką, której końcem zahaczył o brodę upadającego. Tamten stracił przytomność, zanim osunął się na ziemię.

Nad schodami paliło się światło. Milton wyłączył je. Z góry dobiegł czyjś głos:

– Mouse? Nic ci się nie stało?

Milton obrócił obrzyn w rękach, mierząc w górę. Przeszedł nad leżącym Mouse'em i powoli, krok za krokiem, ruszył po schodach.

– Mouse?

Milton piął się wyżej. Z góry doleciało gniewne pytanie:

– Słyszałeś coś?

– Nie.

– Idź i sprawdź.

– Rozmawia na zewnątrz przez telefon. Nic się nie dzieje, Business.

– W takim razie możesz spokojnie pójść i się upewnić, prawda?

– Pieprzyć to, człowieku, chcę jedynie zajarać i się odprężyć.

– Zejdź tam.

Milton dalej piął się po schodach.

Pomyślał o Aaronie: zastrzelonym w parku jak zwierzę.

Pomyślał o Sharon: oddychającej przez rurkę na szpitalnym łóżku, z opatrunkami na twarzy.

Pomyślał o Elijahu i jego brutalnie krótkiej przyszłości, gdyby pozwolił Biznessowi żyć dalej.

Nie, nie mógł się wycofać. Rozlano zbyt wiele krwi. Zaproponował Biznessowi wyjście, ale raper postanowił odrzucić propozycję. Jego wybór. Zlekceważenie oferty Milтона rodziło konsekwencje, te zaś również zostały mu przedstawione. Nie mógł uczynić nic innego; musiał to zakończyć dziś wieczorem.

Na szczycie schodów pojawił się drugi mężczyzna. Milton go rozpoznał. Nacisnął spust i strzelił mu w pierś, śrut podziurawił go od pępka po szyję. Diler zachwiał się, daremnie sięgając ręką po znajdujący się w kieszeni nóż. Milton odpalił drugą salwę. Gdy mężczyzna zatoczył się z powrotem do pomieszczenia na piętrze i osunął na podłogę, na usta wystąpiła mu piana zmieszanej z krwią śliny.

Muzyka nagle ucichła.

Milton zatrzymał się i przykucnął nisko.

– No dobra! – zawołał Bizness. – To ty, Milton?

Chwycił lufę lewą dłonią, palcem wskazującym prawej dotykał spustu.

– Wiem, że to ty. Nie wiem, co masz do mnie, ale nie jestem uzbrojony. Wejdź na górę. Załatwmy to.

Milton zrobił kolejny krok, potem jeszcze jeden.

– Możemy uregulować tę sprawę. Chodzi o JaJę, prawda? Tak właśnie mówiłeś. Chcesz młodego, człowieku, możesz go mieć. Mały gówniarz nie jest wart wszystkich tych nerwów. Wejdź. Uściśniemy sobie ręce jak ludzie.

Milton był na szczycie schodów.

Zrobił jeden szybki krok i wpadł do pokoju.

Dwa pistolety maszynowe MAC-10 wypluły serie pocisków.

Kule wbiły się z hukiem w kanapę, wyrzucając w powietrze kawałeczki skóry i płatki pożółkłego obicia. Milton wylądował obok stolika i rzucił się do mieszczącego się za nim studia. Kiedy wciągał nogi do środka poza linię ognia, pociski z automatów wbijające się w podłogę i ścianę wzniciły kolejną chmurę pyłu.

Gdy kule wgryzały się w drewnianą futrynę, posypały się drzazgi. Kolejne strzały sprawiły, że szeroka tafla szkła pokryła się pajęczą siecią pęknięć, po czym dziesiątki ostrych jak brzytwa kawałków wpadły do środka. Milton przeczołgał się bokiem do tyłu, tak żeby od ognia dwóch pistoletów maszynowych Biznessa oddzielał go stół mikserski. Upuścił strzelbę. Odszukał po omacku pistolet, wyciągnął siedemnastonabojowy magazynek i sprawdzwszy go, wsunął z powrotem do rękojeści. Wprowadził nabój do komory i trzymał broń przed sobą.

– Co... myślałeś, że można mnie zawstydzić na oczach moich przyjaciół i fanów bez żadnych konsekwencji? Mogłeś spalić mój lokal i na tym koniec, nie żywiłbym urazy, co było, to kurwa było. Musisz być szalony, przychodząc tutaj. Już jesteś martwy.

Nastąpiła chwila spokoju. Nie oznaczało to ciszy... Kawałki gruzu wciąż spadały i tłum za oknem hałasował... ale strzały ustały.

– Rzuciłeś swoją strzelbę – zawołał gangster. – Masz coś innego?

Milton zacisnął zęby.

– Nie masz nic takiego, co ja mam tutaj.

– Dałem ci wybór – odpowiedział Milton. – Wystarczyło, byś zostawił Elijaha w spokoju.

– Widzisz... i znowu to samo, arogancja. Dlaczego myślisz, że możesz mi mówić, co mam robić? Milcz, człowieku.

Znowu padły strzały z MAC-10 i w pomieszczeniu błysnęło, gdy grad pocisków wpadł do kabiny nagraniowej naprzeciw Milтона. Podniósł wzrok i ujrzał błyski z bliźniaczych luf odbite w poszarpanych pozostałościach okna kabiny, zanim przecięły je kule i odłamki szkła opadły na niego. Bizness był za kanapą. Pociski utkwily z głuchym odgłosem w izolacji akustycznej i studio wypełniło się drobnym pyłem i kurzem.

– No dalej. Wyjdź i skończmy z tym. Wiesz, że nie masz wyboru. Co tam ci zostało... dziewiątka? Nie bądź śmieszny. Ja mam dwa MAC-10 i amunicji na miesiąc.

Milton wyprostował grzbiet na ścianie stołu mikserskiego i sięgnął pod połę kurtki. Palcami dotknął gładkiego cylindra. Granat hukowy dobrze układał się w jego dłoni.

– Zabawne, że nawet tego mi nie przypiszą. Między tobą i dwoma moimi chłopakami wywiązała się strzelanina i wszyscy zginęliście. Po mnie nie będzie śladu. Mam kobietę w Camden, zapewni mi alibi na teraz i wcześniej. To wszystko... Zginiesz daremnie, człowieku.

Milton wyciągnął zawleczkę, podniósł rękę w górę i cisnął granat przez rozbite okno do pomieszczenia za kabiną nagraniową.

Gdy fosfor się zapalił, rozległ się syk i nastąpił wybuch bardzo jasnego światła.

Milton wytoczył się przez drzwi, unosząc pistolet, i wystrzelił. Pierwszy strzał chybił, lecz eksplozja granatu zapewniła wystarczająco dużo światła, by ujrzał Biznessa wymachującego rękami tuż po tym, gdy wyskoczył zza kanapy, żeby odpowiedzieć ogniem. Milton szybko wycelował i dwa razy pociągnął za spust. Bizness zatoczył się do tyłu w nagłej różowej mgiele opadającej z podziurawionego gradem pocisków sufitu. Zwalił się na kanapę, która przewróciła się, tak że leżał na plecach z nogami rozłożonymi na pionowych teraz siedziskach. Przyciskał dłoń do piersi. Trafiła w nią kula i spomiędzy palców wypływała pulsująca krew.

Milton widział mnóstwo takich postrzałów. Chłopak był skończony. Żaden lekarz by mu już nie pomógł.

Ruszył z pistoletem wymierzonym w jego głowę.

Bizness dyszał.

– O co chodzi? Czemu to robisz?

Milton odtrącił nogą pistolety maszynowe i przyklęknął u boku Biznessa. Chłopak miał chrapliwy, świszczący oddech. Milton słyszał w uszach dzwonięcie, oczy piekły go od potu. Woń kordytu była drażniąca i trochę się krztusił.

Z ust rapera wyciekła strużka krwi z pęcherzykami powietrza.

– Przyszedłeś tu, żeby uratować JaJę? To wszystko?

– Ze mną będzie mu lepiej niż z tobą.

Z płuc Biznessa znowu wydobył się świst; Milton zdał sobie sprawę, że gangster próbował się zaśmiać. Sięgnął po jedną z poduch, które pospadały z kanapy.

– Powiedz mu to – rzekł raper cichym głosem – a potem sprawdź, jak się będzie czuł za rok, gdy ty spierdolisz, a on będzie pracował na dwunastogodzinne zmiany w Maccy D's, bo tylko tam dadzą mu robotę. – Znowu zaczął dyszeć; coraz trudniej było mu wypowiadać słowa. – Pomyśli o mnie... o życiu, którego dałem mu posmakować... i zapyta: „Dlaczego nie ja? Dlaczego nie mogę mieć tych dobrych rzeczy?”

– Nie.

– Wiesz, że mam rację. Widziałeś to w jego oczach... tak samo jak ja to widziałem.

– Może zapyta. Może nie. Ale zobaczy, że ma wybór. Można iść na skróty lub robić wszystko jak należy. Ty wybrałeś drogę na skróty. Łatwy wybór. Nie wyszedł ci na dobre.

– Pierdol się. Gównu wiesz.

– Wiem, że teraz twoje życie nie wyda mu się już takie atrakcyjne.

Bizness próbował odpowiedzieć, ale tylko wykaszłał krew.

Milton wziął poduszkę i przyłożył ją raperowi do głowy. Trzymając dłonie po obu stronach, przycisnął poduszkę. Chłopak walczył, ale Milton przygwoździł mu ręce kolanami. Tamten wierzył bezsilnie, aż wierzgnięcia stały się coraz rzadsze i przeszły w drgawki.

Po chwili i drgawki ustały.

Milton delikatnie zmniejszył nacisk i zakrwawiona poduszka zsunęła się na bok. Miał krew na spodniach i lateksowych rękawiczkach. Podniósł wzrok i nagle sobie uświadomił, że w pokoju znajduje się jeszcze jedna osoba. Patrzył w oczy nastolatka, rówieśnika Elijaha. Chłopiec był wysoki i chudy, brodę przyciskał mocno do piersi, widać było tylko jego oczy. Trwało to chwilę, potem jednak go rozpoznał: to on groził mu w parku tamtego pierwszego wieczoru w Hackney. Teraz stał w kącie, przyklejony do ściany. W drżącej dłoni trzymał pistolet Makarowa. Broń zwisała luźno z jego palców, skierowana lufą w dół. Chłopak wyglądał na przerażonego.

Milton przez chwilę był na powrót we Francji, na tamtej drodze w górach.

Wstał, przeszedł na drugi koniec pokoju i wyciągnął rękę po pistolet. Chłopiec wypuścił broń bez słowa. Milton odnalazł zużyte łuski strzelby i schował je do kieszeni. Podniósł obrzyna i włożył go razem z sig sauerem i makarowem do podręcznej torby, którą znalazł w komodzie. Chłopiec wodził za nim bojaźliwie okrągłymi oczami, ale nie ruszał się z miejsca pod ścianą. Milton po raz ostatni sprawdził, czy na pewno nic nie zostawił, usatysfakcjonowany zamknął drzwi i zszedł po schodach na pogrążoną w chaosie ulicę.

**CZĘŚĆ V**  
**GRUPA PIĘTNASTA**

Callan siedział w swoim samochodzie. Zaparkował po przeciwnej stronie jezdni naprzeciwko sali parafialnej. Ulica była dziwnie cicha. Tuż przed nim stał poobijany mikrobus, namalowany od szablonu napis na brudnej karoserii reklamował siłownię w Camden. Agent przyglądał się, jak grupa nastolatków, różniących się wzrostem i wiekiem, wysiada z mikrobusu i wchodzi gęsiego do sali. Wszyscy nieśli sportowe torby. Miejscowi chłopcy pojawili się w ciągu niespełna trzydziestu minut, wszyscy podobnie wyekwipowani. Samochód Milтона stał pięćdziesiąt metrów dalej; Callan podążał za sygnałem nadajnika z drugiego końca Londynu. Nie widział Milтона i zakładał, że jest w środku.

Cicho zadzwonił jego telefon.

– Mam dla ciebie rozkazy.

Callan rozpoznał głos Nadzorcy.

– Tak jest, szefie.

– Wiesz, gdzie przebywa Numer Jeden?

– Na East Endzie. Obserwuję go teraz. Co mam zrobić?

– Komitet przeanalizował twój raport. Postanowiono, że Numer Jeden stwarza ryzyko, którego nie możemy podjąć. Jego zachowania, prawdopodobna choroba psychiczna... Stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Zdecydowaliśmy, że trzeba go zlikwidować.

Callan zachował spokój i surowość w głosie.

– Tak jest, szefie. Kiedy?

– Szybko.

– Dziś wieczorem powinna nadarzyć się możliwość.

– Bardzo dobrze. Daj mi znać, gdy to załatwisz.

Połączenie zostało przerwane.

Callan wsunął telefon z powrotem do kieszeni. Wolałby mieć trochę więcej czasu na zaplanowanie takiej operacji, zwłaszcza przeciwko celowi tej rangi, ale nie uważał tego za przeszkodę, która musi go powstrzymać. Numer Jeden nie miał pojęcia, że ma być zlikwidowany. Atutem Callana był element zaskoczenia i niczego więcej nie potrzebował.

Otworzył drzwi samochodu, podszedł do bagażnika i go otworzył. Podniósł klapę w podłodze i powiódł wzrokiem po broni ułożonej w równym rzędzie. Sięgnął w dół i pogładził palcami zimną, metalową kolbę strzelby. Przełożył pas na naboje przez ramię i wypełnił nimi ładownice. Nie sądził, by potrzebował więcej niż dwóch, które już były załadowane, ale nie zaszkodziło być przezornym. Zamknął bagażnik na klucz i znowu wsiadł do auta. Musiał jedynie poczekać na odpowiedni moment.



Milton stał z Rutherfordem obok ringu, obserwowali walkę. Elijah toczył ją z jednym z chłopaków z klubu z Tottenhamu. Stanowili dobraną parę: tamten był o rok starszy i trochę wyższy, ale Elijah walczył szybciej, a jego ciosy były czystsze, miał wrodzony talent, którego nie można było nauczyć.

– Chłopak dobrze sobie radzi – rzekł Rutherford, nie odrywając oczu od ringu. – Trafia każdym ciosem. Jeśli go nie znokautuje, z łatwością wygra na punkty.

Milton uważał, że to pewnie racja, ale nadal się denerwował. Przy każdym ciosie walczących jego pięści lekko drżały i zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, gdy ten drugi chłopak wchodził w zwarcie i kłinczował. Elijah starał się wyswobodzić z jego objęć, jednak chłopak z Tottenhamu był mocny. Sędzia wydał komendę „break”, ale zanim zdołał ich rozdzielić, przeciwnik Elijaha uwolnił prawą rękę i dwa razy uderzył go w krocze.

Zabrział gong.

Elijah wypluł ochraniacz na zęby i krzyknął:

– Uderzyłeś poniżej pasa!

– Tak? – odkrzyknął tamten z drugiego końca ringu. – I co zamierzasz z tym zrobić, Hackney?

Rutherford wszedł na ring i zawołał:

– Elijah!

– Zamierzam cię załatwić!

Rutherford wyciągnął swoją długą rękę, chwycił Elijaha za koszulkę i zaciągnął do narożnika.

– Oddychaj głęboko.

– Walnął mnie w jaja!

Rutherford ułożył wielkie dłonie na ramionach chłopaka i odwrócił go ku sobie.

– Owszem, a ty najwyraźniej tracisz panowanie nad sobą. Ten chłopak prawdopodobnie nie jest w stanie odeprzeć twoich ataków i pewnie go znokautujesz. Ale takie uleganie emocjom może ci wejść w nawyk i w

końcu natrafisz na boksera na tyle dobrego, by cię mocno wkurzył i to wykorzystał. Jesteś wystarczająco dobry, by zejść daleko, może nawet zajmować się tym zawodowo. Powinieneś się wystrzegać złych nawyków, które przysporzą ci kłopotów w walce naprawdę ważnej... na przykład dla twojej przyszłości. Słyszysz, co mówię?

Elijah spojrzał gniewnie pod nogi.

–Taa.

– A zatem... rozumiesz, dlaczego uderzył poniżej pasa?

– Dlatego, że jestem od niego lepszy.

– Zgadza się, młody. Lepszy od niego. I o wiele lepszy, niż on kiedykolwiek będzie. Czeka cię jeszcze jedna runda, OK? Pozwolę ci wyjść, a ty wrócisz na środek ringu i dotkniesz jego rękawic, jakbyś go szanował, chociaż wiemy, że tak nie jest, a potem będziesz z nim walczył. Zachowaj zimną krew, trzymaj się planu, który uzgodniliśmy, i czekaj na dogodną sposobność. Kiedy ci ją stworzy, wtedy go ukarzesz za to, że uderzył poniżej pasa... rozumiesz?

– Taa.

– No to w porządku. – Rutherford wepchnął Elijahowi ochraniacz z powrotem do ust i puścił jego ramię. – Dotknij jego rękawic i bierz się do roboty.

Dźwięk gongu zasygnalizował początek trzeciej rundy i chłopcy znowu spotkali się na środku ringu. Stuknęli się rękawicami i odskoczyli od siebie. Elijah robił dokładnie to, co zalecił Rutherford: trzymał przeciwnika na dystans, kłując go prostymi, ilekroć próbował podejść zbyt blisko. Starszy chłopak starał się na niego rzucić, ale Elijah uskakiwał, bijąc lewymi i prawymi prostymi w policzki i skronie atakującego, gdy ten chybiał, nie wyrządzając żadnej szkody. Gdy do końca zostało kilka sekund, cofnął się i opuścił gardę, wskazując niezdarnym dotknięciem rękawicy swój podbródek. „Popisuje się”, pomyślał Milton, a na jego twarzy odmalował się szeroki uśmiech. Na widok tej prowokacji rywal rzucił przekleństwo, zniekształcone przez ochraniacz w ustach, i znowu rzucił się na Elijaha. Ten zrobił krok w bok, obrócił się na prawej stopie i mocnym prawym hakiem uderzył go w brzuch. Bokser z Tottenhamu natychmiast stracił impet i gdy opuścił gardę, by zasłonić piekące z bólu żebra, Elijah wyprowadził potężny lewy hak, po którym przeciwnik zatoczył się do tyłu i potknąwszy się komicznie, wylądował na tyłku.

Zabrzmiał gong i walka dobiegła końca.

„Moja krew”, pomyślał Milton, zanim zdał sobie z tego sprawę.

Elijah uklonił się sędziemu i przybił żółwika z Rutherfordem. Skierował spojrzenie na Milтона, ale szybko odwrócił wzrok. Milton pokiwał głową. Niech będzie, stwierdził w myślach. Chłopiec nie wiedział, co się wcześniej stało, a jeśli o niego chodziło, to przyłapał go w łóżku ze swoją matką. Biorąc wszystko pod uwagę, Milton nie zasługiwał na jego zaufanie.

Od zamieszek upłynął tydzień. Milton spędzał większość czasu z Elijahem w szpitalu. Stan Sharon ustabilizował się do tego stopnia, że lekarze chcieli już planować przeszczepy skóry w miejsce uszkodzonych fragmentów twarzy i innych części ciała. Elijah nie chciał opuszczać matki, więc Milton załatwił mu łóżko w apartamencie, który trzymano dla krewnych pacjentów. Dopilnował, żeby chłopak jadł, i robił wszystko, co mógł, by go zapewnić, że Sharon wyzdrowieje, chociaż część informacji zatrzymał dla siebie. Lekarze byli pewni, że potrafią pomóc, ale ich zdaniem Sharon doznała paskudnych poparzeń i już zawsze będzie poważnie okaleczona. Szóstego dnia przeniesiono ją na oddział ogólny i Milton poczuł większą pewność, że sytuacja się poprawia.

Rozprawivszy się z Biznessem, wrócił do szpitala. Rutherfordowi nic na ten temat nie powiedział, ale nie musiał. Informacja o strzelaninie w studiu pojawiła się tamtego wieczoru w wiadomościach, zagłuszona zgiełkiem zamieszek, ale gdy na ulicach znowu zapanował spokój, zawędrowała na czołówki serwisów informacyjnych. Bizness, czyli Israel Brown, został zamordowany przez nieznaną osobę lub osoby. Zastrzelony został również jeden z jego współpracowników, a drugi trafił do szpitala. Sprawę szybko uznano za porachunki gangsterskie, które przerodziły się w jatkę. Wyszło na jaw, że Bizness miał wielu wrogów, a niewielu przyjaciół. Jakoś nikt się nie skarżył, że będzie mu brakowało rapera.

Milton był gotów znaleźć sobie jakiś hotel, ale Rutherford stwierdził, że nie ma takiej potrzeby: może zatrzymać się u niego. W końcu Milton się zgodził. Była długa lista rzeczy do zrobienia, by sala lepiej nadawała się do klubowej działalności, a nocując w pobliżu, mógł dłużej pracować. Rutherford miał mały dom z dwiema sypialniami, ta druga służyła mu za biuro, z którego kierował klubem. Stała tam wersalka, a po przesunięciu biurka pod ścianę znalazło się dość miejsca dla Milтона i kilku rzeczy, które ocalił z wynajmowanego lokum. Podczas rozmowy o Elijahu Rutherford obiecał, że gdy chłopiec będzie gotów opuścić szpital, także pozwoli mu się u niego zatrzymać. Milton wątpił, czy starczy miejsca dla

całej ich trójki, ale wiedział, że to nie problem: sam nie zamierzał zostawać na dłużej.

Szybko przystosował się do codziennych zajęć: wstawał wcześniej, o wpół do szóstej, i szedł pobiegać. Pracował do ósmej, a potem, wzięwszy prysznic w klubie, jechał do szpitala zobaczyć się z Elijahem i Sharon. Po godzinie wracał do Hackney i pracował do piątej, przerywając jedynie po to, by kupić lunch w pasażu z knajpkami na końcu ulicy. Wracał do szpitala na drugą wizytę i zostawał do zakończenia czasu odwiedzin, pracował do dziewiątej lub dziesiątej i wreszcie wracał do domu na jakiś posiłek. Rutherford zazwyczaj oglądał telewizję i Milton dołączał do niego na pół godziny, zanim udał się na spoczynek.

To było duże obciążenie, ale przynajmniej mógł sporo zrobić. Porządnie naprawił dach, uzupełniając dachówki. Wyczyścił sprzęt, szorując brezent na obu ringach, dopóki niemal całkowicie nie usunął plam udeptanych przez lata użytkowania. Pobielił ściany i naprawił uszkodzoną armaturę w toaletach.

Walka Elijaha z chłopakiem z Tottenhamu zakończyła się kilka godzin wcześniej i teraz, gdy już odeszła niewielka grupa widzów i trenerów, Milton bardzo chciał zabrać się do pracy.

Podszedł do niego Rutherford.

– Idziesz?

– Za parę godzin. Chcę skończyć montować gniazdka. – Najważniejszym zadaniem, jakie zostało do wykonania, była wymiana instalacji elektrycznej, ale zaczął już robotę i chciał ją posunąć do przodu.

– Za ciężko pracujesz.

– Dzięki temu szybciej skończę.

– Nadal nie jestem pewien, dlaczego jesteś tak uczynny.

– Miło jest pomagać – odparł Milton. – Do zobaczenia.

– No dobra. – Rutherford poklepał Milтона podlecach.

Poszedł po kurtkę. Milton miał właśnie zabrać narzędzia z biura, gdy stanął przed nim Elijah.

– Cześć – powiedział z lekkim zakłopotaniem.

– W porządku, chłopcze?

– Dzięki, że przyszedłeś.

– Żartujesz sobie? Bardzo mi się podobało. Mówiłem, że jesteś do tego stworzony, prawda?

Elijah się zawahał.

– Nigdy nie podziękowałem.

Milton uśmiechnął się do niego.

– Nie ma potrzeby.

– To było... no wiesz...

– Nie musisz nic mówić. Ja też nie poradziłem sobie ze wszystkim najlepiej. Czasem tak właśnie bywa.

Elijah usiłował znaleźć odpowiednie słowa.

– Po prostu... nie chcę, żebyś myślał, że jestem niewdzięczny, to wszystko.

– Dobrze się spisałeś. Ta walka, dziś wieczorem, to, jak sobie z nim poradziłeś... Zapewniam cię: to było coś. Znam się trochę na boksie i gdy Rutherford twierdzi, że masz potencjał, to ma sporo racji. Pracuj dalej ciężko i trzymaj się z dala od ulicy, a masz szansę zrobić nimi coś użytecznego. – Poklepał dłonie chłopca. – Ten twój lewy – westchnął teatralnie – to naprawdę wyjątkowa broń. Nie chciałbym zostać nim trafiony. Twoja matka będzie z ciebie dumna, gdy zobaczy, co robisz.

Na wzmiankę o Sharon zamilkł.

– Wiesz, że dojdzie do siebie – rzekł po chwili.

Chłopak patrzył na niego.

– Czemu nam pomogłeś? Nigdy nie wyjaśniłeś. – W oczach miał łzy.

Milton nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– JaJa! – zawołał Rutherford. We trójkę byli ostatnimi osobami w sali. – Mam ochotę na curry. Idziesz?

Elijah nie odrywał oczu od twarzy Miltona.

Teraz to on z kolei był skonsternowany.

– Czy musi być jakiś powód?

Elijah wahał się przez chwilę, po czym wyciągnął rękę. Milton uściskał mu dłoń i trzymał ją przez moment.

– Do zobaczenia – rzekł chłopak. Podświadomie otarł wilgotne oczy grzbietem dłoni. – Kupujemy curry na wynos. Na co masz ochotę?

– Ty wybierz. Nie jestem wybredny.

– Lubisz na ostro?

– Niezupełnie.

Elijah uśmiechnął się szeroko.

– Mięczak.

Milton przyglądał się, jak chłopiec wychodzi z Rutherfordem. Zamknęli za sobą drzwi. Milton ruszył w głąb sali do małego biura. Stało tam biurko,

szafa na dokumenty i podniszczona skórzana kanapa. Wziął torbę z narzędziami i podszedł do gniazdka, które instalował. Kolacja w ich towarzystwie wydawała się dobrym pomysłem. Zamierzał wyjechać następnego dnia i byłoby miło spędzić z nimi ostatni wieczór.

Rutherford i Elijah szli wzdłuż parku. Chłopiec chciał jedynie przeanalizować stoczoną wcześniej walkę, bezustannie więc pytał trenera o zdanie i sugestie, jak ma wyeliminować błędy. Ten uśmiechał się na tę całą ekscytację. Widział, że ten wieczór był dla niego ucieczką, rozrywką, dzięki której nie musiał myśleć o matce ani o meczu ostatnich kilku dni. Był zwawym, zaangażowanym chłopcem i w jego entuzjazmie Rutherford dostrzegał, jak maska przedwczesnej dojrzałości, którą obdarzyła go ulica, szybko opada. Zobaczył go takim, jaki był: miłego piętnastolatka odczuwającego zwyczajną niepewność i zwyczajną potrzebę zachęty i akceptacji. Bywał trochę przemądrzały, ale który chłopiec w jego wieku odznaczał się skromnością? Rutherford pamiętał, że kiedyś sam był znacznie gorszy.

– Niech to szlag – mruknął Rutherford.

– Co się stało?

– Włączyłem alarm. Milton uruchomi go, gdy otworzy drzwi.

– Mam pobiec z powrotem i mu powiedzieć?

– Lepiej sam to zrobię. Nie ma potrzeby, byś też szedł. – Rutherford wręczył chłopcu pęk kluczy i wskazał palcem. – Jesteśmy prawie na miejscu. Znasz mój dom? Ostatni po lewej. Wejdz i się rozgość. Jedzenie na wynos kupię, gdy będę wracał... Na co masz ochotę?

– Curry – odparł Elijah. – Milton też. Dla niego korma z kurczaka. Dla mnie wołowina po madrasku.

– W takim razie dwie kormy z kurczaka i wołowina po madrasku. W salonie są płyty DVD... Nastaw coś, jeśli chcesz. No zmykaj, wejdz do środka. Nie kręć się przed domem, słyszysz? Tutaj nadal nie jest bezpiecznie.

Rutherford zaczekał, aż Elijah przeszedł na drugą stronę ulicy i znalazł się pod wejściem do jego domu. Drzwi otworzyły się i chłopak zniknął za progiem. Zadowolony Rutherford odwrócił się na pięcie i wrócił do sali parafialnej.

Milton odłożył śrubokręt i skupił się na różnych dolegliwościach i zmęczeniu, które odczuwał w całym ciele, nawet w kościach. W stawach pulsował tępy ból, mięśnie miał sztywne. Nie było sensu udawać; posuwał się w latach. Był stary i zeszywniały.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że przede wszystkim potrzebuje snu.

Przykręcał osłonę nowego gniazdka, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Czekał, zastanawiając się, czy się nie przesłyszał, ale pukanie się powtórzyło. Trzy razy, dość mocne, natarczywe. Wstał. Jego wzrok padł na pistolet wiszący w kaburze na oparciu stojącego w pobliżu krzesła. Nie potrzebował go. Za drzwiami był Rutherford, w najgorszym razie wałęsające się po okolicy dzieciaki. Rzucił go za ring.

Przeszedł do wejścia, odblokował zamek i pociągnął drzwi.

Nie rozpoznał mężczyzny za progiem.

Ten podniósł broń i wycelował ją prosto w jego pierś.

– Cofnij się – rozkazał.

Trzymał w dłoni sig sauera kaliber 9 mm, takiego samego jak jego własny.

– W samą porę – rzekł Milton.

– Do środka.

– Przysłał cię Nadzorca?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Chyba nie widziałem cię wcześniej. Kim jesteś? Numerem Jedenaście? Dwanaście?

– Dwanaście – odparł intruz. Lufa była wymierzona w serce Milтона, nieruchoma w pewnej ręce, a twarz mężczyzny pozbawiona wyrazu i nieodgadniona. Odwoływanie się do lepszej strony jego natury nie miałoby sensu. Na pewno nie miał lepszej strony. Wszedł za nim do sali i zamknął stopą drzwi. Milton ocenił agenta. Z szerokimi ramionami i smukłym tułowiem wyglądał jak atleta. Jego oczy patrzyły zimno spod jasnych rzęs.

– O co chodzi?



– Jesteś uzbrojony? – zapytał Numer Dwanaście bezbarwnym głosem.

– Nie.

– Podciągnij koszulę.

Milton wykonał polecenie.

– Odwróć się.

Odwrócił się.

– Gdzie go masz?

– W samochodzie.

– Jest tu ktoś jeszcze?

– Nie. Tylko ja. Może mi powiesz, o co chodzi?

Znowu nie doczekał się odpowiedzi. Oceniał sytuację. Czy mógł w jakiś sposób zdekoncentrować przeciwnika? Wytrącić go z równowagi? Wiedział, że niestety nie. Numer Dwanaście oraz wszyscy inni młodzi agenci w Grupie Piętnastej byli okrutnie wręcz profesjonalni. Milton wiedział, jak dobrze został wyszkolony – przecież Dwanaście przeszedł pewnie identyczny program jak on – i był w stanie przewidzieć wszystkie możliwe zmienne. Po pierwsze, ocenił zagrożenie, jakie stanowił Milton: znaczące, ale w obecnej sytuacji ograniczone. Po drugie, potwierdził, że otoczenie nadaje się do eliminacji: idealnie. Skoro ta ocena wypadła zadowalająco, wykona otrzymane rozkazy. Szybko i sprawnie. Milton pomyślał, że zostało mu kilka sekund. Minuta, jeśli szczęście mu dopisze i zdoła coś zrobić.

Nie podda się bez walki. Jeśli istnieje jakaś szansa, choćby pół szansy, wykorzysta ją. Sam przeanalizował sytuację. Od Numeru Dwanaście dzieliły go niespełna dwa metry. Kolejna oznaka, że agent zna się na rzeczy; za mało, by ewentualnie spudłował, ale dość, by przeciwnik nie mógł skutecznie zaatakować. Milton badał własne ciało, swoją postawę, napinając mięśnie i oceniając, jak szybko zdoła się ruszyć. Pozycja stóp. Ustawienie bioder, ramion. Będzie musiał działać zdecydowanie, ale wiedział, że i tak ma nikłe szanse. Z pewnością zostanie postrzelony, zanim zdąży dopaść agenta, ale nawet jeśli nie, nie sądził, by miał z nim szanse w walce wręcz. Numer Dwanaście był młodszy, jego mięśnie były bardziej sprężyste, mniej uszkodzone i mniej okaleczone niż mięśnie Milтона.

– Przysłał cię Nadzorca? – zapytał znowu, szukając jakiejś słabości, jakiegoś konwersacyjnego manewru, którym mógłby wywołać wahanie, a potem wątpliwość.

Cisza. Zrobił krok w głąb sali. Pistolet nie drgnął.

– Nie ufa mi?

Cisza.

– Daj spokój, Dwanaście. Należy mi się jakieś wyjaśnienie.

Agent wreszcie odpowiedział na pytanie.

– Chodzi o twoje zdrowie psychiczne.

– Nie bądź śmieszny.

Spojrzenie agenta pobiegło w lewo i w prawo, obejmując najbliższe otoczenie i szukając zagrożeń.

– Rozejrzyj się! Kim teraz jesteś, złotą rączką?

Milton zignorował pytanie.

– Wcześniej może miało znaczenie, ale nie teraz. Sześć lat naszej roboty wystarczy, by człowiek znienawidził świat. Nie będę tego więcej robił. Skończyłem... Niczego nie byłem bardziej pewien w swoim życiu.

Numer Dwanaście z powrotem skierował wzrok na Milтона.

– Kiedyś cię podziwiałem – powiedział. Na jego alabastrowej twarzy na chwilę pojawił się okrutny uśmiech. – Byłeś legendą. Ale to było kiedyś, prawda? Zanim stało się z tobą to, co się stało.

– Tak właśnie myśli Nadzorca? Że oszalałem?

– Śledzę cię. Przeprowadzka do tamtej nory kilka domów stąd. Ta kobieta, z którą się widzisz. I udział w tych spotkaniach. Teraz, gdy zostałeś wtajemniczony we wszystkie informacje wywiadowcze, mówisz, że jesteś alkoholikiem? Kurwa, po tym, co się wydarzyło we Francji, co miał sobie pomyśleć? Jak mógłby to tak zostawić? Zostałeś uznany za zagrożenie dla bezpieczeństwa. „Priorytet, przeznaczony do likwidacji”. Czego innego się spodziewałeś? Nie może pozwolić, byś tak się prowadził, prawda? Jesteś kulą u nogi.

Milton próbował wymyślić coś, co mogłoby odwieść agenta od wykonania misji, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

– Nie ma takiej potrzeby – rzekł bezradnie.

– W końcu wszystkich nas to czeka. I nie będę kłamał... To się przyczyni do mojego sukcesu. To właśnie ja mogę zakończyć twoją karierę.

Ktoś nacisnął na klamkę w drzwiach za nimi. Milton dostrzegł to pierwszy, zyskując parosekundową przewagę, którą jego ciało wykorzystało na przygotowanie się do nagłego działania. Numer Dwanaście też to usłyszał i nie przestając mierzyć z pistoletu, zrobił krok w bok, a potem wykonał ćwierćobrót, dzięki któremu widział zarówno Milтона, jak i wejście do klubu. Drzwi otworzyły się do środka.

Stał w nich Rutherford.

Och, nie...

Ostrzeżenie uwięzło Miltonowi w krtani, stłumione na widok nieruchomego pistoletu.

– Zapomniałem powiedzieć ci o alarmie... – zaczął Rutherford i zamilkł, gdy zauważył napięcie w postawie Milтона. Jego twarz zmarszczyła się w wyrazie zakłopotania, gdy spojrział w prawo na agenta, po czym, gdy ujrzał pistolet, zakłopotanie przemieniło się w niepokój.

– Wejdź do środka i zamknij drzwi – polecił mu Numer Dwanaście tym samym zimnym, beznamiętnym głosem.

Milton wiedział, że Rutherfordowi zostało kilka sekund życia. Był świadkiem, a świadkowie nie wchodzili w rachubę. Musiał działać, natychmiast, lecz pistolet pozostał na swoim miejscu, jakby spoczywał w dłoni posągu, wycelowany nieugięcie w jego serce. Rutherford wykonał polecenie: wszedł do sali i pchnął za sobą drzwi. Zamknęły się z mocnym trzaskiem.

– Nie musisz go zabijać – powiedział, rozpaczliwie starając się sprowadzić agenta z kursu, który ten zapewne ustalił w chwili, gdy Rutherford położył dłoń na klamce. – On nie wie, kim jesteś. Nie wie, kim jestem ja. Puść go. Możemy to załatwić między sobą.

– I załatwimy – odparł Numer Dwanaście i wycelował w Rutherforda.

Wykonując jeden gwałtowny półobrót, Milton rzucił się na agenta.

Pistolet wystrzelił raz, po czym znowu powędrował w kierunku Milтона.

Numer Dwanaście miał niewiarygodnie szybki refleks i rozległ się drugi – już niemierzony – strzał.

Kula trafiła Milтона w ramię, poczuł ostry jak brzytwa ból. Zlekceważył to, odciął się od receptorów bólowych i chwycił przeciwnika w pasie. Zrobił to z takim impetem, że agent zatoczył się do tyłu i obaj uderzyli w ścianę. Numer Dwanaście próbował zdzielić go kolbą pistoletu, ale Milton zablokował niezdarny cios ręką i broń upadła na posadzkę. Runęli na ziemię, Milton wylądował na górze i uderzył agenta łokciem w twarz. Poczuł, jak kości jego nosa łamią się i pękają, po bladej skórze natychmiast spłynęła krew. Milton odtoczył się i usiłował sięgnąć po pistolet. Zamknął na nim dłoń w momencie, gdy Dwanaście, z wykrzywią z wściekłości twarzą, poderwał się na nogi.

– Nie – rzucił Milton. Ból od postrzału spływał po nim przyprawiającymi o mdłości falami, ale zdołał wycelować.

Numer Dwanaście znieruchomiał. Krew płynęła mu ze złamanego nosa. Oczy błyskały gniewem.

Milton powoli wstał. Miał wrażenie, że kula zmiażdżyła mu lewe ramię, ręka zwisała bezużytecznie. Był zamroczony bólem. Z doświadczenia wiedział, że będzie coraz gorzej. Trzymał się dzięki adrenalinie, ból go jednak w końcu przytłoczy. Miał przewagę, ale niebawem ją straci.

– Odłóż broń – rozkazał Numer Dwanaście.

Milton spojrział na drugi koniec sali. Ciało Rutherforda leżało na posadzce. Strzał agenta trafił go w czoło. Rutherford wylądował bezładnie, z rozłożonymi rękami. Nie ruszał się. Nie było dla niego nadziei.

Milton mocniej zacisnął dłoń na rękojeści. Poczuł dawny, znajomy odruchowy gniew. Palec spoczął na spuście.

– Odłóż to – rzekł spokojnie Numer Dwanaście.

Milton starał się zignorować ból. Agent trochę się zgarbił, rozkładając ciężar ciała na obie nogi. Widział, że Milton jest ranny. Zauważył pewnie,

że lufa pistoletu powoli się opuszcza. Będzie dokonywał tych samych kalkulacji, które chwilę wcześniej przeprowadzał Milton. Odległość między nimi. To, jak szybko mógłby ją pokonać. Ryzyko, że strzał go zatrzyma, zanim zdoła dotrzeć do swojego celu. Milton wiedział, że jego osłabienie jest oczywiste i że Dwanaście zdoła je wyczuć tak, jak rekin wyczuwa krew.

Milton walczył z gniewem i bólem.

– Nie zamierzam cię zabić – powiedział cichym głosem. – Skończyłem z tym. Chyba że nie będę miał wyboru. I jeśli będziesz rozsądny, nie przyprzesz mnie do muru.

– W porządku – odparł Dwanaście, pokazując mu otwarte dłonie, żeby go uspokoić. – Będę rozsądny. Wyluzuj.

– Nie mam zamiaru cię zabić, ale wiesz, że nie mogę pozwolić, byś mnie śledził.

Milton usztywnił rękę, wymierzył trochę niżej i pociągnął za spust.

Kula trafiła agenta w prawe kolano. Wykrzywił twarz z bólu i cofnął się.

Milton zbliżył się do niego i podciął mu zdrową nogę. Numer Dwanaście upadł. Milton wycofał się, osłaniając swój odwrót bronią, dopóki nie dotarł do drzwi.

– Powiedz Nadzorcy, żeby mnie nie szukał.

– Nie ustąpi – wykrztusił mimo bólu.

– Powiedz mu, że się wycofałem.

Agent chrząknął i Milton zdał sobie sprawę, że to miał być śmiech.

– My nigdy się nie wycofujemy.

– Ja tak. Powiedz, że jeśli kogoś za mną wyśle, odeślę go w trumnie. A potem doprowadzę do jego upadku.

Jeszcze raz spojrział na nieruchome ciało Rutherforda, a potem, przez maskę bólu, na Numer Dwanaście. Wepchnął pistolet za pasek dzinsów i wyciągnął poły koszuli, żeby go zasłonić. Ból osiągał apogeum.

Musiał ruszać.

I to natychmiast.

Otworzył drzwi i przebiegł na drugą stronę ulicy w stronę nieoświetlonej części parku. Przeszedł przez otwartą bramę i kroczył dalej, aż ogarnęła go ciemność.

.

Dom był pusty. Milton włamał się przez wyjście do ogrodu; wybił szybę pięścią i otworzył drzwi od środka. Była to jedna z najdroższych ulic w sąsiedztwie, długa, łukowata, ślepa droga naprzeciwko zacisznego trawiastego terenu sąsiadującego z głównym obszarem parku. O miejsce na jezdni rywalizowały kosztowne SUV-y i samochody z napędem na cztery koła. Za ogrodzonymi ogródkami stały okazałe domy z szerokimi wykuszowymi oknami i dużymi drzwiami.

Zaczęło mu się robić słabo, gdy szedł przez trawnik. Ból stał się tępy i słabszy; wiedział, że to niebezpiecznie złudne wrażenie. Nadal uciskał dłonią ramię, ale krwawienie nie ustawało. Na chirurgii polowej znał się wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że kula tkwiąca w ciele bywa czasami błogosławieństwem, ponieważ zatyka ranę wlotową do czasu, aż można ją będzie ostrożnie wyjąć i zatamować krwotok. On nie miał tyle szczęścia. Ta kula uszkodziła żyłę i krew cały czas sączyła się z rany, wsiąkając w tkaninę koszuli.

W apteczce w szafce łazienkowej znalazł opakowanie ibuprofenu. Wytrząsnął trzy tabletki i połknął je bez popijania, a potem rozłożył narzędzia na kuchennym stole. Umieścił przed krzesłem nastawne lusterko, a obok przegubową lampę stołową, tak obróciwszy abażur, żeby jasny stożek światła padał na krzesło. Znowu otworzył apteczkę i wyjął z niej tubkę z żelem antyseptycznym, gazowy opatrunek i bandaż w rolce. Podeszedł do kuchenki gazowej i wyjął z błękitnego płomienia ostrze małego kuchennego noża, który oparł wcześniej na ruszcie. Podniósł nóż i zbliżył jego ostrze do policzka; metal jarzył się na czerwono i promieniał ciepłem. To dobrze. Teraz zamiast noża umieścił w płomieniu palnika większą i szerszą metalową szpatułkę.

Wrócił do stołu i zdjęwszy koszulę, starł nią krew z okolic postrzału. Usiadł na drewnianym krześle, ustawiając lampę tak, żeby światło padało na ranę, a potem obrócił lusterko, by móc patrzeć prosto w nie. Otwór po pocisku miał równe krawędzie, poczerniałe i pokryte miejscami częściowo zakrzepłą krwią. Sięgnął lewą dłonią do lewego ramienia i skrzywił się

z bólu, a potem wydał stłumiony okrzyk, gdy palcem wskazującym i kciukiem rozwarł brzegi rany na tyle, by móc zajrzeć głębiej.

Wziął nóż i zacisnąwszy mocno zęby na ścierce do naczyń, wsadził gorący, ostry czubek noża do rany, wbijając go coraz głębiej, dopóki nie ujrzał srebrnego błysku kuli tkwiącej w ciele niczym złośliwy guz na głębokości niemal trzech centymetrów.

Wziął spokojny oddech i wepchnął ostrze noża jeszcze głębiej. Ostry czubek wśliznął się w mięsień pod kulą. Ból wyrwał go z otępienia, a potem narastał; każdy milimetr wędrowki noża, każde pchnięcie oznaczało przeszywający ból, który wdzierał mu się w mózg.

Pomyślał o Elijahu i Sharon.

Pomyślał o Rutherfordzie.

Poczuł, że ostrze dotknęło kuli, i z bolesną świadomością własnej słabości wepchnął je jeszcze mocniej, a potem podważył pocisk i wydobył go z kryjówki, aż wypadł na stół.

Ból eksplodował – w jego apogeum Milton uderzył pięścią w blat stołu – a potem osłabł.

Połowa drogi za nim.

Połknął dwie następne tabletki ibuprofenu i sięgnął po leżącą na ruszcie kuchenki szpatułkę. Zamykając oczy i zaciskając zęby, przycisnął jej ostrze do rany. Przyżegana skóra zaskwierczała w zetknięciu z rozgrzanym do czerwoności metalem. Pod wpływem kolejnej fali przejmującego bólu wydał stłumiony okrzyk, zaciskając dłoń na krawędzi stołu, dopóki on też nie minął. Uważnie obejrzał przypaloną i pomarszczoną skórę w lusterku. Wokół rany wykwitł już wielki purpurowy siniec, ale krwawienie ustało. Wykonał kawał porządnej roboty.

Nie było czasu na przerwę.

Wszedł na piętro i zabierając ze sobą do sąsiadującej z sypialnią łazienki pistolet, rozebrał się i wziął prysznic. Wytarł się i posmarował czystą ranę antyseptycznym żelem, a potem nałożył na nią gazik i umocował opatrunek bandażem. Wrócił do sypialni i przeszukał szafę. Znalazł w niej T-shirt oraz dzinsy, które na niego pasowały.

Na osłonie grzejnika w korytarzu zauważył pilota przymocowanego do skórzanego breloczka z logo BMW. Wszedł z domu przez drzwi od frontu z pistoletem ukrytym pod skórzaną kurtką zabraną z poręczy. Skierował pilota na rząd zaparkowanych samochodów i nacisnął guzik. Rozległ się

znajomy podwójny sygnał i rozbłysło oświetlenie w dużym czarnym bmw x5 parkującym kawałek dalej przy krawężniku.

Milton otworzył drzwi auta i wsiadł. Położył pistolet na fotelu pasażera i nacisnął guzik rozrusznika.

Wyświetlacz informował, że bak SUV-a jest pełny. Milton zwolnił hamulec ręczny, wrzucił bieg i powoli ruszył cichą ulicą.



# **CZĘŚĆ VI**

## **EPILOG**

Pinky usiadł na huśtawce i się rozejrzał. Znajdowali się na placu zabaw w pobliżu Blissett House. Spojrzał na piąte piętro. Ogień zniszczył mieszkanie Elijaha oraz oba sąsiednie. Wszędzie był czarny popiół i sadza, otwory okienne i drzwiowe zabito deskami, zniszczenia rzucały się w oczy niczym paskudny siniec na betonowej twarzy bloku. Pinky nie przejął się zbyt tym, co się stało. Elijahowi i jego matce kara się należała. Cóż innego miał zrobić Bizness, skoro we dwoje nasłali na niego tego człowieka? Pinky nie miał dla nich współczucia.

Wysłał wiadomość do pozostałych chłopaków i kiedy pięć minut później się zjawił, już na niego czekali. Byli wszyscy: Little Mark, Chips, Kidz oraz kilkoro dzieciaków z osiedlowej podstawówki, którzy spędzili z nim ubiegły tydzień. Czas, by ich awansować, pomyślał Pinky, czas, żeby mieli jakieś użyteczne zajęcie. Chłopcy byli rozproszeni; Chips i Kidz siedzieli na huśtawkach, Little Mark opierał się o druciane ogrodzenie, młodzi trzymali się razem, przypatrując się starszym członkom gangu z brawurą połączoną z nerwowością. Starsi palili skręta, którego zrobił i puścił w obieg Pinky.

Mieli za sobą kilka szalonych dni i Pinky był niewyspany. Nie miało to jednak znaczenia; i tak dobrze się czuł. Nie było sensu udawać, że się nie bał, ale na szczęście nic mu się nie stało i teraz był bezpieczny. Po wyjściu Milтона przeszukał studio; doszedł do wniosku, że ma mało czasu do przybycia policji, i wiedział, że muszą się tam znajdować rzeczy warte zabrania. Miał rację: w torbie podręcznej znalazł ponad dziesięć kawałków oraz dziesiątki woreczków napełnionych kokainą, przygotowanych do przekazania dilerom Biznessa, tworzącym jego uliczną siatkę. Pinky włożył pistolety MAC-10 i narkotyki do drugiej torby, którą znalazł, i wyszedł ze studia po schodach pożarowych z tyłu budynku.

Powrót był niebezpieczny. Tamtego wieczoru Londyn stał się strefą wojny, policyjne radiowozy i furgonetki pędziły bocznymi ulicami, błyskając niebieskimi światłami, ale nikt go nie zatrzymał. Schował broń i forszę pod łóżkiem, ukrywając je pod pustymi pudłami po grach i brudnymi rzeczami. Jego mama już dawno temu zrezygnowała z prób

zmuszenia go do utrzymania porządku w pokoju i przestała wchodzić. Wiedział, że przez parę dni, dopóki nie wymyśli lepszej kryjówki, będą tam bezpieczne.

Potoczył wzrokiem po grupie. Wszyscy wiedzieli, że Pops nie żyje, ale nikt nic nie mówił na ten temat. Pinky domyślał się, że słyszeli, czyja to sprawka, i chociaż nie był na tyle głupi, by przyznać, że to on, niech sobie snują domysły. Nie przyznałby się do tego, ale i nie zaprzeczyłby. Odrobina strachu zawsze się przydaje, zwłaszcza w kontekście jego zamiarów. Strach pomagał budować szacunek. Długo czekał na tę okazję i zamierzał ją wykorzystać.

Uważał, że otrzymał szansę. Po tym jak zawsze był tym gorszym, teraz mógł zrobić coś ze swoim życiem. Zyskać reputację, zarobić trochę forsy; nie spieszy tego, w żadnym razie.

Wstał z huśtawki.

– No dobra – zaczął. – Na początek najważniejsze. Teraz ja tu rządę. Komuś to przeszkadza?

Nikt się nie odezwał.

– Tak myślałem. – Uśmiechnął się szeroko. Postawił torbę na karuzeli i odsunął zamek błyskawiczny. W środku tuliły się do siebie dziesiątki woreczków pełnych białego proszku. – Uważajcie – dodał, upewniając się, czy wszyscy widzieli zapas towaru. – Tutaj wszystko się zmieni. Zarobimy kupę szmalu. Wchodzę na rynek, chłopcy... Jeśli macie jaja, żeby w tym uczestniczyć, to posłuchajcie. Oto, co zrobimy.

Firma miała własną placówkę medyczną przy znanym londyńskim szpitalu klinicznym. Nowoczesny sprzęt, najlepsi lekarze, całkowita dyskrecja. Nadzorca obserwował przez szybę, jak chirurg pochyla się nisko, żeby zbadać uszkodzenia w kolanie Numeru Dwanaście. I on, i jego trzech koledzy mieli na sobie zielone kitle, twarze osłonięte maskami chirurgicznymi i dłonie w lateksowych rękawiczkach. Dwanaście został znieczulony i leżał na stole operacyjnym, nakryty prześcieradłem z długim pionowym wycięciem, które umożliwiała swobodny dostęp do prawego kolana. Chirurg już otworzył je skalpelem, wykonując równe cięcie, które zaczynało się tuż poniżej mięśnia czworogłowego i biegło łukiem wzdłuż osi nogi. Brzegi nacięcia rozwarło zaciskami, a u góry ustawiono miniaturową kamerę na przegubowym ramieniu, z której obraz był widoczny na dużym ekranie przymocowanym do ściany w pomieszczeniu obserwacyjnym.

Kula wystrzelona przez Milтона zniszczyła kolano, zrywając przednie i tylne więzadła oraz gruchocząc rzepekę. Lekarze zbadali najpierw uszkodzenia artroskopem i stwierdzili, że naprawa stawu jest niemożliwa; niezbędna była jego pełna rekonstrukcja. Chirurg usunął to, co zostało z rzepek, i zestrugał chrząstkę z kości udowej i piszczelowej, tak aby móc przymocować endoprotezę stawu. Jeden z jego kolegów przygotowywał cement kostny, podczas gdy drugi sprawdzał, czy proteza jest gotowa do wszczepienia.

Nadzorca obserwował ekran, oczy mu się trochę zaszklily. Nie przeszkadzał mu widok krwi; Bóg jeden wie, że przez lata dość się napatrzył na nią i znacznie gorsze rzeczy. Tak naprawdę w ogóle nie skupiał się na Numerze Dwanaście. Myślał o Miltonie.

Jego likwidacja powinna być prosta. Dwanaście miał przewagę zaskoczenia, a Milton nie był już tak młody jak dawniej. A jednak prośbę, skończyło się paskudnymi obrażeniami agenta i zniknięciem Numeru Jeden.

Pracował nad ograniczeniem strat, odkąd Dwanaście wykułykał z sali parafialnej i wezwał wsparcie. Nadzorca sam zebrał zespół szybkiego reagowania, żeby zapewnić zatarcie śladów obecności Numeru Dwanaście na miejscu. Ślady jego krwi zostały usunięte, a nagranie z lokalnych kamer przemysłowych skasowane. Martwego mężczyznę – Rutherforda – zostawiono na miejscu. Numer Dwanaście wyjaśnił, co się stało. Zaskakujące pojawienie się Rutherforda ocaliło Miltonowi życie, więc teraz, po śmierci, musiał zapłacić za spowodowane szkody. Jego zwłoki miały się okazać przydatne. Łatwo było sfabrykować oficjalną wersję wydarzeń. Nagrania z kamer pozwoliły rozpoznać Milona na miejscu zbrodni i ukazały przybycie Rutherforda chwilę przedtem, zanim zginął od kuli.

Kamera przy wejściu do parku zapewniła materiał filmowy przedstawiający Milona zmierzającego na północ. On też był ranny, kula utkwiała w ramieniu. Natychmiast sprawdzili przyjęcia w okolicznych szpitalach, ale zrobili to pobieżnie; Milton był zdecydowanie zbyt sprytny, by uczynić coś tak głupiego. Godzinę później przechwycili zgłoszenie telefoniczne o włamaniu do domu na obrzeżach pobliskiego parku. Właściciele stwierdzili, że ktoś sforsował drzwi do ogrodu. Skradziono ich samochód i jakieś ubrania. To samo w sobie stanowiłoby wystarczający pretekst dla Nadzorcy do wszczęcia śledztwa, ale zgłosili również, że ktoś przetrząsnął też szafkę z apteczką, przeniósł lampę na kuchenny stół i znaleźli uwalane krwią przybory kuchenne.

Nadzorca sam objął dowództwo w zespole śledczym i odwiedził ich dom. Wszedł do kuchni i usiadłszy przy stole, spojrzał na swoje odbicie w lusterku. Wiedział, że parę godzin wcześniej Milton siedział na tym samym krześle. Zoperował się, oczyścił ranę i zabezpieczył ją do czasu, aż znajdzie kogoś, komu powierzy wykonanie zabiegu w należyty sposób. Wziął prysznic, przebrał się, zabrał ich auto i uciekł. Policja szukała pojazdu, ale jeszcze go nie namierzyli. To nie miało znaczenia. Znajdą go w końcu, porzucony na poboczu przy okazji zmiany samochodów przez Milona. Wtedy będzie już za późno. Będzie ich wyprzedzał, chyba że popełni błąd lub pozwoli się znaleźć.

Nadzorca znowu skupił wzrok na ekranie, gdy w zrujnowanym stawie lekarze ostrożnie umieszczali protezę.

John Milton był kameleonem. Ze służbą wojskową włącznie miał dwadzieścia lat doświadczenia we wtapianiu się w tło, pojawianiu się

jedynie po to, by wykonać swoją krwawą robotę, i ponownym znikaniu z pola widzenia. Nadzorca poczuł lodowaty ucisk w żołądku. Milton był najbardziej niebezpiecznym człowiekiem, jakiego spotkał, a teraz wiedział, że góra pragnie jego śmierci. Szef Grupy Piętnastej nie miał pojęcia, co zrobi zbiegły agent, a ta myśl nie pozwalała w nocy zmrużyć oka.

Autostrada ciągnęła się w dal, rząd powoli poruszających się tylnych świateł układał się leniwą smugą w dolinie. Pod Wolverhampton doszło do kraksy i na drodze utworzył się korek posuwający się z wolna dwoma pasami, gdy dźwig ściągał złowieszczy wrak z jezdni. Milton przeklinał sprawcę wypadku. Wiedział, że pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy szczegółowy opis skradzionego bmw trafi do krajowego rejestru. Autostrada była wyposażona w maszty z kamerami, które obsługiwały policyjny system automatycznego rozpoznawania numerów rejestracyjnych, i im dłużej tkwił na szosie, tym większe było ryzyko, że samochód zostanie zauważony. Czuł się bezbronny i chociaż zdawał sobie sprawę, że to niczego nie zmienia, naciągnął głębiej daszek znalezionej w schowku bejsbolówki, aby częściowo zasłonić twarz.

Był zmęczony, w ramieniu czuł rwący ból. Jechał od trzech godzin. Instynkt podpowiadał mu, żeby nie zatrzymywać się, dopóki nie dotrze do Manchesteru, ale gdy minął znak stacji pod Stafford South, uznał, że filiżanka mocnej kawy warta jest ryzyka.

Ostrożnie przeniósł się na lewy pas i zjechał z autostrady.

Na parkingu, otwartym placu oświetlonym przez rząd wysokich latarni, panował spokój. Zatrzymał auto w zacienionym miejscu i poszedł do kompleksu budynków. Kierowców było bardzo niewielu, garstka podróżnych z zaczerwienionymi oczami popijała kawę w małym barze. Milton kupił opakowanie nurofenu w WH Smith, a potem u znudzonego barmana zamówił podwójne espresso i butelkę wody.

Spojrzał na ekran przytwierdzony do ściany. Pokazywano puszczone na okrągło wiadomości na kanale informacyjnym BBC. Pił z jednorazowego kubka, gdy prezenter podsumowywał wydarzenia dnia. Głównym tematem były zamieszki. Najgorsze niepokoje osłabły, ale w policji brakowało ludzi i mówiono o wezwaniu wojska. Milton był zaszokowany bezwzględnością demonstrantów. Podpalono duże obszary Croydon, a sklep meblowy, który rozpoznał na filmie, został doszczętnie strawiony przez gwałtowny pożar. Pokazano materiał filmowy z Hackney i Tottenhamu, tłumy zadymiarzy

z szalikami zakrywającymi twarze, bandy szabrowników, które napadały zarówno na galerie handlowe, jak i na siedziby lokalnych firm, zabierając wszystko, co wpadło im w ręce. Nadinspektor policji udzielił wywiadu i zapewnił, że sprawcy zostaną złapani i ukarani. Milton pomyślał o Elijahu. Zdążyli?

– A w dalszej części wiadomości: policja wszczęła pościg za mordercą mężczyzny, którego ciało znaleziono w klubie bokserskim na londyńskim East Endzie. Dennis Rutherford został zastrzelony, jego ciało znalazł dzisiaj wieczorem jeden z jego podopiecznych.

Pokazano zdjęcie Rutherforda. Był z grupą młodych ludzi, trzymał puchar i uśmiechał się do obiektywu. Po zdjęciu nastąpiła transmisja spoza studia. Jakiś reporter stał przed klubem bokserskim, którego wejścia strzegł policjant.

Reporter mówił do kamery:

– Policja Metropolitalna i londyńskie pogotowie wezwano tu o dwudziestej drugiej dwadzieścia. Później stwierdzono zgon ofiary pochodzącej z Hackney. Sekcja zwłok ma się odbyć jutro, ale przyjmuje się, że zmarł od jednej rany postrzałowej. Policja chce w tej sprawie przesłuchać Johna Milтона, widzianego ostatnio na obszarze Londynu. Według rysopisu to biały mężczyzna w średnim wieku, metr osiemdziesiąt wzrostu, dobrze zbudowany, krótkie ciemne włosy. Policja zaleca, by się do niego nie zbliżać, a osoby dysponujące informacjami na temat miejsca jego pobytu powinny jak najszybciej skontaktować się z funkcjonariuszami.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie portretowe Milтона. Rozpoznał je: zostało wyjęte z akt Grupy. Nadzorca zachowywał się dokładnie tak, jak Milton przewidział. Zorganizował obławę, włączając do niej wszystkie pozostałe agencje: służbę wywiadowczą, policję, wszystkich. Zdjęcie Milтона pozostało na ekranie do końca reportażu. Milton niespokojnie potoczył wzrokiem po pozostałych klientach baru. Nikt nie zwracał specjalnej uwagi na telewizor, lecz mimo to Milton założył z powrotem czapkę na głowę.

Wziął kawę ze sobą i wrócił w mrok upalnej nocy. Od autostrady dobiegał bezustanny głośny szum, kępa drzew, które zasadzono na skraju parkingu, słabo tłumiała ten hałas. Milton porzucił bmw. Przydało mu się, ale wiedział, że zapewne zgłoszono już jego kradzież. Znalazł miejsce, które było słabo widoczne dla kamer przemysłowych, i podszedł do forda mondeo. Podważył drzwi, wsiadł i uruchomił silnik, zwierając kable.



Kiedy ponownie wjechał na autostradę w kierunku na północ, zegar cyfrowy na desce rozdzielczej wskazywał, że jest tuż po trzeciej nad ranem. Milton zmienił biegi, pilnował, by nie przekraczać obowiązującej prędkości. Półtorej godziny później w oddali zamigotały światła Liverpoolu. Skręcił z autostrady i wjechał do miasta.

# Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

PROLOG

CZEŚĆ I SPRZĄTAGZ

PROLOG CZEŚĆ I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

CZEŚĆ II MILA MORDERCÓW

PROLOG CZEŚĆ II

11

12

13

14

15

16

17

18

19  
20  
21  
22  
23  
24  
25  
26

### CZEŚĆ III W GOTOWOŚCI

#### PROLOG CZEŚĆ III

27  
28  
29  
30  
31  
32  
33  
34  
35

### CZEŚĆ IV RISKY BUSINESS

36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47

48

49

50

## CZEŚĆ V GRUPA PIĘTNASTA

51

52

53

54

55

56

## CZEŚĆ VI EPILOG

57

58

59